

**HELENA KOWALIK**

**PIEKŁO  
DOMOWE**

**HELENA KOWALIK**

**PIEKŁO  
DOMOWE**



Copyright © Helena Kowalik, 2024

Copyright © for the Polish ebook edition by XAUDIO Sp. z o. o., 2024

Projekt okładki: XAUDIO Sp. z o. o.,

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

Warszawa, 2024

ISBN 978-83-8341-108-8

Wydawca:

XAUDIO Sp. z o.o.

e-mail: [kontakt@xaudio.pl](mailto:kontakt@xaudio.pl)

[www.xaudio.pl](http://www.xaudio.pl)

# Spis treści

## **Rozdział 1. W sypialni**

Kij bejsbolowy koło łóżka

Od czego się mam...

Nie odchodź

Jesteś tylko mój

## **Rozdział 2. Serce krwawi**

Mogę się przyznać

Rodzinna tajemnica

Nie ma wybaczenia

Śmierć w blasku petard

## **Rozdział 3. Spójrz mi w oczy**

Odejdiesz, zniszczymy cię

Dziwnie się ze mną żegnał

Byłem tylko narzędziem Allaha

## **Rozdział 4. Gdzie jesteś kochanie**

Kręgi na wodzie

Prokuratorskie gdybanie

Dziecko na śmietniku

## **Rozdział 5. Duże dzieci, duży kłopot**

Jest towar

Bodajbyś cudze dzieci wychowywał

Hajsownik, niczym bankomat

Odwet

# Rozdział 1. W SYPIALNI

## Kij bejsbolowy koło łóżka

**Godziła się na rolę popychadła, posłuszna konkubentowi i jego matce. Pewnej nocy miała dość ...**

O 6 rano Sylwia P. telefonuje do matki swego partnera. - Ja chyba zabiłam Pawła - mówi i odkłada słuchawkę. Urszula K. próbuje się dodzwonić do dziewczyny, ale bez skutku. Postanawia bezzwłocznie pojechać do pobliskiej podwarszawskiej miejscowości, gdzie jej syn i Sylwia od dwóch lat mieszkają w domu po dziadkach Pawła. Kobieta nie wierzy w to, co usłyszała. Przecież była u młodych poprzedniego dnia, zasiedziała się tam do późnego popołudnia. 35-letni Paweł G. chciał kosić trawę na podwórku; odradzała mu, bo pił, w takim stanie nie powinien używać elektrycznej maszyny. Ustąpił, położył się spać. Potem jeszcze rozmawiała z Sylwią, która narzekała na swego partnera. - Najchętniej bym mu rozbiła na łbie te butelki z piwem czy wódą - powiedziała - on nic, tylko pije i śpi.

Urszula K. przed odjazdem obudziła syna, aby się pożegnać. Odpowiedział: - Wieczorem mamusi się zdzwonimy.

Odezwał się koło godziny 20. Wzburzony twierdził, że Sylwia podsypuje mu do jedzenia tabletki nasenne. Nie wiadomo, jak długo to trwa. - Uważaj na nią - ostrzegła go - ona jest na ciebie wkurzona.

\*\*\*

- Następnego dnia, 12 maja 2021 roku stanęłam w progu ich mieszkania - zeznawała w śledztwie Urszula K.- Nikt nie zareagował na pukanie. Poruszyłam klamką, drzwi były otwarte. Wewnątrz nie

zastałam nikogo. Na podłodze, ścianach i łóżku leżały skrzepy krwi. Natychmiast połączyłam się z policją. Ktoś stamtąd mnie uspokajał, że syn żyje, ale ma rozbity łuk brwiowy, zawieziono go do szpitala. Potem już od lekarza usłyszałam, że Paweł jest w stanie ciężkim, nieprzytomny, ma krwiak mózgu i obrzęk.

Po nieprzespanej nocy Urszula K. ponownie wybrała się do mieszkania syna. Tym razem zastała tam niedoszlą synową. Młoda kobieta spała zamoczona alkoholem. Obudziła ją, zapytała, co się zdarzyło? - Pobił mnie - płakała Sylwia P. - broniąc się, uderzyłam go kijem bejsbolowym.

Policjant, który interweniował w sprawie pobicia, zapisał w swym notatniku, że w mieszkaniu, do którego został wezwany, panował bałagan, od domowników czuć było alkohol. U kobiety alkomet wykazał 1,32 proc.

Stan zdrowia Pawła G. pogarszał się z godziny na godzinę. Nie odzyskał przytomności, lekarze walczyli z niewydolnością krążenia. Zmarł po tygodniu - przyczyną była nieodwracalne uszkodzenie centralnego układu nerwowego

36-letnia Sylwia P. przesłuchiwana w prokuraturze twierdziła, że jeśli uderzyła swego partnera (nie pamiętała), to jedynie w obronie własnej. Opowiedziała, co się wydarzyło w nocy 11 maja 2021 roku.

Wieczorem wypili trochę, położyli się spać. Dębowy kij długości metra o ostrych krawędziach leżał koło łóżka od strony jej partnera. Paweł G. jak zwykle po alkoholu bardzo pobudzony szukał pretekstu do awantury. Wymyślał jej od szmat, k...w. Bezpodstawnie posądzał o zdradę. Reagowała płaczem, co go jeszcze bardziej rozwścieczało. Kopnął ją, przydusił ciężką ręką i zamierzył się kijem. Nie wie, skąd miała tyle sił, ale wyrwała mu to narzędzie z ręki i uderzyła nim w głowę napastnika. A potem już biła na oślep.

Oprzytomniała dopiero na widok tryskającej krwi. Ponieważ brama była zamknięta na klucz, który konkubent nosił przy sobie (żeby nie opuszczała domu), przeskoczyła przez płot na posesję sąsiada.

Wezwali pogotowie i straż pożarną, aby karetka mogła wjechać na podwórze.

\*\*\*

Biegli psychologowie przeprowadzili z podejrzaną o zabójstwo szczegółowy wywiad.

Wychowywała ją babcia. Matka mieszkająca w tym samym domu, nigdy nie interesowała się córką. W szkole średniej dziewczyna wpadła w towarzystwo próbujących alkoholu wagarowiczów. Przestała słuchać opiekunki, nie zdała matury. Wyszła za mąż, urodziła córkę Monikę. Młodociana para nie zdała życiowego egzaminu. Sąd ograniczył im władzę rodzicielską, gdy ojciec brutalnie pobił córkę. Sylwia P. odzyskała miłość córki dopiero gdy ta sama została matką.

Ale utrzymywaniu bliższych kontaktów obu kobiet sprzeciwiał się Paweł G. Dorosła już Monika P. namawiała maltretowaną matkę, aby wyprowadziła się od konkubenta. Kiedy kolejny raz doszło do pobicia w Święta Wielkanocne 2021 r., przyjechała do Sylwii P., pomóc jej spakować rzeczy. Ofiara damskiego boksera zamieszkała u babci, jednakże po kilku dniach, ubłagana przez matkę konkubenta, a także sprawcę pobicia, wróciła do niego. Urszula G. przeproszała za syna, zapewniała, że on się zmieni...

Obdukcja lekarska stwierdzająca liczne ślady maltretowania uwiarygodniła zeznania podejrzanej.

Psychologowie stwierdzili, że Sylwia P. jest labilna emocjonalnie. Ma obniżone poczucie własnej wartości, tendencję do wycofywania się pod naciskiem innych z podjętej decyzji, potrzebę akceptacji otoczenia.

Agresywne zachowanie wobec Pawła G. było uwarunkowane silnymi, negatywnymi emocjami, zbyt długim uleganiem przemocy bliskiego jej mężczyzny. To w znacznym stopniu ograniczyło zdolność Sylwii P. do kontroli swego zachowania. Badanie testami psychologicznymi

nie wykazało w strukturze osobowości oskarżonej tendencji agresywnych. Na wydarzenia krytycznej nocy, miał też wpływ alkohol, który wypła.

Zdaniem biegłych psychiatrów, podejrzana mogła pokierować swoim postępowaniem podczas ostatniej bójki z partnerem. Dlatego pozostawienie Sylwii P. na wolności byłoby obarczone wysokim ryzykiem ponownego popełnienia przez nią tego czynu. Zwłaszcza, gdy sięgnie po alkohol.

Sylwia P. została oskarżona o czyn z art. 13 kk par. 1, który brzmi: „Odpowiada za usiłowanie, kto w zamiarze popełnienia czynu zabronionego, swoim zachowaniem bezpośrednio zmierza do jego dokonania, które jednak nie następuje”. Ten artykuł został powiązany z artykułem 148 par.1 kk: „Kto zabija człowieka, podlega karze z pozbawieniem wolności na czas nie krótszy od lat 8 do dożywocia”.

\*\*\*

Doprowadzona na rozprawę Sylwia P. nie przyznała się do zabójstwa, nie chciała też składać wyjaśnień. Odpowiadała na pytania obrońcy.

- Nie wykluczam - stwierdziła - że uderzyłam Pawła w głowę. Nie było to celowe, na pewno nie chciałam, aby coś mu się stało. Broniałem się, gdy mnie zaatakował. Nie pamiętam takiej sytuacji, że on siedział w fotelu, a ja zamierzyłam się na niego kijem.

Wezwana na świadka córka Sylwii P. potwierdziła, że widziała u matki siniaki, ale zawsze słyszała to samo tłumaczenie: uderzyłam się. Nie dociekała prawdy, gdyż miała z mamą sporadyczny kontakt. Paweł G. zabierał swej partnerce telefon, gdy szedł do pracy. I zamykał ją na klucz.

Obecna na wszystkich rozprawach Marianna Z. babcia oskarżonej z rozpaczą opowiadała o związku wnuczki z późniejszą jej ofiarą.



- Na początku tej niezbyt długiej, bo dwuletniej znajomości było w porządku, młodzi przyjeżdżali do mnie na obiad. Kiedy pobił ją pierwszy raz w czerwcu 2020 roku, byłam przerażona jej wyglądem. Łuki brwiowe popękane od uderzeń, twarz opuchnięta, sińce na całym ciele. Prosiłam, aby zrobiła obdukcję. Nie usłuchała, bo jak mi tłumaczyła, u Pawła to byłaby recydywa, już siedział za rzucenie się z nożem na brata. Kurowała się u mnie przez tydzień, potem wróciła do niego.

I wszystko zostało po staremu. Sylwia P. chciała iść do pracy w opiece społecznej, kontynuować naukę. Nie zgodził się, bo „jego kobieta nie będzie podcierać tyłków staruszkom”. Po miesiącu zadzwoniła do babci, że Paweł zamknął ją w piwnicy, ale udało jej się uciec. Właśnie jedzie do Marianny Z. Minęło kilka dni i sytuacja się powtórzyła. Sylwia P. uległa matce Pawła G., która błagała, aby nie zostawiała jej syna, jeszcze sobie coś zrobi.

- Wkrótce potem - zeznawała babcia - dostałam od wnuczki sms: „Przyjedź do mnie, bo nie wytrzymam”. Zabrał jej telefon, pobił, bo rzekomo dzwoniła do kochanka. I znów nie zagrzała u mnie miejsca. Wróciła do swego oprawcy, gdy rzucił kamieniami w moje okna, grożąc, że podpali dom.

W nocy 20 marca 2021 r. Sylwia P. znów wysłała swej krewnej sms o treści: „Pomocy!”. Paweł G. awanturował się od kilku godzin. . Kiedy wreszcie zasnął, wzięła tabletki na uspokojenie i postanowiła uciec do babci. Nie dotarła.

- Zadzwoniła do mnie Urszula K - zeznawała Marianna Z. - żebym się nie denerwowała, syn znalazł Sylwię na przystanku i zabrał do domu. 4 kwietnia wypadła Wielkanoc. Wnuczka nie chciała jechać z konkubentem do jego rodziny. Siłą wepchnął ją do auta. Już podczas jazdy powiedział, że rozprawi się z nią po powrocie. W domu popchnął ją na ścianę, uderzył. Widziała to matka Pawła, nie zareagowała.

Pobita Sylwia P. ponownie uciekła do swej babci. I znów jej niedoszła teściowa błagała, aby wróciła, syn bez niej umrze, przestanie brać ratujące jego życie leki. Dziewczyna dała się przekonać.

- Od 13 kwietnia nie miałam nią kontaktu - Marianna Z. kończyła składanie zeznań, ocierając łzy. - Paweł schował telefon, który jej kupiłam.

\*\*\*

- Odebrała mi wszystko, co kochałam najbardziej - krzyczała z ławy dla publiczności matka pokrzywdzonego, patrząc na oskarżoną. Przed barierką dla świadków podała do protokołu - Syn nie był łobuzem, nie widziała u Sylwii żadnych obrażeń. Odwiedzała ich co drugi dzień, coś by zauważyła. Raz się potarłosili, ale uspokoił ich brat Pawła.

- Odradzałam synowi ten związek, ale bardzo ją kochał. A ona potrafiła zadzwonić do jakichś zbirów, żeby przyjechali go pobić. Nadużywała alkoholu, po wypiciu była agresywna. Wymuszała na nim kupno wódki, a on towarzyszył jej w picciu dla świętego spokoju.

Zapytana przez sędziego, czy widziała taką sytuację Urszula G. przyznała, że osobiście nie, ale wie z wiarygodnego źródła, bo od syna.

Obrońca oskarżonej dociekał, czy pokrzywdzony miał konflikt z prawem. Urszula G. odpowiedziała wymijająco: - Było coś takiego, że Paweł siedział w więzieniu, chyba dwukrotnie, raz za użycie przemocy w stosunku brata, ale to się zdarzyło dawno.

Kolejne pytanie: - Czy miał problem alkoholem? Tak, leczył się z uzależnienia.

Również brat Pawła G. usiłował przekonać sąd, że zamach na jego życie, to nie była groźna sprawa. „Ciapnął mnie nożem i tyle tego.” Co innego agresywność Sylwii: „Z łapkami leciała do Pawła”.

Wiele do powiedzenia miał mieszkający po sąsiedzku Grzegorz R. To do niego o 1 w nocy tragicznego 11 maja 2021 roku przeskoczyła przez płot Sylwia P.

- Oni często się kłócili. Paweł chciał mieć nad Sylwią władzę. Traktował ją jak szmatę, mówił „zamknij ryja”. Była dla niego nikim. Popychał, uderzał. Kiedy wpadał w ciąg alkoholowy, mogło to trwać nawet miesiąc.

Kolejny świadek, który przez pewien czas mieszkał z tą parą zauważył, że było dobrze, gdy Paweł G. nie pił. Ale po alkoholu miał „odchyły”. On ważył ponad 100 kilo, Sylwia chucherko, nie potrafiła się bronić, nawet krzyknąć. Nieraz zamykał ją w piwnicy, bo sobie ubzdurał, że gdy jest w pracy na budowie, ona spotyka się z kochankami

\*\*\*

Po wysłuchaniu świadków, sąd zwrócił się do kolejnych biegłych o wydanie ponownej opinii psychiatrycznej. Inny zespół lekarzy tej specjalizacji stwierdził, że oskarżona w czasie popełnienia zbrodni była w stanie psychicznym w stopniu znacznie ograniczającym jej zdolność rozpoznawania czynu i pokierowania swym postępowaniem. W języku prawniczym oznacza to, że zachodzą warunki art. 31 par. 2 kk. i sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary.

I taki wyrok zapadł: 5 lat więzienia. W czasie pobytu w zakładzie karnym skazana będzie poddana terapii w związku z uzależnieniem od alkoholu. Ponadto sąd zobowiązał Sylwię P. do wypłacenia matce pokrzywdzonego 20 tys. zł zadośćuczynienia. (Urszula K. domagała się 100 tys. zł)

W uzasadnieniu wyroku sędzia Małgorzata Wasylczuk zaznaczyła, że brak jest dowodów bezpośrednich, na podstawie których możliwe byłoby odtworzenie przebiegu zdarzenia i zachowania Sylwii P. Sąd

musiał się oprzeć na dowodach pośrednich, m. in. zeznaniach świadków.

Z przesłuchania tych osób nie wynikało, aby oskarżona była alkoholiczką, choć zdarzało się, że piła. Jednakże nigdy w takich sytuacjach nie przejawiała agresywności. Jeden ze świadków zauważył, że matka Pawła G. idealizowała syna. Sąd ocenił te zeznania jako wiarygodne. Jako osoby obce dla oskarżonej nie miały żadnego interesu w tym, aby składać relacje nieprawdziwe, korzystne dla którejkolwiek ze stron.

Natomiast zeznaniom Urszuli K. tylko częściowo można było dać wiarę. Świadek przekonywała sąd, że Sylwia P. nigdy nie informowała ją o przemocę stosowanej przez konkubenta, a chwilę potem potwierdziła, że dostała od oskarżonej wiadomość z jej zdjęciem, na którym miała zasinione, podbite oczy. Nie wiedziała, po co zostało jej wysłane.

A dlaczego sąd zażądał drugiej opinii biegłych psychiatrów? Bo pierwsza nasuwała istotne wątpliwości przede wszystkim z uwagi na jej lakoniczność i stosowaną metodykę badań. Wątpliwości te nie mogły być usunięte poprzez uzyskanie opinii uzupełniającej, bowiem ci biegli zostali dyscyplinarnie zawieszani w wykonywaniu czynności zawodowych.

Co do wysokości kary. Warunkiem odpowiedzialności za zbrodnię zabójstwa (art. 148 kk) jest ustalenie związku przyczynowego między działaniem sprawcy, a skutkiem czynu zabronionego. Sprawca, zamierzając zabić innego człowieka musi ten skutek obejmować swą świadomością. O zamiarze decyduje jego nastawienie psychiczne w chwili przystąpienia do działania. Ani zadanie ciosu w miejsce dla życia człowieka niebezpieczne - wyjaśniała sędzia Wasylczuk po ogłoszeniu wyroku - ani nawet użycie narzędzia, mogącego spowodować śmierć człowieka, nie przesądzają automatycznie o tym, że sprawca zamierzał zabić. Zazwyczaj niezbędna jest nadto analiza motywacji oskarżonego, stosunków pomiędzy nim a jego ofiarą w czasie poprzedzającym tragiczne wydarzenie.

Sąd uwierzył oskarżonej, że nie chciała zabić Pawła G. Zadawała ciosy w obronie przed atakiem partnera, który już wcześniej stosował przemoc. Niemniej, uderzając dębowym kijem w głowę, godziła się na skutek w postaci śmierci pokrzywdzonego.

Warunkiem odpowiedzialności za popełnienie czynu zabronionego jest poczytalność sprawcy. Sąd ustalił, że Sylwia P. dopuściła się zbrodni zabójstwa w stanie ograniczonej poczytalności. W znacznym stopniu nie była w stanie rozpoznać znaczenia czynu i pokierować swoim postępowaniem.

Sąd wziął pod uwagę, że działanie oskarżonej było nagłą reakcją na przemoc. Sylwia P. nie jest osobą zdemoralizowaną ani taką, u której agresja jest cechą trwałą. Na jej korzyść przemawiała też postawa podczas procesu - wyrażona skrucha i szczery żal, że doszło do nieodwracalnego nieszczęścia. Biorąc to wszystko pod uwagę sąd uznał, że zasadnym będzie skorzystanie z instytucji nadzwyczajnego złagodzenia kary przewidzianej w art. 31 par. 2 kk.

Co do wysokości zadośćuczynienia dla matki ofiary. Urszula K. straciła syna i z pewnością jest to niepowetowana strata. Jednakże sąd miał na uwadze, że „relacje, jakie łączyły Pawła G. z matką w kontekście stylu życia, jaki prowadził, nie uzasadniają przyjęcia, aby rozmiar doznanej krzywdy uzasadniał wysokość żądanej kwoty”.

## Od czego się mam...

**Na komodzie leżała zapisana przez niego kartka: „Za to twoje traktowanie mnie jak śmiecia i oskubanie kłamczucho. Ja też ze sobą skończę przepraszam”. Sąd nie miał wątpliwości, że autor zamordował swoją partnerkę.**

Agnieszka J. ma młodszą o sześć lat siostrę Barbarę, za którą czuje się odpowiedzialna. Wynajęła jej mieszkanie blisko swego domu w podwarszawskiej miejscowości Jabłonna i codziennie telefonicznie sprawdza, co się u siostry dzieje. Barbara S. od dawna jest dorosła - ma 37 lat, ale lubi alkohol, ciągnie ją do narkotyków i zbyt łatwo wiąże się z przypadkowo poznanymi mężczyznami. W rezultacie nie wie, kto jest ojcem jej 4-tygodniowego Kuby. Kobieta ma jeszcze 14 letniego syna Oskara, który został jej odebrany, przebywa w ośrodku zastępczym.

21 czerwca 2019 roku telefon Barbary od rana milczy. Agnieszka J. nie może też się dodzwonić do Ariela C. nowego partnera siostry. Próbuje połączyć się z nim na aplikacji Messenger - na profilu mężczyzny wyświetliło się, że przed godziną był aktywny. Odczytał wiadomość, ale nie odpowiedział. J. prosto z pracy, około godziny 19, jedzie z mężem do mieszkania Barbary. Drzwi są zamknięte na klucz, nikt nie otwiera, ale lokal znajduje się na parterze, można wejść do środka przez niedomknięte okno.

Kobieta biegnie do pokoju, w którym stoi kołyska Kuby. Niemowlę ledwo kwili, jest wyczerpane płaczem, odwodnione. W tym czasie mąż Agnieszki znajduje w drugim pokoju martwą Barbarę. Denatka leży w łóżku przykryta kocem. Na przeciętej nożem szyi ma zadzierzgnięty pasek od spodni. Posiniaczona twarz świadczy o biciu kobiety.

W pomieszczeniu bałagan. Na podłodze, w zakrzepłej krwi leżą wyrzucone z szafy ubrania. Stoi też wiadro z wodą i mopem, jakby ktoś zabierał się do sprzątania, ale zrezygnował.

Wezwany patrol policji znajduje na komodzie kartkę z takim tekstem: „Za to twoje traktowanie mnie jak śmiecia i oskubanie kłamczucho. Ja też ze sobą skończę przepraszam”

Biegły patomorfolog orzeka, że morderca użył paska od spodni, aby obezwładnić ofiarę, a następnie złamać chrząstki krtani. Kiedy kobieta była na wpół uduszona, sięgnął po nóż. Nawet lekarzowi medycyny sądowej trudno ocenić, kiedy doszło do śmierci. Orientacyjnie 16-18 godzin przed rozpoczęciem oględzin.

\*\*\*

Agnieszka J. niewiele wie o nowym partnerze siostry. Sprowadził się 2 tygodnie przed jej śmiercią.

Od siostry słyszała o nim same superlatywy. Choć młodszy o 4 lata, sprawiał wrażenie bardziej odpowiedzialnego w tym związku. Ciężko pracował w warsztacie samochodowym a mimo to wstawał w nocy do dziecka. Mówił, że chce adoptować Kubę.

Do ojcostwa chłopca poczuwa się Arkadiusz O. poprzedni konkubent Barbary, z zawodu taksówkarz. Policja początkowo umieściła go na swej liście podejrzanych o zabójstwo młodej kobiety.

- Barbara S. była moją miłością - zeznaje w śledztwie. - Głupio kochałem, nie byłbym w stanie ją skrzywdzić. Poznaliśmy się na osiedlu. Stała pod sklepem podpita, mówiła, że nie ma gdzie spać. Zaproponowałem nocleg u siebie, została na 4 lata. Kilkadziesiąt razy rozstawaliśmy się, po czym znów do siebie wracaliśmy. Zawiozłem ją na odwyk do Monaru, niestety po 10 dniach uciekła stamtąd. Odszedłem, gdy w zaawansowanej ciąży piła 3 dni pod rząd. Dwa dni później urodziła synka, wcześniaka.

Po narodzinach Kubby Arkadiusz O. odwiedzał Barbarę codziennie z zakupami dla dziecka i jego matki. Wieczorem wracał do siebie, ale gdy kobieta zadzwoniła o pierwszej w nocy, że jest pijana i nie może „ogarnąć” dziecka, przyjechał, siedział przy małym do rana. Ona położyła się spać.

- Wyprowadziłem się 12 maja, Ariel przyjechał 1 czerwca - mówi śledczym taksówkarz. - Wiem od Basi, że kilka lat wcześniej poznali się w ośrodku dla narkomanów. Mówiła, że jest ostro wkręcony.

Policja nadal tropi Ariela C .

Pewnych informacji dostarcza Wioletta Z. przyjaciółka Barbary. Zeznaje, że ten mężczyzna 21 czerwca wysłał jej sms z informacją, że jest na parkingu Kauflandu i nie może dostać się do domu, nie ma kluczy. Była zaskoczona, przecież ona mieszka 100 km od Warszawy.! Usiłowała dodzwonić się do Barbary, bez skutku.

Przyjaciółka Barbary odrzuca sugestię, że mordercą mógł być Ariel C. Wszystko wskazywało na to że związał się z Barbarą na całe życie. A przecież wiedział, że ona ma problem z narkotykami i po wypiciu pomiatu nim, wyzywa od najgorszych. Nie potrafiła być wdzięczną za okazaną pomoc. Taksówkarzowi, który nawet wówczas, gdy już nie byli razem, za własne pieniądze robił je duże zakupy, w alkoholowym szale porysowała samochód, wybiła szyby.

Ariel C. wpada w ręce policji przez przypadek. Szukano kogoś, kto kupił w lombardzie telefon pochodzący z kradzieży. Tym klientem jest C. Kiedy 21 czerwca 2019 roku wysłał sms do Wioletty, jego numer został namierzony. A ponieważ odurzony narkotykami C. nie potrafi wskazać lombardu, w którym nabył aparat, przesłuchują go dokładniej i tak wypływa sprawa śmierci Barbary S.

Biegły grafolog stwierdza, że tekst „Za to twoje traktowanie mnie jak śmiecia i oskubanie kłamczucho. Ja też ze sobą skończę przepraszam” na kartce pozostawionej w mieszkaniu Barbary S napisał Ariel C.

Podjejrany przyznaje się do popełnienia morderstwa, ale twierdzi, że kulminacyjnego momentu nie pamięta.

Na pewno wieczorem 20 czerwca mieli imprezkę z sąsiadami. Goście wyszli koło północy i wtedy zaczęli się kłócić. - Miałem do Basi pretensje - zeznaje C. w komisariacie - że nie interesuje się synkiem,



Wykrzyczałem jej: - Nie mam zamiaru spędzić życia z kobietą, która jest wyrafinowana, bawi się czymś uczuciami i ma znajomości w kręgach przestępczych.

Emocje opadły, poszli do łóżka. Rano C. po nakarmieniu Kuby zamówił taksówkę do Warszawy - był umówiony z dilerem narkotyków. Nie pamiętał, żeby użył noża, czy zmywał z podłogi krew. Opuszczając mieszkanie nie zamknął drzwi na klucz. Do reklamówki wziął koszulę oraz telefon Basi. Powodem były dostrzeżone tam smsy od Arkadiusza O. który pisał, że ją kocha a ona odpowiadała takim samym wyznaniem.

Następnego dnia Ariel C. odwołał swoje wyjaśnienia. - Kiedy wychodziłem, ona jeszcze żyła - zeznał - nie wiem, jak to się stało, że została zamordowana. Dzień przed tragicznym wydarzeniem mieli, jak się wyraził, ostrą spinkę. Powiedział Barbarze, żeby się ogarnęła, dwa kredyty, które wziął na urządzenie mieszkania poszły na alkohol i amfetaminę. Na imprezce chwaliła się, że dała Kubie narkotyk, aby przestał płakać.

Co do kartki pozostawionej na widocznym miejscu w mieszkaniu Barbary C. wyjaśnił, że napisał ją tydzień wcześniej, żeby skanalizować swoje emocje. Tak mu radził kiedyś terapeuta w ośrodku odwykowym dla narkomanów.

Oskarżonego poddano obserwacji psychiatryczno-psychologicznej. Biegli stwierdzili osobowość o cechach impulsywnych, predyspozycje do zachowania agresywnego, zwłaszcza po zażyciu amfetaminy. Ariel C. w związku z Barbarą S. mógł być upokorzony faktem, że nie jest jej jedynym partnerem. To uruchomić kaskadę negatywnych emocji poza kontrolą mężczyzny. Ale nie osiągnęły takiego stanu, który by zaburzał jego poczytalność. Demonstrowane przez pacjenta wyparcie z pamięci tragicznego wydarzenia to mechanizm obronny, służący pozbyciu się poczucia winy.

33 letni Ariel C. został oskarżony o zabójstwo konkubiny i narażenie na utratę zdrowia niemowlęcia, a nawet jego śmierć. Dziecko było

pozostawione samo sobie przez 11 godzin. Nie udało się ustalić, kiedy dokładnie doszło do morderstwa.

\*\*\*

Rok później doprowadzony z aresztu Ariel C. odpowiada z art. kk 148 (zabójstwo) w Sądzie Okręgowym dla Warszawy Pragi.

Nie podtrzymuje swych wyjaśnień ze śledztwa. Twierdzi, że złożył je będąc pod wpływem narkotyków. Zapytany przez obrońcę jak spędził wieczór 20 czerwca 2019 roku po wyjściu gości, nie wspomina o kłótni z Barbarą. Poszli do łóżka, kochali się. Obudził się o 4 rano. Nakarmił dziecko i nie mógł już zasnąć. Brakowało mu narkotyku.

- Skontaktowałem się - mówi na rozprawie - ze znajomym dilerem. O godzinie 7 zamówiłem taksówkę do Warszawy. Kiedy wychodziłem, Basia spała. Nie zamykałem drzwi na klucz.

Po dojechaniu na miejsce został zatrzymany przez policjantów, poszukujących skradzionego telefonu. Kiedy wyjaśnił, że ma aparat kupiony w lombardzie i była przy tym, jak się wyraził, jego koleżanka Barbara, funkcjonariusz chciał, aby kobieta to potwierdziła. Łączył się z jej numerem - nie odbierała telefonu.

- A dlaczego policja znalazła na nieużytkach w Jabłonie pana dokumenty, konkretnie protokół zatrzymania? - pyta sędzia.

- Prawdopodobnie wypadły mi z kieszeni. Wieczorem, po powrocie do miasteczka wałęsałem się, nie mając odwagi wejść do domu. Byłem naćpany, a w pobliżu stały policyjne wozy.

Sąd szuka motywu. W zeznaniach świadków postać ofiary nie jawi się krystalicznie. Arkadiusz O. który twierdził, że Barbara S. była dobrą matką przyznaje, że po alkoholu jego ukochana stawała się agresywna (raz przystawiła swemu starszemu synowi Oskarowi nóż do gardła) i bardzo wulgarna. - Takiego steku przekleństw nie wypada cytować w sądzie. Z normalnej, kochanej Basi robił się diabeł. Podejrzewałem u niej chorobę afektywną dwubiegunową.

Chciał zakończyć ten toksyczny związek Nie tyle był zazdrosny o innych koło niej mężczyzn, co upokorzony, gdyż w tym samym czasie mogło ich być pięciu, a nawet dziesięciu.

Opinię o Barbarze S., jako troskliwej matce podważyła w swych zeznaniach jej sąsiadka, która wieczorem 20 czerwca 2019 roku gościła z mężem w mieszkaniu pokrzywdzonej.: - Ariel C. w pewnej chwili poskarżył się, że tylko on zajmuje się dzieckiem. Barbara nie zaprzeczała. - Od czego cię mam - przymilała się do kochanka - daj buziaka a co do reszty, to będziemy się godzić w nocy.

Podczas tej wizyty, goście zauważyli, że klamka drzwi wejściowych jest obluzowana; żeby zamknąć, trzeba przekręcić klucz.

Pewne światło na wyjaśnienia Ariela C. rzucił kierowca Ubera, który rano 21 czerwca wiozł tego pasażera do Warszawy. Zauważył, że młody mężczyzna bardzo się pocił, sprawiał wrażenie czymś odurzonego, ale nie wyczuwał od niego alkoholu. - Zapytałem go, czy w nocy była impreza, a pasażer na to, że musi zmienić dziewczynę, bo za daleko mieszka.

- Nie miał zakrwawionej odzieży, ani śladów pobicia. W ręku trzymał wypchaną reklamówkę - odpowiada świadek na pytanie obrońcy.

Dramatycznie brzmią zeznania ojca oskarżonego. Mężczyzna powtarza ze łzami oczach: - Nie wierzę, że zrobiło to moje dziecko. Nie wiem, co się stało z synem. Nie sprawiał problemów wychowawczych. Skończył technikum samochodowe, nie migał się od pracy. Co niedzielę chodziliśmy do kościoła. Prawda, że w pewnym okresie wciągnęły go narkotyki, leczył się w Monarze. Jeździłem z żoną na rodzinną terapię, żeby wspierać syna. Udało się. Przez 5 lat przed wyjazdem do Jabłonny był czysty. Robił testy.

W maju 2019 roku Ariel C. powiedział rodzicom, że pokochał kobietę, to wielka miłość, chce z nią ułożyć sobie życie. Zabrał z domu całe umeblowanie i wyposażenie jego pokoju, nawet żelazko. - Nie mnie sądzić, jaka była pani jego serca - kończy składanie zeznań ojciec oskarżonego - ale chciałbym wiedzieć, dlaczego doszło

do tragedii. Jeżeli w ciągu 3 tygodni można się tak zmienić, to gdzie on pojechał?

\*\*\*

Proces dobiega końca. Prokurator domaga się dla oskarżonego 25 lat odosobnienia. Siostra ofiary jako oskarżycielka posiłkowa wnosi o taką samą karę. Uważa, że Ariel C. działał z premedytacją i z góry powziętym zamiarem. To, dlatego wychodząc z położnego na parterze mieszkania spuścił rolety, wyrzucił wszystko z szafy, aby zabrać swoje rzeczy i nie odbierał od niej telefonów.

Tytułem zadośćuczynienia Agnieszka J. żąda dla synów Barbary S. w sumie 300 tys. złotych.

Obrońca wnioskuje o uniewinnienie. - Akt oskarżenia zbudowany jest na zasadzie: „No tak, ale kto, jak nie on” - zarzuca prokuratorowi w mowie końcowej.

- Materiał zebrany w postępowaniu przygotowawczym nie daje podstaw do wskazania winnego zabójstwa - twierdzi mecenas. - Jest zbyt wiele wątpliwości, nie ma motywu. Ta para żyła w aurze wzajemnego zakochania. Nikt z sąsiadów nie słyszał, żeby się kłócili. Oskarżenie w dużej mierze opiera się o ślady pozostawione przez Ariela C. w mieszkaniu. Jego linie papilarne i DNA znaleziono m. in. na bluzce, w której zginęła Barbara S., mopie użytym do zmycia krwi z podłogi. Ale to nie powinny być okoliczności obciążające, wszak Ariel C tam mieszkał. W zabrudzeniach na poszewce ujawniono DNA innego mężczyzny a na kocu dwóch niezidentyfikowanych osób.

Adwokat kwestionował wyjaśnienia złożone przez oskarżonego zaraz po zatrzymaniu. Ariel C. był wtedy pod wpływem narkotyków, nie rozumiał, co się dzieje. Brak dowodów na to, że obciążający go tekst na kartce pozostawionej w mieszkaniu Barbary S. został napisany przez oskarżonego po dokonaniu zabójstwa. Jego ojciec przedstawił sądowi kilka zeszytów syna z zapisanymi myślami. To miała być terapia w walce z uzależnieniem.

Barbara S. była uzależniona od narkotyków i alkoholu. Miała w związku z tym liczne znajomości wśród osób o podobnym problemie. Świadkowie mieszkający w tym domu słyszeli kilka dni przed tragedią rozmowę telefoniczną tej kobiety siedzącej na balkonie. Mówiła, że „wszystko już wie, nie chce mieć z tym nic wspólnego.” Prokurator nie poszedł tym tropem.

Co do drugiego zarzutu: narażenia zdrowia a nawet życia dziecka, obrońca zauważa, że na Arielu C. nie ciążył prawnie obowiązek opiekowania się Jakubem S.

Sąd w pięcioosobowym składzie pod przewodnictwem sędzi Agnieszki Brygidyr-Dorosz skazał nieprawomocnie Ariela C. na 16 lat więzienia i zadośćuczynienia: dla małego Jakuba 150 tys. zł, rzecz Oskara 50 tys., dla Agnieszki |J. 50 tys.

Sąd nie uwierzył, jak wynika z ustnego uzasadnienia sędzi, że znamieny tekst „Za to twoje traktowanie mnie jak śmiecia i oskubanie kłamczucho. Ja też ze sobą skończę przepraszam” powstał tydzień przed tragedią. Ariel C. był kilkakrotnie przesłuchiwany i za każdym razem wyjaśniał odmiennie. Nie potrafił lub nie chciał przedstawić, jaki był faktyczny przebieg dramatu w nocy z 20 na 21 czerwca 2019. W miarę upływu czasu wyjaśnienia aresztanta zmierzały do wskazania innych nieokreślonych sprawców zabójstwa.

Prokurator złożył apelację od wyroku domagając się podwyższenia kary na 25 lat. Obrońca wnosił o uniewinnienie powołując się na zasadę prawa karnego, że wszystkie wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego.

Sąd Apelacyjny nie rozpatrywał tych wniosków w ich warstwie merytorycznej. Skupił się na obsadzie Sądu Okręgowego dla Warszawy Pragi i zakwestionował obecność sędzi Agnieszki Brygidyr-Dorosz, która 26 maja 2020 r. z rekomendacji Krajowej Rady Sądownictwa „organu powołanego niezgodnie z konstytucją” odebrała od prezydenta nominację sędziowską. Sędzi wytknięto, że

„nie wykazując refleksji”, przyjęła nominację, a okoliczności jej awansu wywołują poważne wątpliwości co do występowania w roli niezależnego sądu.

Wyrok został uchylony i sprawa przekazana do ponownego rozpoznania „w należyтым składzie”. Nie był to wyrok jednomyślny. Przewodniczący składu SA sędzia Rafał Kaniok w zdaniu odrębnym napisał: „Na podstawie przebiegu dotychczasowej służby Pani sędzi, uznać należy, iż brak jest jakichkolwiek danych, które w tej konkretnej przedmiotowej sprawie uzasadniałyby uznanie, że Pani sędzia nie daje gwarancji bezstronności niezawisłości”.

Prokuratura Regionalna wniosła o uchylenie zaskarżonego wyroku i przekazanie sprawy sądowi odwoławczemu do ponownego rozpoznania. Bowiem „S. A. zaniechał zbadania, czy oprócz zarzuconej wadliwości o powołaniu na urząd sędzi jej osoba w tej konkretnej sprawie gwarantuje niezależność i niezawisłość sędziowską” „.

Obrońca zwrócił się do Sądu Najwyższego o oddalenie skargi Prokuratury Regionalnej. SN uchylił wyrok i przekazał sprawę Sądowi Apelacyjnemu do ponownego rozpoznania.

Do sprawy na Twitterze odniósł się minister sprawiedliwości i prokurator generalny Zbigniew Ziobro – Czy ci z kasty nie oszaleli?! Uchylają wyrok na mordercę, bo nie podoba im się sędzia wybrany przez Krajową Radę Sądownictwa?! Czy nie są chorzy z nienawiści, niemoralni i cyniczni?

W maju br. roku S.A. (w nowym składzie) utrzymał w mocy zaskarżony wyrok.

## Nie odchodź

**15 lat więzienia dla Karoliny B. owładniętej toksyczną miłością do 21 letniego Igora K. Sąd uznał, że robiąca karierę polityczną prawniczka świadomie ugodziła nożem swego partnera, powodując jego śmierć.**

To, co widzieli mieszkańcy apartamentowca w warszawskiej dzielnicy Wilanów przypominało rozrzucone puzzle.

Wpół do czwartej nad ranem 30 kwietnia 2021 roku - początek długiego weekendu. Noc jest wyjątkowo ciepła, ludzie śpią przy otwartych oknach. Budzi ich przeszywający krzyk, tupot nóg i czyjś głos powtarzający: - *Nie, nie, nie.*

Ci, którzy chwilę później wyszli na balkon słyszą wołanie: - *Ratunku, pomocy, dłużej tak nie wytrzymam, umieram.* Biegną na parter. Przy wejściu do bloku stoi zgięty w półmłody mężczyzna. Jedną ręką trzyma się barierki ogródka, drugą za brzuch. W pewnym momencie osuwa się na ziemię. Pochylona nad nim kobieta, to mieszkanka apartamentowca Karolina B. Błagający o ratunek nazywa się Igor K. Jest jej partnerem. Lokatorzy kojarzą tę parę, gdyż często hałaśliwie biesiaduje w przydomowym ogródku. Na pytanie, co się stało, kobieta odpowiada, że jej narzeczony przechodził przez płot i nadział się na wystające kolce.

Nie ma jasności, kto wezwał pogotowie. Rok później, podczas procesu sądowego, świadkowie będą twierdzić, że Karolina B. ociągała się przed wezwaniem karetki. - Początkowo nie podejrzewałem - zeznał na rozprawie pracownik ochrony - że sytuacja jest tak dramatyczna. Godzinę wcześniej widziałem ich na klatce, zachowywali się jak zakochani. Kiedy przyszedłem powiadomiony o tragedii, ona rozmawiała przez telefon, myślałem, że z pogotowiem. Po kilku minutach jeszcze raz połączyłem się z numerem 112 pytając, czy było wezwanie. Okazało się, że nikt z tego adresu nie dzwonił.

Kiedy nadjechała wreszcie karetka, pacjent był nieprzytomny, sanitariusz nie mógł oznaczyć ciśnienia. Stan Igora K pogarszał się z każdą chwilą. Mężczyzna został przewieziony na najbliższy SOR. Lekarzom nie udało się go uratować.

Sekcja zwłok wykazała, że został zraniony nożem o 15-centymetrowym ostrzu.

\*\*\*

Śmierć 21-letniego Igora K. stała się głośna w Polsce. Przystojny student prawa znany był na Wiejskiej jako członek Rady Dialogu z Młodym Pokoleniem oraz poseł na Sejm Dzieci i Młodzieży. Na co dzień mieszkał w Lublinie, ale i tam nie stronił od polityki. Był wiceprzewodniczącym Młodzieżowej Rady Miasta oraz marszałkiem Parlamentu Dzieci i Młodzieży Województwa Lubelskiego.

Przy takiej aktywności wróżono mu dużą karierę polityczną, o ile tylko utrzyma się u władzy obecnie rządząca formacja. Tragiczna śmierć unicestwiła te rachuby; wskazywało na to wielu internautów, komentujących tragedię w Wilanowie. Rodzinie Igora K. kondolencje złożył m.in. szef resortu edukacji Przemysław Czarnek.

Karolina B. była już dalej od swego narzeczonego w galopie do fotela parlamentarzysty. Starsza od Igora o 5 lat zdążyła ukończyć prawnicze studia i wpisać do cv staż w kilku instytucjach centralnych. Nie zagrzała nigdzie miejsca, ale lista pracodawców była imponująca: m. in. gabinet dyrektora Kancelarii Premiera, Parlament Studentów RP, biuro senatorskie.

Jako osoba o poglądach prawicowych, aktywnie działała też na własny rachunek w Stowarzyszeniu Konserwatywno-Liberalnym „KoLiber”, współpracującym z Ordo Juris i telewizją Trwam. Pod sztandarem KoLibra skupili się politycy przeciwni aborcji nawet ze wskazań lekarza.

Karolina B. była też prezeską fundacji Portia, która organizowała na Litwie warsztaty historyczne dla osób pochodzenia polskiego. Jeśli



jeszcze do tego dodać zdobyte licencjaty z kryminologii i historii, znajomość kilku języków obcych, a także sukcesy sportowe - trenowała szermierkę - to jak na dłoni widać determinację tej kobiety w zrobieniu kariery.

Nie tak chciała być postrzegana podczas śledztwa po śmierci Igora K. Oskarżona o zabójstwo, nie przyznała się do winy. Jej wersja tragicznego wydarzenia w nocy 30 kwietnia brzmiała niezmiennie podczas wielokrotnych przesłuchań: dostała ataku paniki, narzeczony chciał wyjść do apteki po leki uspokajające. „Wybiegłam za nim, by mu powiedzieć, że jest nieczynna. Nie wiem, dlaczego miałam nóż w ręce”. Sugerowała, że przyczyną jej nieobliczalnego zachowania mógł być wypity tej nocy alkohol i wypalone papierosy z zawartością substancji psychotropowych.

Sprawdzono alkoholu we krwi podejrzonej. Za pierwszym razem było to 0,19 mg/l potem 0,16 mg/l. Biegły toksykolog nie znalazł we krwi substancji psychoaktywnych, odurzających i psychotropowych. Wykryto jedynie minimalne ilości leku używanego w terapii depresji i stanów lękowych.

\*\*\*

Prokuratura postawiła Karolinie B. zarzut zabójstwa Igora K. „w zamiarze bezpośrednim”. Kodeks karny przewiduje za taki czyn nawet dożywotne pozbawienia wolności.

Proces aktywnej działaczki o manierach celebryty (w internecie jest mnóstwo jej zdjęć z Igorem K.) ściągął do gmachu Sądu Okręgowego dla Warszawy w Alei Solidarności bardzo dużo młodzieży. Największa sala rozpraw wypełniła się do ostatniego miejsca.

Drobna, dziewczęca Karolina B. w ciemnej princesce z białym kołnierzykiem i takimi mankietami budziła współczucie młodej publiczności. „Trzymaj się” padały pod jej adresem słowa wsparcia, gdy skuta kajdankami wchodziła na salę rozpraw.

To już nie była aktywna prezeska, rezolutna prawniczka znajdująca bez trudu dojście do politycznego establishmentu, ale zrozpaczona dziewczyna. Na pierwszej rozprawie wyznała: - Kochałam Igora. Był dla mnie całym światem. Chciałam mieć go zawsze przy sobie. Byłam uzależniona od tej miłości. Od jego śmierci jest już mi wszystko obojętne.

Łamiącym się głosem przeprosiła nieobecną matkę ofiary. - Nie ma słów, które mogłyby to wyrazić. Gdybym mogła przywrócić życie Igorowi, zrobiłabym to nawet kosztem własnego.

Karolina B. składając wyjaśnienia przed sądem a wcześniej w śledztwie twierdziła, że jej narzeczony zginął na skutek nieszczęśliwego wypadku. - Ten proces - oceniła swą sytuację w ławie oskarżonych - to walka o mój honor.

Sama zadawała pytania świadkom: „Czy tamtej tragicznej nocy wyglądałam na przejętą, przestraszoną, załamana? Jak osoba, która jest w szoku? Jakbym żywiła jakieś negatywne uczucia do Igora?

Konterfekt nieszczęśliwej, po pensjonarsku zakochanej dziewczyny niezupełnie przystawał do postrzegania oskarżonej przez świadków.

\*\*\*

- Oni często się kłócili - zeznał jeden z mieszkańców apartamentowca - zazwyczaj awantura wybuchała podczas imprezowania w ogródku. Nie przeszkadzało im, że lokatorzy z wyższych pięter wszystko widzą. Agresywną była kobieta. Bardzo wulgarnie odzywała się do swego partnera.

Inny świadek, zaprzyjaźniony z oskarżoną poinformował sąd, że Igor K. niedługo przed śmiercią, miał na ręce ranę ciętą od uderzenia maczetą. - Podczas wizyty u nich pytywałem, jak do tego doszło. Karolina była wściekła, że drążę ten temat, ale Igor chciał, aby prawda wyszła na jaw. W końcu moja przyjaciółka przyznała się do zranienia narzeczonego. Byłem zaskoczony, nigdy nie widziałem jej w takiej sytuacji.

Ten sam świadek ujawnił inne fakty, wskazujące na burzliwy charakter związku oskarżonej i jej ofiary. - Mieli jechać do Meksyku i ona tam chciała mu się oświadczyć. Ale w Nowy Rok 2021 Igor zniknął, przestał odpowiadać na telefony. Karolina nie mogła się z tym pogodzić, szukała go, wieczorami ostro imprezowała. Igor wrócił do niej po kilku miesiącach.

Również powołana na świadka Aleksandra W., która przedstawiła się w sądzie, jako najlepsza przyjaciółka Karoliny B. twierdziła, że oskarżona bardzo przeżywała odejście jej chłopaka. Kiedy wreszcie zaakceptowała rozstanie, on do niej napisał i romans zaczął się od nowa. Zdaniem świadka, oskarżona jest osobą trudną, o zmiennych nastrojach. „Sama tego doświadczałam. Raz mnie całowała, innym razem biła pięścią w brzuch”.

Aleksandra W. twierdziła, że Karolina B. podawała swemu partnerowi narkotyki.

Kiedy za barierką dla świadków stanął Anton C. kolega oskarżonej, sędzia poprosiła, aby odniósł się do swych zeznań złożonych w prokuraturze. Powiedział wówczas, że Karolina B. jest inteligentna, chłodna, cyniczna, ma dużą potrzebę kontrolowania ludzi w swym otoczeniu. Polityka interesuje ją w aspekcie korzyści finansowych. Zdarzało się, że bardzo gwałtownie wyrażała swe emocje, okaleczała się. Raz dostała takiego ataku, że trzeba ją było odwieźć do szpitala psychiatrycznego.

Anton C. potwierdził w sądzie swoje zeznania złożone w czasie postępowania przygotowawczego. - Mówiłem prawdę, ale zbyt emocjonalnie oceniłem charakter koleżanki. Podtrzymuję, oskarżona jest apodyktyczna, bywa agresywna, ale powinien też dodać, że to osoba zagubiona, emocjonalnie niestabilna, mająca skomplikowane relacje nie tylko ze znajomymi, ale i z rodziną.

Kolejny świadek, pracownik Karoliny B. w jej fundacji, który miał okazję obserwować związek oskarżonej z Igorem K. uważał, że tych dwoje nie powinno być razem. - Chłopak był zbyt uległy. Uciekał od

Karoliny, a ona dostawała furii. Kiedyś naszły ją podejrzenia, że Igor może być biseksualny. - Jeśli się okaże, że jesteś gejem, to cię zabiję - miała mu powiedzieć podczas tzw. domówki.

W zeznaniach innych świadków z grona znajomych Karoliny B. powracał motyw zranienia Igora K. maczetą przez jego partnerkę. Ale pojawiły się rozbieżności, co do tego, jak poważne miało być skaleczenie i w którym miejscu powstało. Na nodze czy ręce?

\*\*\*

Karolina B. największe wsparcie podczas procesu dostała od swego ojca. Powołany na świadka oskarżył internautów, że już osądzili jego córkę, uznali jej winę bez zastanowienia się, czy miała motyw, aby zamordować swego narzeczonego.

Świadek miał też pretensje do policji, że nie zabezpieczyła miejsca tragedii. Kiedy wszedł do mieszkania córki kilka miesięcy po tragicznym zdarzeniu, znalazł tam pełno niedopałków papierosów. Śledczy nie sprawdzili, jakimi używkami raczyła się para i jaki to mogło mieć wpływ na zachowanie dziewczyny krytycznej nocy. Podczas widzenia z ojcem w areszcie Karolina płakała, mówiła, że wypalone papierosy totalnie ją otumaniły.

- Nóż, którym został ugodzony Igor K. leżał w szafce koło drzwi. Nikt się nim nie zainteresował. Wrzuciłem go do zlewu - zeznał świadek na rozprawie. Zrozpaczony ojciec oskarżonej za winnych uznał też lekarzy szpitala, do którego zawieziono rannego. Igor K. zmarł kilkanaście godzin po uderzeniu go nożem, może nie był dostatecznie intensywnie ratowany...

- Nie wiem, dlaczego nikt nie szukał winnych gdzie indziej, tylko oskarżono osobę, która była najbliższą - zastanawiał się głośno.

Z dalszych wypowiedzi tego świadka wynikało, że oskarżona miała nikły kontakt ze swymi rodzicami. O tym, że zamierzała wyjść za Igora, ojciec dowiedział się już po aresztowaniu córki, gdy w jej mieszkaniu zobaczył w szafie suknię ślubną z welonem. Wtedy też

znalazł dokumenty wskazujące na to, że Karolina B. postanowiła kupić działkę pod budowę domu. W obecności narzeczonego wpłaciła właścicielom 50 tysięcy złotych zadatku.

Adwokatka oskarżonej usiłowała przekonać sąd, że do śmiertelnego zranienia młodego mężczyzny doszło przypadkiem. Karolina B. wyjaśniała w śledztwie: kiedy zawołała Igora, trzymała kuchenny nóż w ręku i on niechcący nadział się na ostrze, które „weszło w ciało jak w masło”. Obrończyni zapytała biegłego chirurga, czy takie mogły być okoliczności powstania rany. Lekarz nie chciał jednak wypowiadać w tej kwestii tłumacząc, że zasadnicze znaczenie ma sposób trzymania noża, a o tym w aktach ani słowa.

Wysłuchano też biegłej medycyny sądowej, która stwierdziła, że Igor K. zginął od jednej, śmiertelnej w skutkach rany kłutej, która spowodowała krwotok i nieodwracalną fazę wstrząsu krwotocznego. Nie było szans na uratowanie życia.

Oskarżoną badali biegli psychiatra i psycholog, ale ich opinia została odczytana w części niejawnej procesu. Publiczność mogła natomiast wysłuchać ekspertyzy toksykologa. Zeznał, że tragicznej nocy oskarżona wypijała niewiele alkoholu. Natomiast poszukiwanie w jej organizmie środków odurzających wykonano dopiero 11 godzin po zdarzeniu, a taki upływ czasu zazwyczaj eliminuje substancje aktywne. W organizmie Karoliny B. stwierdzono tylko obecność leku antydepresyjnego w dawce terapeutycznej.

Kolejni toksykolodzy potwierdzili tę opinię.

\*\*\*

Proces dobiegł końca. W ostatnim słowie Karolina B. oskarżyła portale internetowe, że zamieniły jej tragedię w tanią sensację. - Igor stracił życie, a ja dobre imię i ukochaną osobę - płacząc podsumowała skutki tragicznego wydarzenia. Oskarżenie jej o zabójstwo uznała za absurdalne. Do winy poczuwała się jedynie w kwestii zażywania leków bez konsultacji z lekarzem.

Prokurator, żądając dla podsądnej 25 lat pozbawienia wolności twierdziła, że zabójstwo zostało popełnione w zamiarze bezwzględny. Karolina B. zabiła, bo wiedziała, że Igor nie chce już być w tym związku. Nie można w jej przypadku mówić o szczerzej skrusicie. Bieglu psychologu uznali, że mloda kobieta w swym egocentryzmie manipulowała bliskimi jej osobami, bała się opuszczenia i reagowała na takie zagrozenie zlością. - Cios nozem w brzuch narzeczonego był precyzyjny, to nie moglo być przypadkowe, wszak oskarzona uprawiała szermierkę. Trudno uwierzyć, że ogarnął ją amok, skoro z rozmysłem usunęła ślady zbrodni. Zakrwawiony nóż, był schowany w szufladzie szafki w przedpokoju. A w przechwyconym grypsie przyznała się do zranienia swego partnera.

- To szarża prokuratury - oceniła w ostatniej mowie adwokatka oskarżonej. - Zdarzyła się niewyobrazalna tragedia, a interpretacja oskarżyciela to spekulacje, insynuacje i uproszczenia. Prokuratura uparcie promuje wersję o zamiarze bezposrednim, choć nie przedstawila zadnego dowodu na zabójstwo. Karolina B. nie uciekla z miejsca zdarzenia, a to, że była chaotyczna w udzielaniu pomocy można łatwo wytłumaczyć: w nieszczęściu straciła głowę. Gdyby chciala zabic, zrobilaby to w mieszkaniu, nie na klatce. I celowalaby w głowę, lub w serce. W przekonaniu obrończyni jedyna kwalifikacja prawna czynu to nieumyślne spowodowanie śmierci, za co grozi od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia.

Pod koniec rozprawy doszło do osobliwego dysonansu w wypowiedziach adwokatki, reprezentującej matkę Igora K. jako oskarżycielkę posiłkową a samą rodzicielką zabitego studenta. Mecenas dowodzil, że w tym przypadku nie można mówić o popełnieniu zbrodni w afekcie. Powołala się na opinie biegłych, którzy wykluczyli u Karoliny B. atak paniki i ograniczenie poczytalności.

Natomiast matka Igora K. wstawila się za oskarżoną. - Bycie mamą Igora to był zaszczyt - powiedziala. - Oczy matki widzą jednak drugie

dziecko, Karolinę. Jej mama też by na pewno dała wszystko, by cofnąć czas.

Kobieta poprosiła o szansę dla oskarżonej, którą poznała już po śmierci syna. - Nie wiedziałam - wyznała na sali sądowej - że Karolina, osoba o wielkiej wrażliwości, była zagubiona, bardzo potrzebowała pomocy, aby nie wyruszyć w drogę ku szaleństwu. Prosiła o nią, ale nikt - ani przyjaciele, ani rodzice, ani ja - jej nie udzielił.

\*\*\*

Karolina B. została skazana na 15 lat więzienia za zabójstwo w zamiarze bezpośrednim. Sąd uznał, że nie popełniła zbrodni w afekcie, ani w sposób nieświadomy,

Sędzia Monika Łukaszewicz przewodnicząca składu sędziowskiego w ustnym uzasadnieniu wskazywała, że nie można było dać wiary wyjaśnieniom oskarżonej, która rozpoczęła i zakończyła proces deklaracją o swej miłości do Igora, zatem nie miała motywu, aby go zabić.

- Granica między toksyczną miłością a nienawiścią jest bardzo cienka - zauważyła sędzia. - Nie sposób uwierzyć oskarżonej, że Igor K. o 3 w nocy wychodził do apteki po leki uspokajające. Takie medykamenty i to silniejsze od przysłowiowej melisy były w mieszkaniu Karoliny B. Partner oskarżonej prawdopodobnie chciał na dworze zakończyć jakąś rozmowę, lub odejść już na zawsze od swej dziewczyny. Dlatego wybiegła za nim z nożem.

Sędzia odniosła się także do słów matki ofiary, która na ostatniej rozprawie prosiła o szansę dla oskarżonej. - Prawem matki jest wybaczać, a obowiązkiem sądu stać na straży sprawiedliwości - zauważyła Monika Łukaszewicz. - Szansą dla Karoliny jest to, że żyje. Igor takiej nie dostał.

Wyrok jest nieprawomocny.

## Jesteś tylko mój

**Śmiertelnie dźgnęła nożem swego kochanka. Adwokaci tłumaczą to syndromem Otella; brzmi lepiej niż brak hamulców w wyniku uzależnienia od alkoholu. Sąd szukał prawdy.**

Przyjęcie weselne urządzono na 6 osób, w domu oblubieńców. Zarówno goście, jak i para młodych byli nie pierwszej młodości, tylko jedna osoba odstawała od tego kryterium – Karolina D. Miała 24 lata Przyszła ze swym narzeczonym 50-letnim Piotrem. J.

Gospodyni Ewa K. chwaliła uczynność dziewczyny, która pomogła w zastawieniu stołu biesiadnego, fotografowała parę młodych po powrocie z USC. Piotr usłyszał na boku, że dobrze trafił, choć różnica wieku wybranki może być w przyszłości problemem.

Włączono z płyty muzykę, panowie ruszyli do obtańcowania gospodyni.

Ładną twarz Karoliny wykrzywiła złość, że narzeczony zostawił ją samą za stołem. Kiedy w pewnej chwili mężczyzna wyszedł z panną młodą na werandę - był bardzo upalny sierpniowy dzień 2020 roku – dziewczyna dostrzegła, że Ewa K. pocałowała Piotra J. w policzek. Bardzo zdenerwowana doniosła o tym panu młodemu. Zbagatelizowanie wiadomości przez gospodarza jeszcze bardziej ją rozsierdziło.

Chwilę później Piotr J., który wrócił do narzeczonej, kilkakrotnie dostał od niej w twarz. Usiłował ją powstrzymać, ale wtedy stawała się jeszcze bardziej agresywna. Z pomocą pozostałych gości udało się ich rozdzielić i posadzić Karolinę w innym miejscu, koło świadkowej Beaty. Podano obiad.

Na chwilę wrócił wesoły nastrój i zapewne w miarę pitego alkoholu trwałyby dłużej, gdyby przez przypadek nie wyszło na jaw, że Karolina schowała zaświadczenie narzeczonego o zgubieniu dowodu



osobistego. Bez tego dokumentu Piotr J. nie mógł być świadkiem pary młodych w USC i w ostatniej chwili szukano kogoś innego.

Znów doszło do szarpaniny, tym razem między kobietami, które chciały wyjąć z torebki dziewczyny ukryte tam zaświadczenie.

Kiedy rozzłoszczona Karolina ponownie rzuciła się z pięściami na Piotra (tym razem miała pretensję, że rozmawia ze świadkową) i on cofając się spadł ze schodów, gospodarze powiedzieli: dość. Wyproszono pannę z przyjęcia, wręcz wypchnięto za furtkę. Jej narzeczony został w domu weselnym.

Nie miał spokoju. Partnerka bez przerwy do niego telefonowała albo wysyłała smsy. Piotr postanowił nie reagować. Dariuszowi - świeżo poślubionemu mężowi Ewy K. pożałował, że Karolina nie jest takim aniołem, na jakiego na pierwszy rzut oka wygląda. Po wypiciu już kilku kieliszków nie panuje nad swymi nerwami. Kiedyś ugodziła go nożem w brzuch, na szczęście rana nie była głęboka. Pokazał też inną pamiątkę agresji narzeczonej- blizny na głowie po szyciu. Wcześniej mówił, że to od żelazka, które spadło z półki. Wstydział się - chłop prawie dwa metry i bije go drobna kobieta.

Tymczasem Karolina usiłowała wrócić na przyjęcie - ostatecznie weszła przez werandę. Przeprosiła biesiadników za swoje zachowanie. Jednakże chwilę później znów skoczyła do oczu narzeczonego z pięściami. Weselnicy wypchnęli ją na podwórko. Kiedy była blisko furtki, odwróciła się i jednym ciosem powaliła Piotra na płot.

Następnego dnia, w sobotę, odbyły się poprawiny.

Skurzona Karolina pojawiła się po południu i została z Piotrem J. na noc. Ewa K. przygotowała im poślanie w salonie na podłodze. W nocy chciało jej się pić. Idąc do kuchni zobaczyła Karolinę klęczącą nad niedającym znaku życia Piotrem; obok leżał zakrwawiony nóż. Dziewczyna wycierała koszulą krew z klatki piersiowej mężczyzny. Wyrwana ze snu gospodyni odruchowo - jak potem twierdziła w czasie przesłuchania - zaniósła nóż do zlewozmywaka i opłukała.

Potem pobiegła do sypialni, obudziła męża, aby wezwał pogotowie. Sama dzwoniła na komisariat. Dariusz K. na widok nieruchomego Piotra krzyknął do Karoliny: - Coś ty mu zrobiła! Odpowiedziała z osobliwym spokojem: - Sam to sobie zrobił, po kłótni. Zarzucał mi, że go ubiegłej nocy zdradziłam. Poszłam do łazienki. Kiedy wróciłam, Piotr stał z nożem, skierowanym w stronę klatki piersiowej. Chciał go sobie wbić w serce. I zrobił to.

Lekarz pogotowia stwierdził śmierć mężczyzny. Policjant odnotował w protokole, że podłoga w mieszkaniu jest świeżo wytarta, na mopie widnieją ślady krwi. Ostrze noża znalezione w zlewozmywaku ma 28 cm.

\*\*\*

Podczas pierwszego przesłuchania Karolina D. przyznała się do zabójstwa Piotra J. W wyjaśnieniach eksponowała sercowe udręki, jakich doznała od Piotra i upokorzenia od gości weselnych. Panna młoda zapominała o swym mężu, wyciągała Piotra do tańca.

„Nie widziałam, czy doszło do pocałunku, ale stali blisko siebie, Ewa coś szeptała Piotrowi na ucho. Ja podeszłam do jej męża Darka opowiedziałam, co się dzieje.”

Narzeczonej doskonale wiedział, że robi jej przykrość. Mimo to, kiedy wymawiała mu niewierność, uderzył ją i kazał się wynosić z wesela. To nie był pierwszy raz, gdy podniósł na nią rękę. Tydzień wcześniej leżała po pobiciu w kałuży krwi. Wtedy wybaczyła mu, odwołała wezwane pogotowie. Ale pretensje jej nie opuściły. Wychodząc z wesela popchnęła go – na tyle mocno, że się przewrócił.

Nie miała przy sobie ani grosza, więc na przystanku autobusowym poprosiła nieznaną chłopaków, aby zamówili jej przez telefon „Ubera”. Pojechała do kolegi Kazika w sąsiednim miasteczku i on zapłacił za taksówkę. W sobotę rano zadzwoniła do niej Ewa K., żeby wróciła i po drodze dokupiła wódki. Zapytała, co robi Piotrek. - Jest pijany i śpi. (W kolejnym przesłuchaniu podejrzana podała, że Ewa

K., ściągnęła ją na poprawiny kłamliwą informacją, że pobity Piotr leży na OJOM-ie).

Z nożem było tak. W sobotę wieczorem powiedziała narzeczonemu, że chce się już położyć, bo nazajutrz zaczyna pracę w cukierni. Piotr nie dawał jej spokoju, ciągle wypominał nocleg u Kazika.

„Zaczął mnie tłuc rękami, kopnął w udo. Zakręciło mi się w głowie. Pobiegałam do kuchni, złapałam nóż. Uprzedziłam go: - Spróbuj jeszcze raz mnie uderzyć”. Chciała go tylko postraszyć, ale on wyrywał jej nóż, wykręcając rękę. Szarpali się. Nie wie, kiedy i jak to się stało, że ostrze wbiło mu się w klatkę piersiową. Przez chwilę stał z tym nożem, po czym upadł. Leżąc na podłodze, dziwnie sapał.

„Wyjęłam mu ostrze z ranki (była niewielka) i zaczęłam go reanimować. Krzyczałam do Ewy, żeby dzwonili na pogotowie”.

\*\*\*

Karolina D. została oskarżona o zabójstwo Piotra J. Prokuratorski zarzut dla świeżo poślubionych małżonków K., to zacieranie śladów morderstwa.

Dariusz K. w swych wyjaśnieniach zaprzeczył, że doszło do pobicia Karoliny przez jej partnera na przyjęciu weselnym. Dodał kilka szczegółów świadczących o tym, że to atletycznie zbudowany Piotr był często bity przez swoją dziewczynę. Maltretowany mężczyzna wstydliwie ukrywał swą sytuację przed znajomymi. Z zabliznionych ran na brzuchu tłumaczył się w ten sposób, że podczas spaceru z Karoliną zajechał im drogę samochód. Wyskoczył z niego nieznany facet i uderzył go nożem.

Znajomi okazywali współczucie, ale między siebie plotkowali, że to była sprawka Karoliny.

Żona brata Piotra J. przedstawiła Karolinę jako osobę nieobliczalną, którą strach wpuścić do domu, zwłaszcza, jeśli wcześniej piła alkohol. Zeznała, że ta para z powodu wszczynanych awantur

musiała często się wyprowadzać z wynajmowanych lokali. Brakiem odpowiedzialności za swoje postępowanie dobrali się jak w korcu maku. Zazwyczaj nie płacili właścicielowi mieszkania, czekali aż ich wyrzuci. „Dla mnie ten związek był nie do pojęcia - zeznała bratowa pokrzywdzonego - nie rozumiałam, co ich trzyma razem. Karolina zdradzała każdego swego partnera. Jeśli miał do niej pretensję, dostawał łomot. Ona zawsze była w siniakach, takie miała ciało, wystarczyło nacisnąć opuszką palca. Sama to przyznawała, ale gdy była skonfliktowana z kolejnym kochankiem, obnosiła się z tymi wybirczami na dowód maltretowania.

Również oczom kuzynek Piotra J. nie uszły ślady jego pobicia. Czasem chodził obandażowany, rany na plecach miał zakryte plastrami. Tłumaczył się dość infantylnie: ktoś na niego napadł albo coś mu spadło na czaszkę.

Były chłopak Karoliny twierdził, że rozstali się, gdyż dziewczyna po wypiciu alkoholu stawała się bardzo wulgarna, agresywna. Krzyczała, żeby do niej nie podchodzić, bo sobie coś zrobi. Jeśli na domówce zdarzyło mu się zatańczyć z inną kobietą, podchodziła do niej i mocno uderzała w twarz otwartą dłońią. Po okresie nerwowej aktywności miewała stany depresyjne; zamykała się, próbowała samookaleczeń. On uważał, że powinna się leczyć, zwracał na to uwagę jej rodzicom. Obiecywali zająć się córką i nic nie robili.

\*\*\*

W aktach sprawy znajduje się dokumentacja lekarska Karoliny D. z kilkunastu lat.

Matka zgłosiła się z nią do poradni rodzinnej, gdy córka miała 8 lat. Dziewczynka nie potrafiła skoncentrować się na lekcjach. W relacjach z młodszą siostrą była bardzo agresywna.

Siedem lat później Karolinę uczennicę pierwszej klasy technikum gastronomicznego babcia przyprowadziła do młodzieżowej poradni psychiatrycznej. Rozpoznano zaburzenie nerwicowe, nieprawidłowe

relacje z rodzicami, zwłaszcza z ojcem, który związał się z inną kobietą, ma z nią dziecko. Załamana matka szukała pociechy w alkoholu. Dziewczyna twierdziła, że rodzice są wobec niej nazbyt restrykcyjni, faworyzują młodszą córkę. Chciałaby przeprowadzić się do babci.

Tych wizyt w roku 2012 jest kilka. Pod koniec roku psycholog w wywiadzie zapisał, że pacjentka ma objawy bulimii. Co do sytuacji rodzinnej – jest poprawa. Ojciec wrócił do żony, matka odstawiła alkohol, dba o siebie.

Już rok później wieści z poradni są alarmujące: u nastoletniej Karoliny stwierdzono depresję i obniżony nastrój.

Potem jest coraz gorzej. W 2016 roku próba samobójcza - przecięcie żył. Pierwsze poważne upojenie alkoholowe. Pacjentka dowieziona do szpitala przez pogotowie. Objawy hysterii, samouszkodzenia po kłótni z chłopakiem.

Rok 2017 - próby samobójcze.

Rok 2018. W styczniu Karolina zaczyna pięcioletnią terapię odwykową w zamkniętym ośrodku, Tak nakazał sąd, przed który trafiła po spowodowaniu wypadku samochodowego. Była pijana.

Stawiła się z opóźnieniem, po tygodniowym ciągu alkoholowym. Tłumaczyła, że nie miała motywacji, aby wstać z łóżka. Psycholog dowiaduje się, że pacjentka pod wpływem alkoholu demoluje mieszkanie, kradnie domownikom pieniądze, wynosi do lombardu precjoza ze złota.

Terapia w zamkniętym ośrodku nie pomogła. Karolina D. kolejny raz usiłowała popełnić samobójstwo. W chwili interwencji policji stała w domu z nożem kuchennym przy szyi. Odratowana skarżyła się, że prześladowają ją omamy, słyszy jakieś głosy, widzi w kącie pokoju czarną postać z czerwonymi oczami, albo dziewczynkę w czerwonym płaszczu, która namawia ją, aby skoczyła z okna na wysokim piętrze.

Pacjentkę hospitalizowano. Po podleczeniu dostała skierowanie do klinicznego oddziału terapii uzależnień. Nie zgłosiła się. Kolejny raz straciła pracę z powodu absencji i awanturniczego zachowania.

Rodzice zatrudnili ją w swojej firmie jako sprzedawcę. Za ladą wytrzymała kilkanaście dni. Otrzymane wynagrodzenie przeznaczyła na imprezy z alkoholem, choć miał liczne długi.

Rok 2019. Kolejna próba samobójcza groźna w skutkach, bo doszło do zapaści. Diagnoza: Nieokreślone zaburzenia psychiczne natury organicznej lub objawowej. Piotra poznała w maju i od razu wyprowadziła się z domu. Kiedy podczas odwiedzin rodziców dostrzegli siniaki na jej rękach tłumaczyła, że spadła ze schodów. Cztery miesiące przed zdarzeniem na weselnych poprawinach wyznała matce, że Piotr się nad nią znęca, ale ona go kocha. Ojciec chciał interweniować. Namówił partnera córki na spotkanie w miejscu neutralnym i zapytał, dlaczego bije Karolinę. Piotr J. próbował zmienić temat, a przyciśnięty do muru powiedział, że „jakoś to tak samo wychodzi”.

Luty 2020 roku. Babcia Karoliny wystąpiła do sądu wydział rodzinny o wydanie postanowienia zobowiązującego wnuczkę do poddania się terapii w zakładzie leczenia odwykowego. Przesłuchano matkę dziewczyny. Podejrzewała, że córka utrzymuje się ze sponsoringu i częstych wyjazdów z nowo poznanymi mężczyznami. Karolina dorobiła się karnej kartoteki. Została skazana na 5 miesięcy ograniczenia wolności i prace społeczne za kradzież tysiąca złotych.

\*\*\*

Przed sądem oskarżona odwołała wyjaśnienia ze śledztwa, że Piotr J. sam się nadział się na nóż. Dlaczego dźgnęła? Bo była zazdrosna.

- Był moim narzeczoną, a nie interesował się mną, wolał tańczyć z Ewą. Pocałowali się. Dla mnie to była dwuznaczna sytuacja. Ja go nigdy nie zdradziłam. Ale gdybym mogła cofnąć czas, wolałabym wtedy sama umrzeć - kajała się.

Przeprosiła rodzinę Piotra, nie chciała zrobić mu krzywdy.

Na kolejnej rozprawie doszło do polemiki między biegłymi psychologami i psychiatrami a adwokatami Karoliny D.

Była to ponowna obecność biegłych tej specjalności na sali sądowej. Za pierwszym razem oświadczyli, że nie mogą postawić ostatecznej diagnozy. Z uwagi na wieloletnie, mimo młodego wieku uzależnienie oskarżonej od alkoholu i związane z tym doznania o charakterze psychopatycznym, a także nadużywanie leków, istnieje potrzeba dokładnego przebadania pacjentki w zamkniętym zakładzie leczniczym.

Wniosek został uwzględniony i po kilku miesiącach do akt procesowych wpłynął raport z kolejnego badania oskarżonej.

W rozmowie z psychologiem przedstawiała się jako ofiara rozbitej rodziny, w której nikt się nią, wówczas nastoletnią, nie zajmował. Podejmowała próby samobójcze, aby zwrócić na siebie uwagę. Nie osiągnęła celu; kiedy przecięła sobie żyły, ojciec owszem, tamował krew, ale nigdy na ten temat nie rozmawiali.

Biegli szczególną uwagę zwrócili na alkoholizm młodej kobiety. Twierdziła, że po raz pierwszy się upiła mając 17 lat. (Jej ojciec przesunął tę granicę do 14 lat) „Zakodowano mi w głowie - zwierzała się psycholożce - że alkohol pomoże pozbierać myśli. Zaczęłam pić w weekendy, na imprezach. Film mi się urywał, miałam słabą głowę. Dopiero od znajomych dowiadywałam się, co robiłam”. Kilka razy próbowała narkotyków, ale to ją nie pociągało. Po ukończeniu technikum zgodziła się na wszycie esperalu. Nie piła przez 9 miesięcy Szukała zamienników w napojach energetycznych, brała leki nasenne, często aplikowała sobie w ciągu doby zawartość całego opakowania.

Abstynencja wzięła w łeb, kiedy na imprezie odruchowo napiła się alkoholu z czyjeś szklanki w przekonaniu, że była tam woda. Bała się, że mając w organizmie wszywkę alkoholową, zaraz umrze. Nic się nie stało, więc wróciła do dawnego stylu życia.

Z pracą nie wychodziło, kolejni chlebodawcy zarzucali jej nieodpowiedzialność. Kiedy nie udało się nawet w firmie własnego dziadka, postanowiła przejść na utrzymanie mężczyzn, z którymi sypiała

Często się zmieniali. Podała imiona tych, których jeszcze pamięta: Michał, Mariusz, Karol, Szymon i Piotr. W tym ostatnim zakochała się, bo respektował jej zdanie. Nie wie, czym się zajmował, ale rano wychodził do pracy. Nie zawsze, dlatego pieniądze raz były, a raz nie. Nigdy nie powiedziała rodzicom, gdzie mieszkają, choć dzwonili do niej, dopytywali się. Adres często się zmieniał, bo były awantury z powodu agresji Piotra i sąsiedzi donosili właścicielowi. Mimo to nie chciała od niego odejść. Bała się zostać sama.

Biegli doszli do następujących wniosków:

Karolina D. ujawnia tendencje do prezentowania własnej osoby w negatywnym świetle. Jest w nadmierny sposób skupiona na funkcjonowaniu swego organizmu, cechuje ją mały wgląd w swój istotny problem, co świadczy o niedojrzałości życiowej. Osobowość nieprawidłowa.

Testy wykazały, że ma silną potrzebę akceptacji i aprobaty ze strony innych ludzi. Ale nie potrafi nawiązać z nimi głębszych relacji. Cechuje ją skłonność do zachowania kompulsywnego, ma tendencje do symulacji zaburzeń, wyolbrzymiania istniejących problemów psychicznych. Stwierdzono zespół zależności alkoholowej, zaburzeń odżywiania i depresji lekowej. Nie powoduje to upośledzenia umysłowego pacjentki czy osłabienia jej funkcji intelektualnych. Karolina D. zna i rozumie obowiązujące normy i zasady współżycia społecznego, ale jest skłonna do luźnego ich traktowania.

W wystąpieniach adwokatów wyraźnie zarysowała się linia obrony. Dwaj mecenasów usiłowali przekonać sąd, że przyczyną nieszczęścia był syndrom Otella u oskarżonej, czyli patologiczna, urojeniowa zazdrość.



Biegli nie zgadzali się z taką diagnozą –źródło przestępczego zachowania młodej kobiety upatrywali w jej uzależnieniu od alkoholu. Eksponowana przez nią zazdrość o partnera, to postawa obronna.

Adwokaci nie dawali za wygraną.

Pytanie psychologa, ile razy przeprowadzał wywiad z oskarżoną sugerowało, że badanie kliniczne było powierzchowne.

- Myślę, że spędziłam z nią około 20 godzin – padła odpowiedź.

Kwestionowano rodzaj zastosowanego testu, który wykazał, że Karolina ma skłonność do symulowania.

- Na jakiej podstawie - dociekał adwokat. - biegli dowodzą, że oskarżona ma tendencję do przedstawienia się jako osoby bardziej zaburzonej niż jest w rzeczywistości?

Psycholodzy powoływali się na profesjonalne testy, obserwację oskarżonej na oddziale, jej wypowiedzi i materiał w aktach prokuratorskich.

Sędzia Barbara Piwnik po raz kolejny raz uchylała pytania obrońców jako niedorzeczne. Nie pozwoliła też drążyć zagadnienia syndromu Otella, skoro biegli nie postawili takiej diagnozy.

Mimo to obrońcy wracali w pytaniach do tego tematu.

Biegły psycholog jeszcze raz wyjaśnił, dlaczego w diagnozie odrzucono motyw patologicznej zazdrości.

- W naszej opinii jest informacja, że w zachowaniu Karoliny D. nie było objawów psychotycznych, ani zaburzeń myślenia pod postacią urojeń czy halucynacji. Nie ma podstaw do rozpoznania zespołu Otella. Kiedy pacjentka odstawiła alkohol, mogła odczuwać dyskomfort zespołu abstynencji, który charakteryzuje się m. in. zaburzeniem postrzegania. Możliwe, że widziała jakieś dziwne postaci. Ale objawy abstyntenckie trwają krótko i fakt ich

występowania przed laty nie ma wpływu na ocenę poczytalności w stosunku do zarzucanego czynu. Karolina D. miała zachowaną zdolność pokierowania swym postępowaniem.

\*\*\*

Oskarżona przysłuchiwała się tej dyskusji z pokerową twarzą. Jakby to nie o jej życie toczył się spór.

A przecież nic nie wskazywało na to, że uniknie wysokiej kary. Przestępstwo, które popełniła zagrożone jest nawet dożywociem.

Nadszedł dzień ogłoszenia wyroku - 15 lat w więzieniu. Odbywanie kary w systemie terapeutycznym, dla uzależnionych od alkoholu.

Prawdopodobnie w chwili odzyskania wolności Karolina D. będzie wrakiem człowieka. To jej osobista tragedia, a także najbliższej rodziny. Ale wykolejone życie tej dziewczyny z domu, w którym nie było patologii, jest też porażką rzeszy specjalistów od uzależnień w służbie zdrowia. Karolina D. była pacjentką wielu gabinetów terapeutycznych. Jej najbliższa rodzina szukała dla niej pomocy. Bezskutecznie.

## Rozdział 2. SERCE KRWAWI

### Mogę się przyznać

**Wszystko, co robiła, z myślą o dogodzeniu synowi. Dla niego wyjechała z Ameryki do nieznanej Polski. Karl P. zamordował matkę i wyrzucił poćwiartowane ciało do Wisły.**

- Do uduszenia matki podchodziłem cztery razy - wylicza Karl P. w czasie śledztwa.

Na nagraniu przesłuchania widać, jak ten 26 letni Amerykanin mówi całym sobą: gestykuluje, zakłada dłonie na szyję, splata je w geście bezradności czy zdziwienia. Kiedy wyjaśnia, że pozbawił życia leżącą w łóżku matkę, odgrywa w powietrzu tę sytuację.

- Trzymałem kilka minut poduszkę na twarzy, potem odpuszczałem, żeby sprawdzić, czy oddycha. Musiałem to powtarzać, bo ciągle żyła – tłumaczy z uśmiechem do kamery.

Karl P. został zatrzymany w Stanach Zjednoczonych i przekazany do dyspozycji polskich organów ścigania w maju 2021 roku. Jest oskarżony o uduszenie matki w nocy z 31 marca na 1 kwietnia 2020 roku w mieszkaniu na warszawskim Żoliborzu, poćwiartowanie zwłok i utopienie w Wiśle. Nie odnaleziono dotąd ciała; pewien wędkarz wyłowił paczkę z fragmentem ludzkich zwłok, ale wystraszony wrzucił ją z powrotem do rzeki. We wrześniu 2022 r. Wisłę w okolicy Nowego Dworu przeszukiwały polskie służby z pomocą płetwonurków i agentów Federalnego Biura Śledczego (FBI), ale bez skutku. 68-letnia Gretchen P. obywatelka USA uważana jest zatem za zaginioną. Jej zdjęcie figuruje w bazie Fundacji Itaka. Wiadomo, że miała niebieskie oczy, 167 centymetrów wzrostu.

Karl P. zatrzymany w Stanach Zjednoczonych wyjaśnił amerykańskiemu śledczym, że po zamordowaniu matki kupił piłę ręczną, taśmy naprawcze, folie malarskie, oraz metalową siatkę. Pakunki z rozczłonkowanym ciałem owinięte w siatkę ogrodzeniową (aby nie wypłynęły), zrzucił w 6 paczkach do Wisły z mostu w okolicy Nowego Dworu Mazowieckiego. W październiku 2020 roku przez nikogo niepokojony legalnie wyjechał do Stanów. Zbrodnia wyszła na jaw, gdy wygadał się przyrodniej siostrze.

W opinii biegłych psychiatrów Karl P. jest poczytalny.

\*\*\*

Przyprowadzony z aresztu na salę rozpraw Sądu Okręgowego w Warszawie chętnie zgadza się na ujawnienie w mediach jego wizerunku. Kiedy chce coś powiedzieć, zwraca się do publiczności. Przewodnicząca składu sędziowskiego Agnieszka Domańska musi go pouczyć, że wyłącznym adresatem wyjaśnień oskarżonego jest sąd.

Pytany o wykształcenie odpowiada, że studiował 6 lat, ma tytuł profesora inteligencji otwartych źródeł i kilka zawodów, m. in. inżyniera specjalisty sprzętu wojskowego, analityka statystycznego. W Warszawie był aktorem, robił reklamy. Swój stan posiadania określa jako zerowy.

Czy przyznaje się do zabójstwa? - Mogę się przyznać - odpowiada z dezynwolturą - matka zniknęła. Jestem odpowiedzialny za jej zniknięcie, ale dlaczego, to będzie wymagało długich wyjaśnień. Na moją decyzję wpłynęło wiele czynników. Nie chcę dzisiaj potwierdzać tego, co powiedziałem w śledztwie.

Sędzia: - W jakich okolicznościach pana mama zniknęła?

Oskarżony: - Umarła w naszym mieszkaniu w nocy z 31 marca na 1 kwietnia, byłem tego świadkiem. Kiedy ciało zaczęło śmierdzieć, a ja lubię czyste powietrze, zdecydowałem, jaka będzie moja reakcja. Wywiozłem ją w sześciu walizkach taksówkami Ubera do Nowego Dworu. Pakunki były starannie zapakowane, pachnące, użyłem

specjalnych środków do odświeżania powietrza o zapachu mięty i cytryny. Te zwłoki leżą w Wiśle od kwietnia 2020. Nie jestem ekspertem, ale dużo czytam, wiem, że po 30 miesiącach szukania w wodzie prawdopodobieństwo statystyczne, aby coś się znalazło, jest niewielkie. W polskich rzekach zalega pełno ludzkich kości, przez ten kraj przetaczało się wiele wojen.

- Co takiego się stało, że pana mama zmarła? - dopytuje sędzia.

- FBI powiedziałem, że kłóciliśmy się w nocy i ona udusiła się poduszką. Nie wiem, czy mogę to dziś potwierdzić. Nie dusiłem mamy, tylko obserwowałem, jak umiera i nie udzieliłem jej pomocy. W pierwszej wersji, ja kładę moją poduszkę na jej twarz i trzymam, aż przestaje oddychać, tak więc ona umiera przypadkowo. W drugiej wersji użyłem jej poduszki...

Sędzia: - Dlaczego przedstawia pan dwie wersje?

- Ponieważ nie pamiętam dokładnie, jak to było. W USA przyznałem się do zabójstwa, zrobiłem to z własnej woli. Od tamtego czasu sytuacja się rozwinęła, teraz nie przyznaję się, nie chcę być odpowiedzialny za przedłużone śledztwo, zmarnowanie środków rządowych Polski i Stanów Zjednoczonych. To przecież ja sprawiłem, że daremnie kopaliście w rzece przez 20 miesięcy.

O key. Jestem obywatelem imperium po drugiej stronie oceanu i chciałbym negocjować z polskim odpowiednikiem FBI. To, o co mnie oskarżono, jest sprawą rodzinną. Ona sama się zabiła. Pozwólcie mi ostatecznie wrócić do domu na Florydzie, na plażę. Przebywanie w Polsce to dla mnie piekło. Po 4 latach spędzonych tutaj nie wiem, co z sobą zrobić, w Ameryce miałbym z 60 opcji. Tam w najgorszym razie odsiedziałbym 5 lat i nie w tak śmieciowym więzieniu jak w Polsce.

Oskarżony zapewnia, że nie jest zagrożeniem dla społeczeństwa, ani dla jego rodziny, z którą zresztą od dawna się nie kontaktuje. Jeśli zostanie wypuszczony z aresztu, przekaże państwu polskiemu swój

projekt, jak uzdrowić tutejszy wymiar sprawiedliwości. A w Ameryce przedstawi to osobiście FBI.

Sędzia przerywa dalszy wykład oskarżonego na temat kondycji polskiego resortu sprawiedliwości, prosi Karla P. o wyjaśnienie, jak należy rozumieć jego słowa: „Na moją decyzję wpłynęło wiele czynników.”.

- Ja wiem - w głosie Karla P. narasta gniew, krzyczy - że jestem jedynym człowiekiem, który miał problemy z moją matką. Ona robiła okropne rzeczy. Złożyło się milion powodów, dlaczego jej nie ma. W obecnej sytuacji jestem zachęcany, abym się przyznał, bo w przeciwnym razie wyjdzie na to, że skłamałem podczas przesłuchiwania przez FBI. A nie chciałbym zawieść waszego zaufania.

- Proszę zapanować nad swoimi reakcjami, proszę nie krzyczeć, nie klaskać, nie zwracać się do publiczności - kolejny raz przewodnicząca składu sędziowskiego upomina oskarżonego i powtarza pytanie: - Co było przyczyną jego konfliktu z matką?

Powoli, z natłoku dywagacji, teatralnych gestów młodego mężczyzny wyłania się zarys kilku wydarzeń, które miały wpływ na jego zbrodniczy czyn.

\*\*\*

Od lat kłócili się o pieniądze. Matka miała 1700 dolarów emerytury i niewielkie wsparcie finansowe od rządu szwajcarskiego. Po śmierci męża sprzedała kilka obrazów i dom, w którym mieszkali. Postanowiła wyjechać z synem do Europy.

Karl P. twierdzi, że Gretchen P. była mu winna sporo pieniędzy, bo przywłaszczyła jego spadek po ojcu biznesmenie. Wydawała pieniądze na podróże, rozrywki, kupowała auta i w ten sposób roztrwonila pieniądze ojca. („To jest trudne oświadczenie, bo powinien być jej wdzięczny za to, że dała mi życie”.) Uważa, że miał prawo używania konta bankowego matki nawet, jeśli nie wyrażała na

to zgody. Nie uznaje tego zarzutu w akcie oskarżenia. To on jest pokrzywdzony. „Ja przebaczyłem matce kradzież moich zasobów i uprowadzenie mnie z Szwajcarii do Polski, uwięzienie w warszawskim mieszkaniu. Ale nie przebaczę, co powiedziała o mnie mojej narzeczonej, gdy planowałem ślub.”.

Pada wiele gwałtownych słów o dwóch twarzach Gretchen P.

- Ludzie pamiętają moją matkę z ładnych fotografii na Facebooku. Ja ją znam od 25 lat. Powiedziałem prokuratorowi, że nadal słyszę jak do mnie mówi. Mieszkałem z nią. Wiem, co lubi, kiedy z kulturalnej zmienia się w wulgarną. Kiedy kłamie, by pozyskać korzystną ofertę biznesową. Ona bardzo się zmieniła po przyjeździe do Europy. Tam zachowywała się jak dobra matka, tu stale mnie prowokowała. Obrażliwie, choć w ładnym opakowaniu. Może to dziedziczne, ja pochodzę z rodziny, w której wszyscy się nienawidzą.

- Jeśli sądowe śledztwo będzie uczciwe - oskarżony kończy składanie wyjaśnień w pierwszym dniu procesu - prawda o mojej mamie okaże się obrzydliwa. Amerykanom powiem, aby ją ukrzyżowali.

\*\*\*

Druga rozprawa. Karl P. przyprowadzony przez policyjny konwój wygląda na rozczarowanego brakiem fotoreporterów. Wyraźnie nudzi się, kiedy sędzia zarządza odtworzenie na telewizyjnym monitorze nagranie jego wyjaśnień złożonych w czasie polskiego śledztwa. Nie patrzy na ekran, nie słucha, rysuje coś na kartce i z kumplowskim uśmiechem pokazuje obrońcy, który dyskretnie usiłuje zdyscyplinować swego klienta. W odpowiedzi - szerokie ziewnięcie oskarżonego, zakładanie rąk na szyję, przeciąganie się.

Transmisja przesłuchania w postępowaniu przygotowawczym ujawnia linię obrony Karla P. Wbrew temu, co stwierdzili biegli psychiatrzy, sygnalizuje, że jest chory psychicznie. Z całą powagą oświadcza, że trzeba znaleźć szczątki jego matki w Wiśle, bo potrzebny mu jej kod genetyczny. Zamierza sklonować Gretchen P.

nawet, jeśli będzie się temu sprzeciwiała najbliższa rodzina. Co do planów życiowych - ma już projekt zbudowania w Stanach największej na świecie fabryki kosmicznych rakiet.

- Czy pan potwierdza swe wyjaśnienia? - pyta sędzia po wyłączeniu monitora.

Oskarżony: - Nie wygląda to tak źle. Moje wypowiedzi mogę uznać za częściowo poprawne.

- W jakim zakresie?

- Tak, na 80 procent. Co do przyznania się do napaści na matkę w 2013 roku, kiedy niby próbowałem ją zabić, to nieprawda. Ja wtedy pokłóciłem się z nią o kluczyki do samochodu i ona zadzwoniła na policję.

- Proszę się odnosić do zdarzenia opisanego w akcie oskarżenia. Chodzi o rok 2020.

Oskarżony obiecuje, że „się temu przyjrzy”.

Znudzony długim odtwarzaniem zeznań w śledztwie ożywia się, kiedy przychodzi czas na przesłuchanie jego ciotki Heidi W.-K.

64-letnia siostra zamordowanej ostatni raz miała bezpośredni kontakt z Gretchen P. w styczniu 2015 roku, przed jej wyjazdem do Szwajcarii. Zawiozła ją na lotnisko. W późniejszych latach prawie codziennie rozmawiały telefonicznie, wysyłały sobie esemesy.

Zapytana, czy matka Karla P. wspominała o relacjach z synem, zeznała, że zazwyczaj był to główny temat ich rozmów. Gretchen P. zostawiła Amerykę, bo myślała, że w nowych warunkach Karl poczuje się odpowiedzialny za swą przyszłość.

- Była bardzo szczęśliwa, że wreszcie ma w Warszawie swoje mieszkanie. Nie myślała o tym, aby jechać gdzie indziej. Ale głównym celem jej życia było uszczęśliwienie syna. Wszystkie nasze rozmowy krążyły wokół Karla. Tuż przed śmiercią dostałam od niej



cztery wiadomości. Pisała, że gotuje dla niego zupę grzybową. Była świetną kucharką cieszyła się, gdy mogła synowi dogodzić.

Kolejna wiadomość też nie wskazywała, że może się zdarzyć coś tragicznego. Informowała, że już zjedli, ona rezygnuje z pójścia do kościoła, do którego zwykle chodziła na wieczorną modlitwę. Musi się położyć, bo boli ją ucho, wzięła witaminę C.

- A czy skarżyła się na coś związanego z synem? - dopytuje sędzia.

- Wprost nie, ona nigdy nie powiedziała by na Karła złego słowa, ale frustrowała się, że nie pracuje, nie uczy się, jest na jej utrzymaniu. Do szkoły przestał chodzić, gdy skończył 15 lat. W naszej rodzinie wykształcenie bardzo się liczy.

Było jeszcze coś, do czego Gretchen przyznała się siostrze z wielkimi oporami, wręcz z zawstydzeniem. Wypytywana jak to się dzieje, że nie potrafi się utrzymać w Polsce za 1700 dolarów miesięcznie wyznała, że jest zmuszona dawać synowi pieniądze na narkotyki. W przekonaniu świadka, Karl P. był uzależniony od gier komputerowych i psychoaktywnych używek. Jego matka zamartwiała się, że nic nie robi, przesypia całe dni, bo nocy gra i narkotyzuje się.

Ale to była tajemnica sióstr. Do przyjaciół i znajomych Gretchen P. mówiła o synu wyłącznie pozytywnie.

- Siostra bała się odmówić Karlowi, że wpadnie w złość. Jako matka, nie rozumiałam tego. Ten lęk nasilił się po marcu 2013 roku, kiedy mojego siostrzeńca zatrzymała policja. Gretchen zadzwoniła wtedy do mnie i wyznała, że boi się powtórzenia losu szwagierki z Wielkiej Brytanii zamordowanej przez swojego syna. Mimo to wyblagała zwolnienie Karla z aresztu. Wypuszczono go pod warunkiem, że obowiązkowo podda się terapii rozładowywania emocji.

- Czy informowała panią o stanie swego zdrowia?

- Nic poważnego jej nie dolegało, nie byłoby o czym mówić. Zresztą, uważała, że najlepszym lekarstwem jest zdrowy tryb życia. Bez

palenia papierosów, brania używek, tylko dobre odżywianie się. Zawsze myślałam, że choć starsza ode mnie, przeżyje mnie z tak silną determinacją pokonywania trudności. Nie bała się wyzwań losu. Nasz ojciec zmarł, gdy miała 14 lat. Mama się załamała, do śmierci, która nastąpiła 4 lata później, nie przestała chorować. Gretchen wzięła wszystko na swoje barki. Od organizacji pogrzebu, do opieki nad młodszym rodzeństwem. Po śmierci szwagra, gdy okazało się, że prowadzony przez niego biznes jest w ruinie, też nie siedziała z założonymi rękami. W Europie szukała miejsca, gdzie mogłaby zadbać o przyszłość syna. Wyjechała w nieznane, ale utrzymywała kontakt z wieloma osobami, w Ameryce nie tylko krewnymi. Pamiętała o urodzinach mnóstwa znajomych, telefonowała do nich z życzeniami.

Sędzia: - Oskarżony mówił o storpedowaniu przez matkę jego planów małżeńskich. Co wiadomo świadkowi na ten temat?

- To nieprawdopodobne, nigdy o tym nie wspominała. Na pewno by mi powiedziała, że Karl chce się żenić. To by oznaczało, że się ustabilizował, czego tak pragnęła.

- A kiedy urwały się wszelkie kontakty Gretchen P. ze znajomymi?

- W tym samym czasie, co ze mną - 31 marca 2020 roku. Wysłała mi 4 esemesy i jej telefon zamilkł. Natomiast pojawiło się wiele wpisów na jej kontach społecznościowych. Wynikało z nich, że wyjechała do Ameryki, ale nie podawała, gdzie przebywa. To nie mieściło się w jej zwyczajach. Wszyscy zastanawialiśmy się, dlaczego nie dzwoni, ona zawsze miała komórkę w zasięgu ręki.

W ogóle, sposób konstruowania informacji internetowych nie był w jej stylu. A kiedy obejrzałam na FB jej zdjęcie rzekomo zrobione już w Stanach, moje podejrzenia, że to fotomontaż, nasiliły się. Pamiętałam, co mi mówiła w marcu - nigdzie się nie wybiera, zresztą z powodu covidu samoloty nie latały za ocean.

Kiedy kolejny raz telefon Gretchen P. był głuchy, świadka nasza myśl, że siostra została zamordowana przez Karla. Przypomniała jej

się opowieść Gretchen o traumatycznym wydarzeniu w 2013 roku. W Ameryce spotkała się z przyjaciółką zaginionej, której zwierzyła się ze swych podejrzeń. Wtedy usłyszała w szczegółach, jak to było z próbą uduszenia Gretchen P. przez jej syna w 2013 roku. Poszło o kluczyki do samochodu, których kobieta z jakichś powodów nie chciała dać Karlowi. On wtedy stał na zewnątrz, okno wozu było otwarte. Przechylił się, ścisnął rękami jej szyję i zaczął dusić..

Heidia W.-K prowadząc amatorskie śledztwo postanowiła sprawdzić konto bankowe, które miała wspólnie z siostrą. Odkładały na nie po 25 dolarów miesięcznie na czarną godzinę. W maju 2020 roku zauważyła, że z konta raz po raz znikają pieniądze.

- Siostra powiedziałyby mi, gdyby wyjmowała jakieś kwoty. To mógł zrobić tylko Karl po śmierci matki - stwierdziła świadek kończąc zeznania.

\*\*\*

11 lipca 2023, roku Karl P. usłyszał wyrok. Sąd skazał go na 25 lat więzienia. O prawo do warunkowego zwolnienia będzie mógł ubiegać się po 20 latach. Przewodnicząca składu, sędzia Agnieszka Domańska uzasadniając wyrok, przypominała, że proces był poszlakowy (ciała, mimo zakrojonych na ogromną skalę poszukiwań do dziś nie odnaleziono), ale zgromadzone w toku śledztwa dowody tworzą zamknięty łańcuch poszlak, świadczący o tym, że oskarżony dopuścił się popełnienia zarzucanych mu czynów. Karl P. nie zrobił tego w afekcie. Wykorzystując swą przewagę fizyczną i zaskoczenie, dusił matkę poduszką przykładaną do twarzy kobiety, po czym zwalniał ucisk, aby sprawdzić reakcję. Ponawiał tę czynność kilkakrotnie, aż do zgonu ofiary.

Sędzia odniosła się też do sugestii, jaka pojawiła się w trakcie procesu, że Gretchen P. popełniła samobójstwo. - Żadna z osób utrzymujących z nią intensywne relacje nie wskazywała na okoliczności, które w minimalnym chociażby stopniu uzasadniałyby targnięcie się pokrzywdzonej na swoje życie.

Dokumentacja medyczna oraz treść wiadomości wysyłanych do znajomych niemal do ostatnich chwil życia Gretchen P. są dowodem, że przyczyną śmierci nie był jej stan zdrowia. Gdyby zmarła na skutek samobójstwa, oskarżony nie ukrywałoby jej ciała po uprzednim rozczłonkowaniu.

Prokurator żądał dla Karla P. dożywocia. - Sąd uznał, że zasadne będzie wymierzenie kary nieeliminującej oskarżonego ze społeczeństwa. Karl P. po odbyciu resocjalizacji w zakładzie karnym może jeszcze wrócić do społeczeństwa.

Wyrok jest nieprawomocny.

## Rodzina tajemnica

**Kręactwa zapijaczonych meneli okazały się majstersztykiem z punktu widzenia obrony. Sąd, jeśli miał postąpić zgodnie z sumieniem i literą prawa musiał uniewinnić domniemanego zabójcę.**

- Ta osoba, która jest za drzwiami i czeka na przesłuchanie zabiła mi kolegę. Kłosem w niego rzucała, skakała po nim - twierdzi świadek Marek Ł. pseudo Legia, doprowadzony na rozprawę po prawie roku od ujawnienia śmierci Patryka J. w mieszkaniu przy ulicy Małej na warszawskiej Pradze. Świadka szukano w noclegowniach, w ogródkach działkowych, na dworcach. Marek Ł. przepadł, jak kamień w wodę po przesłuchaniu w komisariacie policji pod koniec marca 2021 roku.

Kiedy wreszcie stanął za barierką dla świadków okazało się, że ma we krwi 1,02 alkoholu.

Z płaczem odwołał swoje zeznania sprzed roku, złożone w prokuraturze. Wówczas jako mordercę wskazał oskarżonego w tym procesie Krzysztofa J. Tak zeznawał do policyjnego protokołu:

W mieszkaniu Patryka J. siedzieli w trzech: on, gospodarz lokalu i bezdomny Łukasz Z. Pili wódkę. To było 13 marca 2021 roku. Pod wieczór odwiedził Patryka J. jego starszy brat Krzysztof. Przyniósł pół litra. Kiedy alkohol się skończył, Patryk kazał Krzyśkowi przynieść ze sklepu kolejną butelkę. Tamtemu nie chciało się wychodzić. Wtedy Patryk uderzył go z tzw. liścia i wyzwał od najgorszych. Napastowany chwycił leżący na podłodze nóż i dźgnął brata w rękę. Następnie w furii rozbił na głowie Patryka talerz, zerwał z sufitu żyrandol i rzucił nim w brata, gdy ten leżał nieruchomo w kałuży krwi. Przeciągnął pobitego do drugiego pokoju, zasłonił wejście kotarą. Nie pozwolił tam zaglądać; bo „Patryk musi odespać po awanturze”.

Usiedli więc przy stole i dopili to, co zostało w butelce.

- Nie wiem, dlaczego tak wtedy powiedziałem, chciałbym sprostować - poinformował świadek po odczytaniu na rozprawie jego zeznań złożonych w komisariacie. - Prawda jest inna, to Łukasz Z. zabił Patryka. Skłamałem, kiedy przesłuchiwała mnie policja. Teraz mam wyrzuty sumienia; niewinna osoba nie może iść do więzienia, niech odpokutuje ten, co to zrobił...

Nie wiem, jaki to był dzień tygodnia, może poniedziałek 15 marca. Jestem alkoholikiem, mam zaniki pamięci - zeznał Marek Ł. w sądzie. Popijaliśmy we trzech: Patryk, Łukasz i ja. Oskarżonego Krzysztofa J. nie było wtedy na Małej. Łukasza coś zdenerwowało, zaczął bić Patryka. Kiedy przestał, Patryk przeciął sobie żyły nożem i upadł na podłogę. Łukasza znowu wzięła pijacka złość, wyrwał z sufitu w dużym pokoju kłoszi uderzył nim Patryka w głowę, potem skakał po nim. Kiedy wychodziliśmy z mieszkania, Patryk był w łóżku. Sam się położył. Nie krzyczał, nie wołał o pomoc, nic nie mówił. Nie wiedziałem, że umiera.

Według relacji tego świadka, w jadłodajni dla bezdomnych na Dworcu Centralnym spotkali Krzysztofa J. i dali mu klucz od mieszkania na Małej nie mówiąc o pobiciu gospodarza. Tę noc Marek Ł. przespał na klatce schodowej albo w autobusie, nie pamięta.

\*\*\*

Z zeznań świadka wyłania się obraz życia w Warszawie ludzi ze społecznego marginesu - nigdzie nie pracujących, bez domu, z nieodłączną flaszką alkoholu albo puszką piwa w kieszeni. W wielkim mieście można tak egzystować latami. Marek Ł. i jego kumple zjadają bezpłatne obiady w którejś z ośmiu stołecznych jadłodajni dla bezdomnych, najchętniej w klasztorze Braci Mniejszych Kapucynów na Miodowej. Kolacja czeka na nich na Dworcu Centralnym, gdzie włóczęgami opiekują się wolontariusze z kilku fundacji, m. in. o nazwie „Daj herbaty”. W prowiant na śniadanie najwygodniej jest im zaopatrywać się pod Pałacem

Kultury u serwujących bezpłatne kanapki brytyjskich Hindusów z organizacji Warsaw SEVA. W tym punkcie Warszawy można też dostać nowy śpiwór lub inne przykrycie, jeśli nie ma się dachu nad głową. Czyste ubrania wybierają z pojemników Caritasu na używaną odzież.

Markowi Ł. nie groziło spanie na ławce w parku, gdyż zimą zaprosił go do swego mieszkania Patryk J. Przydział na dwa pokoje z kuchnią w budynku komunalnym dostała matka Patryka. Kiedy przed dwoma laty umarła, głównym najemcą został jej najmłodszy syn. Pozostałe rodzeństwo, a było ich trzynaścioro - rozpiechło się po Warszawie. Do m-3 na Małej miał jeszcze prawo Krzysztof J. Też bezdomny, ale rzadko zostawał tam na noc, gdyż za każdym razem między braćmi dochodziło do bójk. Dłużej przebywał pod tym adresem Łukasz Z. bezdomny alkoholik. Chodził z Patrykiem J. żebrąc na skrzyżowanie Wileńska-Targowa.

Kolejny świadek Jacek U. był sąsiadem Patryka. 19 marca 2021 roku spotkał w bramie kamienicy, gdzie mieszka, braci Krzysztofa i Jacka J. Zapytali go, czy ma do pożyczenia łom, bo chcieliby dostać się do mieszkania Patryka. On nie otwiera drzwi, pewnie nie żyje.

Jackowi U. przypomniało się, że kilka dni przed spotkaniem braci J. słyszał z lokalu sąsiada nie tylko odgłosy pijackiej kłótni, ale i męski płacz. Nie pożyczył braciom J. łomu, przekonywał, że trzeba powiadomić policję. „Zastanawiałem się, skąd Krzysztof J. mógł wiedzieć, że Patryk nie żyje, skoro jeszcze nie doszedł do mieszkania. Nie powiedziałem tego na głos, bo gdy wyjąłem komórkę, żeby zadzwonić na praską komendę, oni od razu odeszli”.

Wszyscy wezwani do sądu lokatorzy domu przy ulicy Małej mówili o uciążliwości sąsiedztwa Patryka J. - Tam odbywały się takie imprezy, - zeznał lokator z parteru - że tylko patrzyłem, czy nie spadnie mi sufit na głowę. Jeden z pijanych gości wychodził w nocy na klatkę i darł się Legia! Legia! Założyłem podwójne metalowe drzwi, żeby móc zasnąć.

Administrator budynku komunalnego wyjaśnił, że prawo do lokalu przy ulicy Małej mieli obaj bracia Patryk i Krzysztof J. W listopadzie 2019 roku zapadł sądowy wyrok o eksmisji. Dostali z gminy skierowanie do lokalu socjalnego, ale nie zgłosili się pod nowy adres.

\*\*\*

Oskarżony Krzysztof J. został zatrzymany czwartego dnia po wyważeniu przez straż drzwi do mieszkania jego młodszego brata Patryka. Denat ze śladami silnego pobicia leżał na podłodze. Twarz miał przykrytą kurtką. Od podejrzanego próbowano pobrać odciski linii papilarnych, ale nie było to możliwe, gdyż miał bardzo pokancerowane dłonie. Nie przyznał się do pobicia ze skutkiem śmiertelnym swego brata. Twierdził, że ma alibi - w czasie libacji na Małej był w izbie wytrzeźwień na Kolskiej, a zabójcą jest któryś z gości Patryka J.: Marek Ł., lub Łukasz Z. O śmierci brata dowiedział się od tych dwóch w jadłodajni dla bezdomnych na dworcu Warszawa Centralna. - Oni chcieli, aby brat zabrał ich do nowego mieszkania, które przydzielono mu z powodu eksmisji z Małej, ale nie mieli szans.

Miesiąc później osadzony w areszcie na Białołęce Krzysztof J. napisał do swej siostry list.

„(...) Pewnie już cię powiadomiono, że Patryk nie żyje, został pobity, pocięty nożem i wszystko na mnie. W życiu bym go nie uderzył, to obiecywałem naszej świętej pamięci matce, chociaż to ja zawsze dostawałem od niego młotkiem po głowie. Źle, że sprowadził do domu Marka i Łukasza. Dał im schronienie, a oni tak się odwdzięczyli. Ćpali i przez to robili się agresywni. Mnie w domu nie było, akurat dwa razy trzeźwiałem na Kolskiej.

Teresa, grozi mi duży wyrok, Marek z Łukaszem chcą mnie zrobić w zabicie Patryka. (...) Nie rozumiem prokuratora, który wierzy takim, co mieli wyroki. Na razie. Pa, pa, pa „.



Odtworzono zapis rozmowy telefonicznej Patryka J. z dyżurnym policjantem praskiego komisariatu czwartego marca 2021 roku. Zagaszający jest pijany, bełkocze. Na pytanie, co się stało, wyjaśnia, że „jest cały pobity”.

- Kto pana pobił? – pyta policjant
- Nie wiem, nie znam. Ja tylko nie chciałem otworzyć bratu drzwi.
- A kiedy był brat?
- Przed chwilą.
- A gdzie są sprawcy?
- No właśnie wyszli, zaraz przyjdą.

W akcie oskarżenia początek tragedii na ulicy Małej prokurator datuje na późny wieczór i noc z 13 na 14 marca 2021. Zaczęło się od uderzenia przez gospodarza w twarz Krzysztofa J. Zaatakowany odwinął się, po chwili obaj okładali się pięściami. W pewnym momencie Krzysztof J. chwycił nóż...

Zwłoki ofiary znaleziono 19 marca. Na nożu ujawniono DNA co najmniej 4 osób.

Ekspertyza kryminalistyczna w mieszkaniu denata wykazała w kilku miejscach ślady krwi pokrzywdzonego i jego gości: Na ścianach, kawałku stłuczonego talerza, dywanie, trzonku młotka, fragmencie żyrandola. - Nie ma naukowej metody - stwierdził biegły - na określenie wieku śladów. W przypadku substancji potowo tłuszczowej i szkła osoba, która jako ostatnia dotykała, usuwa materiał naniesiony wcześniej.

W toku postępowania nie zdołano jednoznacznie określić daty zbrodni. Sekcja zwłok Patryka J. wykazała, że przyczyną zgonu był uraz głowy po uderzeniu w nią kloszem oraz zakłócone krążenie na skutek połamania żeber.

\*\*\*

Krzysztof J. doprowadzony na pierwszą rozprawę w Sądzie Okręgowym Warszawa Praga w Warszawie nie chciał odpowiadać na pytania sędzi Małgorzaty Wasylczuk. Wyjaśnił, że jest niewinny, nie zamordował brata. W czasie tragicznego zdarzenia nie było go w mieszkaniu Patryka J. Teraz źle się czuje, nie spał kilka nocy, ma zawroty głowy.

Nie chcieli zeznawać w sądzie sąsiedzi Patryka J. Stefania C. na pytanie, czy czegoś się boi i dlatego milczy odpowiedziała, że chce umrzeć naturalną śmiercią. Kiedyś próbowała poskarżyć się policji na burdy u mieszkającego piętro wyżej J., odprawiano ją z kwitkiem. Raz przyjęli zgłoszenie, ale patrol pojawił się z kilkugodzinnym opóźnieniem; awanturnicy zdążyli uciec, a policja zagroziła jej, że zapłaci za niesłuszne wezwanie patrolu.

Zdecydowanie bronił oskarżonego jego starszy brat Jacek. O pokrzywdzonym niewiele mógł powiedzieć, bo nie odwiedzał go na Małej. Natomiast wie od Krzysztofa, który czasem przychodził do świadka na obiad, że nie może on mieszkać z Patrykiem, choć jest tam jest zameldowany. Odstraszają go nieustanne awantury kompanów najmłodszego brata.

- Tam rządzili dzicy lokatorzy Łukasz Z. i Marek Ł. Kryminaliści, wiele lat spędzili w więzieniu - twierdził świadek. Kilka razy Krzysztof, aby uniknąć pobicia musiał uciekać z Małej. Patryk robił się agresywny w towarzystwie pijanych kumpli. Kiedy był sam, Krzysztof przynosił mu jedzenie ze stołówek dla bezdomnych. Ale gdy zagnieździli się tam ci dwaj, omijał ten adres.

Świadek tak się zapędził w przedstawianiu kryształowego charakteru oskarżonego, że gotów był przysiąc, że nigdy nie widział go pijanego.

Na kolejnej rozprawie zeznawał Łukasz Z. Twierdził, że w nocy z 13 na 14 marca 2021 Krzysztof J. uczestniczył w libacji u Patryka J. Kiedy skończył się alkohol, bracia ruszyli na siebie z pięściami.

Wychudzony Patryk, z chorym kręgosłupem, nie miał szans w starciu z masywnym Krzysztofem. W pewnym momencie starszy brat rzucił żyrandolem w Patryka. Kiedy świadek opuszczał mieszkanie, Patryk chyba jeszcze żył. Krzysztof J. sam został w mieszkaniu z bratem.

Biegła psycholog przysłuchująca się tym zeznaniom uznała, że świadek kłamie. Łukasz Z. w swoim interesie nie był zainteresowany rzetelnym przedstawieniem wydarzenia.

\*\*\*

- Trudno ustalić datę samego zdarzenia - zaczął swą ostatnią mowę prokurator - tragedia rozegrała się z udziałem osób, które łączy solidarność towarzyska, częściowo pokrewieństwo, niechęć do sprawienia sobie kłopotu z powodu bycia świadkiem morderstwa. Trzeba też uwzględnić, że ulica Mała na warszawskiej Pradze to miejsce, które nawet policjanci wolą omijać z daleka.

W postępowaniu przygotowawczym stwierdzono, że Krzysztof J. sprowokowany przez Patryka J.. odpowiedział brutalnością. Ściągnięcie z sufitu klosza, przytaszczenie go z drugiego pokoju, wskazuje na premedytację sprawcy i działanie z zamiarem bezpośrednim.

Po zdarzeniu Krzysztof J. zabrał się uprzątnięcia śladów zbrodni. Nie było ono staranne, skoro za drugim wejściem policji znaleziono kawałek szklanego klosza pod regałem. Przy okazji, z mieszkania zginęło kilka wartościowych rzeczy, m. in. telefon ofiary.

Nie jest wykluczone - prokurator przedstawił też, jak się wyraził, fakty ze znakiem zapytania - że w sprzątaniu pomagał oskarżonemu Łukasz Z. Na znalezionym pod meblem kawałku klosza wykryto jego DNA.

Oceniając zeznania tego świadka w sądzie, odwoływanie wersji z okresu śledztwa należy pamiętać, że był on pod wpływem alkoholu i demonstrował środowiskową więź. Podobnie zachowywał się Marek Ł., który na początku w ogóle nie chciał zeznawać w tej sprawie,

a nakłoniony przez sąd wypowiadał się skrajnie korzystnie dla oskarżonego, co ilustrował pokazywaniem mu uniesionego do góry kciuka. Zeznania Ł. pokrywają się z wyjaśnieniami Krzysztofa J. w śledztwie. To zapewne skutek rozmowy telefonicznej aresztowanego z siostrą, która była w bliskim kontakcie z Markiem Ł. i sterowała uzgadnianiem wersji zeznań.

Zdaniem prokuratora wyjaśnienia oskarżonego ewoluują w zależności od postępowania procesu sądowego. Brakuje w tych wyjaśnieniach logiki. Skoro zdaniem Krzysztofa J. zabójcą był Łukasz Z., to dlaczego pozwolił mu się oddalić przed powiadomieniem policji? I dlaczego osoba winna śmierci ściągnęła na miejsce zbrodni brata ofiary?

Oskarżony zmieniając przed sądem wyjaśnienia przypominał sobie coraz więcej szczegółów, odwoływał to, co mówił wcześniej. Twierdził np., że mu się pomyliło, nie spędził nocy ze zwłokami brata.

- W mojej ocenie - prokurator podsumował swoje rozważania - Krzysztof J. nie dążył za wszelką cenę do śmierci brata, lecz wpadł w takie emocje. Impulsem mogła być sprzeczka i wcześniejsze urazy psychiczne do ofiary, np. o to, że kiedyś uderzył go młotkiem. W tej rodzinie nie było braterskich uczuć. Z trzynastorga rodzeństwa nikt nie uczestniczył w pogrzebie Patryka J. Pochówkiem zajęła się opieka społeczna. Rodzina nawet nie wie, gdzie jest grób.

Prokurator domagał się 25 lat więzienia dla Krzysztofa J.

Adwokat oskarżonego wnosił o uniewinnienie jego klienta. W przekonaniu mecenasa postępowanie przygotowawcze od początku prowadzone było wadliwie. Nawet nie ustalono przyczyny zgonu. Jeśli jest oskarżenie z art. 148 par.1 (czyli o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem), prokurator nie może dywagować mówiąc „zapewne tak było”. Musi mieć pewność, że oskarżony dokonał zbrodni.

Badanie pośmiertne zwłok zostało wykonane wadliwie. Nie ulega wątpliwości, że w użyciu był nóż. Ale jeden ze świadków twierdził, że Patryk J. sam się skaleczył w pijackiej determinacji. W postępowaniu przygotowawczym nie sprawdzono, czy rana mogła powstać przez samoistne uszkodzenie.

Było dwóch naocznych świadków: Marek Ł. i Łukasz Z. Ten pierwszy składał zeznania będąc pod wpływem alkoholu i na głodzie narkotykowym. Zeznania drugiego też trudno traktować jako wiarygodne; on od wielu lat żyje w konflikcie z prawem, jest wyspecjalizowany w mataczeniu. Tylko oskarżony nie miał kolizji z prawem. Bezskutecznie prosił o zbadanie go wariografem.

- Kodeks karny nakazuje - przypomniał adwokat - że jeśli nie mamy pewności co do sprawcy, wątpliwości należy tłumaczyć na korzyść oskarżonego .

\*\*\*

Sąd uniewinnił Krzysztofa J.

W uzasadnieniu wyroku sędzia Małgorzata Wasylczuk wskazała na wiele niewiadomych w akcie oskarżenia, których w postępowaniu sądowym nie dało się wyjaśnić.

Nie jest znana dokładna data zgonu pokrzywdzonego. Sądząc po płaczu Patryka J., który słyszał sąsiad z 13 na 14 marca i trwającej potem nieprzerwanej ciszy, to owej nocy doszło do zabójstwa. W tym stanie rzeczy wątpliwe byłyby zeznania Marka Ł. i Łukasza Z., że do zbrodni prawdopodobnie doszło w poniedziałek 15 marca.

Wyjaśnienia Krzysztofa J. zasługiwały na uwzględnienie jedynie w części. Sąd dał wiarę, że oskarżony w okresie zbliżonym do daty ujawnienia zwłok był w ośrodku dla nietrzeźwych na ulicy Kolskiej. Uwierzono mu, że 15 marca 2021 r. wraz z Markiem Ł. posiłał się na dworcem Centralnym i potem przyjechał do mieszkania Patryka.

Marek Ł. dopiero na rozprawie powiedział o skakaniu po ciele Patryka przez Łukasza Z., Z tej relacji wynikało, że widział pastwienie się nad gospodarzem mieszkania przy ulicy Małej.

Sąd musiał wziąć pod uwagę, że świadek ma zaburzoną osobowość na skutek picia alkoholu. Biegły psycholog ocenił jego wypowiedzi jako niewiarygodne. Ł. składając zeznania w sądzie próbował dostosowywać je do posiadanych już informacji. Mimo to nie potrafił logicznie wytłumaczyć rozbieżności w swych stwierdzeniach. Nic nie wskazywało, że złożone w śledztwie wymusiła na nim, jak twierdził, policja. Marek Ł. był przesłuchiwany jako pierwszy, policjanci nie mieli jeszcze wiedzy o przebiegu wydarzenia. Nie mogli niczego mu sugerować.

Również Łukasz Z. nie mówił prawdy. W jego zeznaniach roilo się od sprzeczności. Kiedy nie wiedział, co odpowiedzieć na pytania stron, zasłaniał się brakiem pamięci. Między Markiem Ł. a Łukaszem Z. mogło dojść do uzgodnienia wersji składanych zeznań.

Wyjaśnienia Krzysztofa J w. śledztwie i na rozprawie były zmienne, niespójne i nielogiczne. W zdecydowanej większości nie mogły być uznane za wiarygodne.

Dla wydania wyroku nie wystarcza podejrzenie popełnienia przestępstwa - podkreśliła dobitnie sędzia - musi być całkowita pewność. W kodeksie karnym obowiązuje zasada in dubio pro reo. (Nie dające się usunąć wątpliwości rozstrzyga się na korzyść oskarżonego).

Tak oto krętactwa zapijaczonych meneli okazały się majstersztykiem z punktu widzenia obrony. A sąd, jeśli miał postąpić zgodnie z sumieniem i literą prawa nie miał innego wyjścia, jak uniewinnić domniemanego sprawcę.

Wyrok nie jest prawomocny.

## Nie ma wybaczenia

**Tylko 4 lata a nawet 2,5 za śmierć męża lub żony? Rodzina ofiary jest głucha na argumenty sądu. Zmiany wyroku domaga się prawem oskarżycieli posiłkowych.**

50-letnia Marzena U. już podczas pierwszego przesłuchania przyznała się do dźgnięcia nożem w serce jej męża Mariusza. Twierdziła, że to się stało w obronie własnej. Nigdy wcześniej nie podniosła na niego ręki, choć kiedy był pijany, prowokował ją pytając, czy coś się nie podoba. Odpowiadała, że wszystko w porządku.

Awantura zaczęła się poprzedniego dnia, gdy pijany wrócił z pracy i bez powodu uderzył ją pięścią w twarz, wybijając kilka zębów. W takim stanie nie mogła iść do pracy. Wezwała policję, ale nie chciała wpuścić funkcjonariuszy do mieszkania, o agresji męża opowiedziała w radiowozie. Dzielnicowy chciał jej załatwić zakaz zbliżania się męża do niej, uznała to za absurd. Przecież mieszkają razem, on się dokłada do czynszu.

- Kazali mi w razie czego dzwonić - Marzena U. wyjaśnia na rozprawie.

Wróciła do domu, mąż spał w pijackim zamroczeniu. Nazajutrz rano napiła się na odwagę wódki i czekała, aż on się obudzi. Zamierzała mu powiedzieć, że jeśli się nie zmieni, odejdzie. Nie miała rodziny, u której mogłaby się zatrzymać i kochała tego drania, ale on pogrążał się w alkoholizm ciągnąc ją za sobą.

Oskarżona płacze. Nie doszło do żadnej rozmowy; kiedy usiadła na łóżku (pokój, który wynajmują, ma dziesięć metrów kwadratowych, jest bardzo ciasno) mąż rzucił się na nią z pięściami, dusił, kopał w chorą nogę. Twierdził, że go zdradza, co nie było prawdą.

- Złapałam leżący na komodzie nóż - wyjaśnia w sądzie - chciałam go tylko nastraszyć; mam uszkodzone w dłoniach włókna nerwowe, nie rozumiem, w jaki sposób ścisnęłam rękojeść i doszło do ciosu. Pamiętam, że szybko wyjęłam ostrze z rany. Mariusz usiadł na podłodze przy szafie, mówił, że jest mu słabo. Z tej malutkiej dziurki sączyła się krew. Wybiegłam na korytarz, wołałam: Ratujcie go! Jeden sąsiad wyjrzał, ale zaraz się cofnął. Położyłam męża na kanapie, przepraszałam go za to, co się stało.

\*\*\*

Pogotowie zabrało Mariusza U. do szpitala. Był przytomny, wezwanemu właścicielowi wynajmowanego lokalu zwierzył się, że czasem krzywdził kochaną żonę. Przyjechała policja, Marzena U. przyznała się do zranienia męża nożem. Zabrali ją na komisariat - w czasie jazdy funkcjonariusz odebrał telefon ze szpitala, że ranny jest operowany. Następnego dnia, już w areszcie powiedzieli jej, że mąż nie żyje.

- Miałam tylko jego - kobieta łka w ławie oskarżonych - i go zabiłam. Nie wiem, czy dam radę żyć bez niego.

Wbrew oczekiwaniom Damiana U. brata pokrzywdzonego, który przed Sądem Okręgowym dla Warszawy Pragi występował jako oskarżyciel posiłkowy, Marzena U. została skazana tylko na 4 lata. Jej szwagrowi sąd przyznał zadośćuczynienie w kwocie 5 tysięcy złotych. W określeniu wysokości kwoty wzięto pod uwagę relacje, jakie łączyły Damiana U. z pokrzywdzonym. Nie utrzymywali ze sobą kontaktu.

Sędzia Małgorzata Wasylczuk w uzasadnieniu wyroku podała, że dla właściwej oceny prawnie karnej zachowania oskarżonej, istotna była opinia psychiatrów i psychologów. Zdaniem biegłych, Marzena U. cierpi na zespół zależności alkoholowej i zaburzenia depresyjne.

Zabójstwo jest przestępstwem umyślnym, które można popełnić zarówno z zamiarem bezpośrednim jak i ewentualnym. O zamiarze



sprawcy decyduje jego nastawienie psychiczne w krytycznej chwili. Zadanie ciosu człowiekowi w miejsce dla życia niebezpieczne, a nawet użycie narzędzia mogącego spowodować śmierć nie przesądzają automatycznie o tym, że sprawca działał z morderczą myślą. Nie wystarczy wskazanie sposobu działania. Sprawiedliwy wyrok musi poprzedzić analiza motywacji sprawcy, stosunków pomiędzy nim a pokrzywdzonym, tła zajścia itd.

Jeśli uwzględni się te wszystkie okoliczności, nie można uznać, że Marzena U. godziła nożem w męża w zamiarze bezpośrednim. Fakt - przekroczyła granicę obrony koniecznej. Sytuacja, w jakiej się znalazła 18 lipca 2022 roku nie uzasadniała takiego zachowania. Ale było to zabójstwo w zamiarze ewentualnym. Marzena U. zasługiwała na skorzystanie z instytucji nadzwyczajnego złagodzenia kary przewidzianej w art. 25 par. 2 kk („W razie przekroczenia granic obrony koniecznej, w szczególności, gdy sprawca zastosował sposób obrony niewspółmierny do niebezpieczeństwa zamachu, sąd może zastosować nadzwyczajne złagodzenie kary, a nawet odstąpić od jej wymierzenia”.)

Skazana będzie odbywać karę w systemie terapeutycznym.

Kiedy sędzia ogłosiła wyrok, brat ofiary złapał się za głowę. Później, już na korytarzu sądowym wyrzekął głośno, że spodziewał się co najmniej 25 lat. Skupieni wokół niego obserwatorzy procesu hałaśliwie solidaryzowali się ze szwagrem skazanej.

\*\*\*

Jeszcze gwałtowniejsze oburzenie oskarżycielki posiłkowej wywołał wyrok w tym samym Sądzie Okręgowym Warszawa - Praga dla mieszkańca podwarszawskiego miasteczka Bradleya E. obywatela RPA. Za zabójstwo żony został skazany nieprawomocnym wyrokiem na 2,5 roku więzienia.

12 stycznia 2013 roku E. czekał na policję na ganku w zakrwawionej kurtce, otulając trójkę swych dzieci. Drżały z zimna, bo w mroźne

popołudnie wybiegły na dwór tylko w bluzach. Wiedziały od ojca, że zabił ich matkę. Mimo to obejmowały go. Bradley E. płakał.

Kiedy zakuty w kajdanki wchodził do policyjnego wozu, jeszcze raz odwrócił się w stronę swoich dzieci i przeprosił je za to, co się stało. Powtarzał, że kochał ich mamę, a teraz zmarnował im życie i prawdopodobnie długo się nie zobaczą.

Jak powiedział na pierwszym przesłuchaniu, żona Sylwia była jedyną kobietą liczącą się w jego życiu. Przyjechał do niej z Afryki w 1998 roku. Wystarczyło jedno słowo zachęty, wypowiedziane w Polsce przez telefon, które usłyszał w swoim rodzinnym mieście i rzucił wszystko. Studia w RPA, dobrze płatną pracę. Ślub wzięli w Anglii. Ona zamierzała wrócić do swego kraju, on nie chciał się jej sprzeciwiać, choć wiedział, że w Polsce zaczynają wspólne życie od zera.

\*\*\*

W Warszawie otworzył gabinet trenera personalnego. Z czasem przypadł do gustu celebrytom, polecali go sobie; wkrótce miał tyle roboty, że zapisy wymagały rekomendacji. Była więc satysfakcja, a także pieniądze na kupno większego mieszkania i utrzymanie rodziny na godziwym poziomie. Niepracująca żona zajmowała się trójką dzieci. On harował, nawet nie odczuwając tego; był szczęśliwy. Nie zmienił tempa, gdy po odchowaniu dzieci żona zatrudniła się w szkole. Ciągłe mieli duże wydatki - bywanie w środowisku medialnych gwiazd oznaczało równanie do ich poziomu życia.

- Po 15 latach małżeństwa - wyznał E. przesłuchującemu go policjantowi - poczułem, że nasze dotychczas zgodne małżeństwo jest zagrożone. Najpierw drobiazg - żona zapomniała o moich urodzinach. To się zdarzyło po raz pierwszy. Przemilczałem gorycz, ona nie pytała, co mnie gryzie.

Miesiąc później szukałem w jej torbie drobnych monet, znalazłem krem intymny. Napoczęty. Nie używaliśmy takiego specyfiku.

Zapytałem, co to ma znaczyć, a Sylwia bez ceregieli przyznała się do nawiązania seksualnego kontaktu z pewnym Turkiem. Potem wyszedł na jaw jej kolejny romans. Do intymnych zbliżeń dochodziło w pokojach hotelowych.

E. był załamany. Czuł się winny, bo w klubie fitness pracował do późnego wieczoru. zaproponował żonie, aby poskromili apetyty finansowe, żyli skromniej, ale za to będą więcej ze sobą. Zgodziła się, ale następnego dnia wykrzyczała mu, że na dosyć mieszkania w bloku z epoki Gierka, chce mieć własną willę. Tyle gotówki, żeby od ręki kupić nieruchomość, nie mieli. E. poprosił swych rodziców, aby przesłali mu pieniądze, które zaoszczędził w ojczystym kraju na fundusz emerytalny. W banku mógł wziąć kredyt pod warunkiem, że jeszcze się gdzieś dodatkowo zatrudni. A to oznaczało jeszcze więcej pracy.

\*\*\*

Miesiąc później, tuż przed wigilią, wprowadzili się pod nowy adres. Nie były to jednak szczęśliwe święta; zepsuły je wtrącające się do wszystkiego przybyłe z wizytą teściowa i siostra żony. Doszło do awantury, Bradley E. przypomniał gościom, kto tu jest gospodarzem, obrażone kobiety zaczęły się pakować. Wtedy żona E. wskazując palcem na męża orzekła: to on się zaraz wyprowadzi. (Nie powiedziała matce o jej związkach z innymi mężczyznami). Po chwili Bradley E. znalazł się za drzwiami.

Wrócił do ich starego, już zupełnie pustego mieszkania. Był pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia - sklepy pozamykane, a w domu nawet kromki chleba. I ani jednego mebla. Siedząc na podłodze wysłał do żony sms: „Co mam zrobić? Po prostu dać sobie spokój z Tobą i dziećmi? Zniszczyłaś mnie. Mam nadzieję, że potrafię być wystarczająco silny, żeby nie zrobić Ci tego samego. Wszystko, o czym myślę to miłość, którą miałem do Ciebie przez 20 lat. To nie musi się tak skończyć. Możemy jeszcze rozwiązać nasz problem. W Twoim sercu nie ma dla mnie miejsca, ale w moim jest go pełno dla Ciebie.”

Odpowiedź, która nadeszła odwrotną pocztą brzmiała: „Nie zapomnij przynieść pieniędzy, jest dużo nowych, niezapłaconych rachunków”. W willi pojawił się po świętach, gdy już wyjechała jej rodzina. zaproponował żonie spotkanie z psychologiem, może w obecności mediatora dojdą do porozumienia. Odmówiła.

Kilka dni później 10 stycznia przyjechał o godzinie 23. Dzieci już spały, zgodnie z umową miał je rano zabrać na dwa dni do siebie. Brama była zamknięta, tylko w sypialni paliło się światło. Nie miał już kluczy do bramy, przeskoczył przez płot i podszedł do oświetlonego okna. W małżeńskim łóżku zobaczył obcego mężczyznę z jego Sylwią. Znał go, to był policjant - żonaty, ojciec rodziny.

- Poczułem się jak śmieć - zeznał na policji.

Dwa dni, później, kiedy po weekendzie odwiózł dzieci do ich matki, czekała na niego torba z rzeczami osobistymi. Do spakowania pozostały jeszcze rodzinne zdjęcia. Chciał niektóre z fotek zatrzymać, wtedy żona zaczęła odrywać tę część, na której był tylko sam. Strzępy rzucała mu pod nogi.

Płakał. Krzyczał, że zmarnowała mu życie. Zagroziła: wezwie policję, powie, że ją pobił, założą mu niebieską kartę i nie będzie miał kontaktu z dziećmi. Starał się zabrać jej telefon. Przepychali się, upadli na podłogę. Ona przenikliwie krzyczała, to doprowadzało go do szału. Nie pamięta momentu chwycenia noża. Nie wie, dlaczego to zrobił - przez 15 lat małżeństwa nigdy jej nie uderzył. Nawet, gdy odkrył w sypialni obcego mężczyznę nie użył przemocy. Ciągle miał w uszach ten przenikliwy pisk. Nie czuł obrażeń na ciele. Kiedy oprzytomniał, Sylwia leżała w kałuży krwi. Jej wargi już siniąły, gdy wyszeptała: ja cię kocham.

## **W afekcie**

Wywiad środowiskowy przeprowadzony na zlecenie prokuratury w miejscu zamieszkania małżeństwa E. nie wykazał żadnej patologii

w tym związku. Para uchodziła za szczęśliwą. Mężczyzna był postrzegany przez sąsiadów i znajomych jako wzorowy ojciec, Wiele można im było pozazdrościć: trójki udanych dzieci, urody, willi.

Psycholodzy, którzy badali sprawcę po zabójstwie ocenili jego inteligencję jako wyższą od przeciętnej. Mając na uwadze to, że był w Polsce obcokrajowcem, podkreślali „prawidłowo ukształtowane zdolności adaptacyjne”. Stwierdzono: „Agresywne zachowanie E., które doprowadziło do zabójstwa żony miało charakter rozładowania skumulowanych negatywnych emocji: poniżenia, upokorzenia, bezradności i gniewu”.

Proces oskarżonego o zabójstwo obywatela RPA odbył się w warszawskim Sądzie Okręgowym Warszawa Praga. Wymierzając stosunkowo niską karę sąd miał na względzie wyjątkowe wręcz nagromadzenie okoliczności łagodzących. - Krzywdy, jakich doznał E. od żony, to nie tylko zdrady małżeńskiej i wyrzucenie z domu, który kupił obarczając się kredytem, ale także cynizm małżonki i bezwzględność w utrudnianiu mu kontaktów z dziećmi - powiedziała w uzasadnieniu wyroku sędzia Barbara Piwnik.

Rozładowanie skumulowanych negatywnych emocji, doprowadziło do zawężenia pola świadomości u Bratleya E. i ograniczenia spostrzegania tylko tych elementów sytuacji, które były źródłem jego frustracji. (Np. nie pamiętał zadawania ciosów nożem). Istotą silnego wzburzenia jest taki stan psychiczny, zwany afektem, w którym przeżywany przez sprawcę proces emocjonalny ogranicza kontrolne działanie intelektu. Taki krótkotrwały zamiar zabójstwa określa się jako nagły. Ale napięcie emocjonalne może narastać przez dłuższy czas, znajdując ujście w wybuchu.

W jednym oskarżonego nie opuścił trzeźwy umysł - że musi natychmiast zapewnić opiekę dzieciom. Zadzwoił do przyjaciół, powiedział, spazmując, że zabił żonę, choć tego nie chciał, zrujnował życie swoim dzieciom. Prosił, by przyjechali przed zabraniem go do aresztu, nie może zostawić ich samych. To tylko potwierdzało same

pozytywne opinie o oskarżonym, zebrane podczas śledztwa i procesu sądowego.

Ku rozpaczy skazanego, wyrok Sądu Okręgowego dla Warszawy Pragi nie utrzymał się po zaskarżeniu go przez siostrę pokrzywdzonej. W Sądzie Apelacyjnym Bradley E. został prawomocnie skazany na 5 lat więzienia. Jego dziećmi zaopiekowała się walcząca o podwyższenie wyroku dla szwagra bardzo mu nieprzyjazna oskarżycielka posiłkowa.

## Śmierć w blasku petard

**Najpierw młodzi mężczyźni kłócili się na balkonach o sylwestrowy hałas. To ich tylko rozogniło. W zwarciu poszedł w ruch kuchenny nóż. Kolejny cios okazał się śmiertelny.**

30 grudnia 2020 roku. Za kilkanaście godzin Sylwester. W bloku na osiedlu w Nowym Dworze Mazowieckim wynajmuje mieszkanie 35 - letni Dawid W.Z zawodu jest mechanikiem, zarabia brutto 6 tysięcy. Wystarcza, aby urządzić przedsylwestrową „domówkę”. Gościem jest przyjaciel gospodarza, młodszy od niego o dwa lata Dawid L.. Jemu wiedzie się gorzej. Na budowie zarabia około 2 tysięcy, ma problem z uzależnieniem alkoholowym, dostał skierowanie na mityngi AA.

Im bliżej zmierzchu, w lokalu robi się coraz głośniejsze. Muzyka popowa dudni na cały regulator, mężczyźni przekrzykują się, padają wulgarne wyrazy. Często wychodzą z butelkami alkoholu na balkon, słowo na k. ... wiruje w powietrzu. Chwilę po godz. 22 Dawid L. zaczyna odpalać petardy. Ogniste race z hukiem lecą do nieba przy dźwięku rozedrganych szyb. Gdy opadną, przed blokiem pojawi się chmura dymu.

Po wystrzeleniu kolejnej rakiety z balkonu piętro niżej wychyla się Daniel W. - Spokój tam, jest cisza nocna! - krzyczy. Mężczyźni reagują śmiechem. Sąsiad nadal złorzeczy, w końcu grozi Dawidowi L.: - Idę do ciebie! - To chodź! - słyszy odpowiedzi. Chwilę później Daniel W. wbiega do obcego mieszkania.

Co działo się potem? Dawid L. podczas przesłuchania w komisariacie, przedstawił taką wersję: mężczyzna z lokalu położonego niżej, po wtargnięciu do sąsiada brał się do bicia. Był znacznie wyższy od gospodarza, masywniejszy, z łatwością go uderzał. - Próbowałem ich rozłączyć - wyjaśniał podejrzany - ale odbiłem się od gościa i wpadłem na zlewozmywak. Tam leżał nóż, chwyciłem go do obrony, gdy facet wystartował do mnie. Nóż trzymałem przed sobą, ostrzegawczo, żeby go powstrzymać... On

nadział się na ostrze. Nawet tego nie zauważyłem, gdyż mężczyzna wyszedł na korytarz, drzwi się zatrzasnęły. Dawid W. spojrzął na mój tizert i zobaczył plamy z krwi. Zadzwoił na numer alarmowy policji, że w jego mieszkaniu jest ofiara pobicia.

W tym czasie 42 letni Daniel W. umierał na korytarzu od ciosu nożem w klatkę piersiową i plecy. Tuż przed północą zauważyli go sąsiedzi i wezwali pogotowie. Mimo intensywnej reanimacji nie udało się uratować rannego.

Obaj uczestnicy libacji - wynajmujący mieszkanie i jego gość zostali aresztowani. Kiedy wytrzeźwieli (nie byli mocno pijani) Dawid L. usłyszał zarzut zabójstwa Daniela W. z „motywacji zasługującej na szczególne potępienie”. Czyn ten zagrożony jest karą od 12 lat pozbawienia wolności do dożywocia. Natomiast Dawid W. został oskarżony o wprowadzenie w błąd dyspozytora numeru alarmowego, którego poinformował, że rannym jest zaatakowany Dawid L.

\*\*\*

Na rozprawie w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga obaj oskarżeni nie przyznali się do zarzucanego im zbrodniczego czynu.

L. złożył wyjaśnienie: - Na początek chciałem przeprosić. Gdybym mógł cofnąć czas, to bym w życiu nie otworzył drzwi. Ale nie mogę przyznać się do zarzutu, przysięgam, nie chciałem go zabić. Było odwrotnie niż twierdzi pan prokurator. To pokrzywdzony rzucił się na mnie, a nie ja na niego. Wcześniej miał pretensje o strzelanie petardami z balkonu, potem wtargnął do mieszkania, gdzie przebywałem i uderzył mnie pięścią w oko. Cofając się, upadłem na zlewozmywak i wtedy złapałem za nóż. Ale to było w obronie. Proszę wysokiego sądu, on się nadział na ten nóż. Mimo to nadal mnie dusił, próbował przewrócić na podłogę. Dopiero wtedy kujnąłem go w bok. Myślałem, że w udo, a to były okolice nerki. Jest mi naprawdę przykro tego powodu.



Oskarżony Dawid W. poinformował sąd, że nie zrozumiał postawionego mu zarzutu. Dlaczego miałyby utrudniać śledztwo? Zadzwoił na numer alarmowy policji, gdyż jego kolega był we krwi. Myślał, że jest ranny... Wchodząc z balkonu do pokoju widział, że sąsiad atakował jego gościa. Powiedział wówczas do intruza: „uspokój się”. I wtedy agresywny mężczyzna go popchnął.

A petardy rzucał inny mieszkaniec bloku.

Po złożeniu oświadczenia, oskarżony odmówił składania wyjaśnień.

Podczas wizji lokalnej Dawid L. pokazał, jak się nachylał nad atakującym go pięściami pokrzywdzonym (w tej roli pozorant). Kiedy sąsiad wyszedł, zamknął za nim drzwi.

Dla sądu bardzo ważna była opinia biegłej medycyny sądowej.

Stwierdziła, że denat miał dwie rany klute na klatce piersiowej - Nóż przebił na wylot komorę serca. Została też rozerwana przepona oraz okolica lędźwiowa. Bezpośrednią przyczyną śmierci Daniela W. było uszkodzenie serca i wstrząs na skutek intensywnego upływu krwi.

Nie stwierdzono obrażeń, które wskazywałyby na stoczoną przez ofiarę walkę, czy aktywną obronę. Daniel W miał tylko niewielkie otarcie naskórka na przedramieniu.

- Czy sekcja zwłok - pytała sędzia Barbara Piwnik - pozwala ustalić w jakiej pozycji znajdowało się ostrze noża, gdy atakował nim sprawca? Czy było tak, że oskarżony widząc zachowanie pokrzywdzonego wykonuje w pewnym momencie ruch, który ma odstraszyć napastnika. Ale pokrzywdzony nachyla się i idzie do przodu.

I pytanie drugie: Czy z punktu widzenia lekarza taka sytuacja ma znaczenie dla uratowania życia?

Biegła nie była w stanie odpowiedzieć, czy oskarżony atakował, czy tylko się bronił, trzymając przed sobą kuchenny nóż jak tarczę. Ale

stwierdziła, że przy tego rodzaju obrażeniach nie było możliwe - nawet po zastosowaniu reanimacji - uratowanie życia Daniela W.

Dawid L. został skazany na 10 lat odosobnienia w zakładzie karnym.

\*\*\*

Kilkanaście godzin później, już podczas sylwestrowej euforii, w podwarszawskich Ząbkach doszło do podobnej tragedii...Też w bloku, też miejscem dramatu są dwa lokale położone jedno pod drugim.

W usytuowanym wyżej, bawią się goście dwudziestodwuletniej Karoliny M. i jej chłopaka Pawła W. Jest muzyka, alkohol. Grupka osób wychodzi na balkon, aby zapalić, porozmawiać. Ktoś chce patrzeć na strzelające w oddali petardy.

Piętro niżej wynajmuje mieszkanie 26 letni Marcin D. Studiuje zaocznie prawo administracyjne, aby się utrzymać, łapie każdą pracę. Był już salowym w szpitalu, obecnie jest recepcjonistą.

Sylwestra spędza ze swoją narzeczoną 24-letnią Martyną. (Data ślubu już zaklepana.) Jest już grubo po północy, para chce się położyć. Ale przeszkadza im hałas u sąsiadów. Mężczyzna woła ze swego balkonu do biesiadników, aby nie bawili się na cały regulator. Wybuchają kłótnia, padają coraz ostrzejsze słowa, wreszcie pogrożki.

Marcin D. w komisariacie policji: - Trzy razy wychodziłem na balkon i prosiłem tych piętro wyżej, żeby zachowywali się ciszej. Nie pamiętam słów, jakie padały. W pewnej chwili ktoś od nich zaczął się dobijać do naszego mieszkania. Spojrzałem przez wizjer, zobaczyłem dwóch mężczyzn. Wystraszyłem się. W panice wyciągnąłem z szafki kuchennej nóż. Moja dziewczyna pobiegła do sypialni i przykryła się kołdrą.

Pomyślałem, że gdy zobaczą mnie tak uzbrojonego, odejdą. Otworzyłem drzwi. Ten mężczyzna napierał bokierskimi ruchami,

zachęcał do zwarcia: „No dwaj, dawaj”. Za mną stała przerażona Martyna, odciągała mnie. Chciałem ją bronić, chowałem za siebie.

Dwaj nieoczekiwani goście, to Kacper Sz. i Paweł W. Z gospodarzem szarpał się tylko Sz. Jego towarzysz zauważył, że kolega obficie krwawi. Chciał biec na górę po telefon, aby wezwać pogotowie, ale Marcin D. odradzał - po co dzwonić, to tylko draśnięcie, narzeczona zaraz opatrzy.

Co dzieje się potem? Paweł W. bierze Kacpra pod ramię i wychodzi z nim na korytarz. Marcina D. zamyka drzwi na klucz. Mężczyźni, którzy są na zewnątrz, mają do pokonania kilkanaście schodów prowadzących na wyższe piętro. Kacper ledwo wlecze nogami, jego drogę znaczy strużka krwi. Po pokonaniu ostatniego stopnia traci przytomność.

Już świta, gdy do rannego przyjeżdża wreszcie pogotowie. Lekarz stwierdza ranę kłutą z lewej strony klatki piersiowej, w okolicy serca. Pacjent umiera. Jest zawiadomiona policja. Badanie stanu trzeźwości u Marcina D. wskazuje blisko 2,8 promila alkoholu w jego organizmie.

\*\*\*

W poniedziałek w Ząbkach odbył się pogrzeb brutalnie zamordowanego w Nowy Rok Kacpra S. Tragicznie zmarłego 23-latka pożegnała rodzina, przyjaciele i koledzy, którzy - tak jak Kacper - kochają piłkę nożną. Na miejscowym cmentarzu było niczym na stadionie. Przyjaciele i koledzy zmarłego chłopaka odpalili race, by oddać mu hołd w tej ostatniej ziemskiej wędrówce.

Uroczystości pogrzebowe rozpoczęły się o godz. 12 w parafii pod wezwaniem Miłosierdzia Bożego przy ul. 11 listopada w Ząbkach. W ostatniej drodze tragicznie zmarłemu Kacprowi towarzyszyła rodzina, mnóstwo przyjaciół. W czasie ceremonii pogrzebowej kościół dosłownie pękał w szwach. Homilię wygłosił proboszcz parafii. Kiedy wspominał Kacpra płacz najbliższych niósł się po

kościół. - Ofiarujmy dziś modlitwę w intencji Kacpra. On tej modlitwy teraz potrzebuje. Pan Bóg tak dramatycznie wyrwał go z tego świata. Ale wyrwał go, by nam coś powiedzieć, by przemówić do naszego serca i żebyśmy coś z tego wydarzenia wydobyli, zrozumieli oraz wyciągnęli wnioski.

Mamy domagać się sprawiedliwości, wobec człowieka, który tak okrutnie go potraktował, ale zawsze powinno być miejsce na przebaczenie - mówił proboszcz, zanim kondukt żałobników ruszył na miejscowy cmentarz.

Trumna zniknęła w mogile w akompaniamencie trąbki i palących się krwistoczerwonych rac. To było jak symbol śmierci tego młodego mężczyzny, który za życia sam do najgrzeczniejszych nie należał i w jednej z takich awantur zginął. Umarł w Nowy Rok. Podczas imprezy sylwestrowej w bloku przy Andersena doszło do awantury. 23-latek wdał się w kłótnię z imprezującym po sąsiedzku Marcinem B. - „Masz coś do mnie!” - krzyczał Marcin do Kacpra. Chwilę później dźgnął go nożem na korytarzu. Lekarzom nie udało się go uratować. Marcin B. został natychmiast zatrzymany. Po ceremonii pogrzebowej grób Kacpra utonął w pięknych kwiatach, na których rodzina ułożyła zdjęcie zamordowanego

\*\*\*

- Piliśmy wódkę, bawiliśmy się - zeznał podczas przesłuchania Przemysław R. sąsiad Pawła W. z tej samej klatki. - O północy wyniosło nas przed blok, na odpalenie fajerwerków. Około godziny drugiej przyjechał jeszcze jeden znajomy. Mówiłem mu, stojąc na balkonie, gdzie może zaparkować samochód. Przyznaję, było trochę głośno. Jakiś mężczyzna mieszkający piętro niżej wyszedł na swój balkon i prosił o ciszę, bo jego żona nie może usnąć. Obiecaliśmy, że nie będziemy hałasować. Ale alkohol robił swoje, ten sąsiad z dołu znów musiał interweniować. Za którymś razem już nie było przepraszam. Z obu stron padały słowa niecenzuralne i groźby: „Bo cię zabiję”, bo cię potnę.”

Godzinę, może dwie później, krzyki na korytarzu. Zobaczyłem Karolinę usiłującą zatamować krew nieprzytomnemu Kacprowi. Ja go znam od 21 lat. Impulsywny, skłonny do awantury. Gdy wypił i ktoś mu nie pasował, od razu startował do bitki.

Świadek Jakub W. twierdził, że Marcin D. był pobudzony, bo zażył kokainę.

Świadek Paweł W. zeznał: - Kiedy dowlokłem rannego Kacpra na moje piętro, Mariusz D. zadzwonił do mnie z pytaniem, czy może potrzebna jest jakaś pomoc. Karolina nie chciała, aby przyszedł, ona się go bała. Gdy kolejny raz zatelefonował, powiedziała mu na odczepnego, że wszystko jest ok.

Na rozprawie w Sądzie Okręgowym Warszawa-Praga ten sam świadek powiedział więcej o uczestnikach tragicznego wydarzenia. Kacpra Sz. zna od podstawówki. - To typ człowieka, który, gdy jest jakiś problem, woli załatwić go na spokojnie. O północy rozmawiał ze swą mamą, składał jej życzenia. Nie był mocno pijany, nie zataczał się. Nic mi nie wiadomo, żeby zażywał narkotyki.

Paweł W. twierdził, że kłótnia przebywających na balkonach robiła się coraz bardziej agresywna. Podchmieleni mężczyźni grozili sobie wzajemnie, padały ordynarne okrzyki. Jeden do drugiego krzyczał: „Chodź tu k.. to cię potnę, zajebię.” Kacper Sz. rwał się do zwarcia. - Wiedziałem - zeznał Paweł W. - że szykuje się bójka. Chciałem dobrze żyć z sąsiadami, postanowiłem ich rozdzielić.

Natomiast Przemysław R. po odczytaniu mu zeznań w śledztwie zaprzeczył, aby określił świętej pamięci Kacpra Sz. agresywnym. Kolega był nakręcony, ale pozytywnie. „Pan policjant napisał tak, aby ładnie wyglądało w protokole.”

Marcin D został skazany na 15 lat więzienia i zapłatę 100 tys. złotych rodzinie zamordowanego. Sąd Apelacyjny podniósł wysokość zadośćuczynienia do 150 tys. złotych.

# Rozdział 3. SPÓJRZ MI W OCZY

## Odejdiesz, zniszczymy cię

**Zagubione w swych uczuciach dziecko rozwodzących się rodziców stawia ojcu warunki – chcesz się ze mną spotkać, to zapłać.**

18 stycznia 2019 roku przed południem Stefan N. odwiózł córkę do szkoły i w drodze do pracy podjechał pod dom na obrzeżach Warszawy, w którym od kilkunastu lat mieszkał z żoną i ich 12 letnią Basią. Potrzebne mu były pewne dokumenty.

Ku swemu zaskoczeniu nie mógł wejść do willi - zamkniętej bramy strzegło kilkunastu „napakowanych” pracowników firmy ochroniarskiej. Kiedy domagał się otwarcia usłyszał, że dom jest własnością jego żony Małgorzaty, to ona wezwała ochronę, gdyż boi się brutalności męża, z którym właśnie się rozwodzi.

Z kolei opuszczenie służbowego Mercedesa Benz skutkowało aresztowaniem pojazdu, bo jak tłumaczył szef ochroniarzy, lizingowany samochód jest własnością banku.

Mężczyźnie nie pozostało nic innego jak powiadomienie policji. Przyjechał patrol, nakazał Małgorzacie Z., oddanie mężowi służbowego samochodu. Zrobiła to kilkanaście godzin później.

Jeszcze tego dnia kobieta w otoczeniu ochroniarzy wtargnęła do siedziby spółki męża. Zdemontowali kamery monitoringu (zapewne w celu zniszczenia dowodu nielegalnego najścia), usiłowali wymienić zamki. Stefan N. został wpuszczony do swego biura dopiero po interwencji policji.

Mijały tygodnie i N.. nadal nie miał szans na zabranie swoich rzeczy z domu, w którym mieszkał od ślubu, m. in. biżuterii wartości około 200 tys. zł. Przy bramie stały przygotowane dla niego worki, ale nie mogąc do nich zajrzeć, odmówił odbioru. Mogły być tam zeschnięte liście.

Nie tylko pozbawiono go ubrania na zmianę i przysłowiowej szczoteczki do zębów. Również pieniędzy na kupno podstawowych rzeczy. Z ich wspólnego konta bankowego żona zabrała bez wiedzy współwłaściciela wszystkie pieniądze. Jak poinformował go bank, Małgorzata Z. przelała na swoje konto 854 tys. złotych, które następnie desygnowała na rachunek swej matki. Zdaniem prokuratury przywłaszczyła też przechowywane w domowym sejfie 160 tys. zł, 3 tys. USD i 1500 euro.

\*\*\*

Małgorzata Z. została oskarżona o zawłaszczenie dóbr materialnych męża i wzbogacenie się jego kosztem, co podlega karze pozbawienia wolności do lat 3 (Art. 284 par.1)

Podczas przesłuchania kobieta twierdziła, że zerwała lokatę, bo bała się, że zostanie sama z dzieckiem bez zaplecza finansowego. - Byłam porażona skalą agresji męża, który obojętny na to, z czego utrzymam naszą córkę, wyrzucił mnie dyscyplinarnie z pracy w jego spółce. Musiałam przemyśleć, co mnie czeka, bo konto mieliśmy wspólne. Przed ślubem ulokowałam w banku 280 tys. zł. swoich oszczędności; w trakcie małżeństwa przelałam je na wspólny rachunek. Kiedy sytuacja się zmieniła, chciałam zabezpieczyć oszczędności z okresu panieńskiego.

Pomagała jej rodzina. Dom z pełnym wyposażeniem, który dostała od rodziców, przepisała za ich radą na nieletnią córkę.

Proces karny Małgorzaty Z. toczył się w Sądzie Okręgowym Warszawa Praga.

Oskarżona na pytanie sędzi, z czego obecnie się utrzymuje wyjaśniła, że z wynajmu mieszkań, należących do nieletniej córki i brata. Jej majątek ruchomy to skuter Jawa oraz motocykl. Nie ma oszczędności na koncie bankowym. Jeśli mąż zostawił w domu biżuterię i zegarki, może je odebrać. Rowery czekają na niego w garażu, sprzęt hi fi jest odłączony i nikt z niego nie korzysta. Od incydentu 18 stycznia 2019 roku N. miał kilka okazji do zabrania swojej własności. Nie zrobił tego, gdyż zanim go wyrzuciła, potajemnie wynosił z domu różne dobra. Na przykład sprzęt elektroniczny, tablet, czytnik, który nawiasem mówiąc podarował jej pod choinkę.

Stefan N. występujący jako oskarżyciel posiłkowy zeznał, że dopiero po miesiącu od przeczołgania go przez ochroniarzy mógł wejść na teren posesji i zabrać swoje rzeczy. Obawiając się prowokacji, przyjechał z przyjacielem. Wskazano mu kilkanaście pełnych worków na śmieci, wystawionych koło bramy. Nie było szans na sprawdzenie ich zawartości. Wiedział, że Małgorzata ciężarówkami wywoziła ich majątek.

Zapytany przez sędzię, jakie cenne rzeczy zostawił w domu, do którego nie miał już dostępu, wyliczył: sprzęt hi fi wysokiej jakości wyceniony na 135 tys. zł, rowery warte około 24 tys. (używa ich obecny partner żony) męska biżuteria, kolekcjonerskie zegarki, ponadto komputer, telewizor oraz kamery, które były własnością jego spółki.

Oskarżona nie przyznała się do zawłaszczenia. Wyjaśniła, że owszem, w grudniu 2018 roku przelała pieniądze ze wspólnego konta bankowego na jej osobiste, ponieważ zorientowała się, że mąż w tajemnicy przed nią zabrał z domowego sejfu 500 tys. zł. 100 tysięcy złotych z tej kwoty należało do Basi; były to dary od dziadków. Po jakimś czasie, terroryzowana przez męża zwróciła pieniądze na wspólne konto. Ale kiedy zagroził jej zwolnieniem (była wiceprezesem w spółce Stefana N.), ponownie wypłaciła sobie oszczędności z banku. Uznała, że ma do tego prawo, gdyż przed



zawarciem małżeństwa dysponowała 280 tysiącami złotych kapitału, który potem został zdeponowany na wspólne konto.

Odwołała też, jak określiła z powodu rażącej niewdzięczności Stefana N., jej darowiznę 70 udziałów w prowadzonej przez męża spółce. Kiedyś zgodziła się na to, bo mąż musiał się pozbyć udziałów z uwagi na obowiązujący go wówczas zakaz konkurencji.

### **Dalej ani kroku**

Cztery lata od incydentu z ochroniarzami, którzy nawiasem mówiąc w sądzie z trudem przypominali sobie to zlecenie - proces dobiegał końca. Oskarżona kilkakrotnie usiłowała zdryfować postępowanie sądowe w kierunku toczącej się sprawy rozwodowej i konfliktów między rozstającymi się małżonkami. Małgorzatę Z. nie zadowoliło orzeczenie rozwodu bez orzekania o winie. Odwołała się do sądu rodzinnego wyższej instancji.

Sędzia Małgorzata Wasylczuk kilkakrotnie przypominała, że toczy się proces karny i świadkowie nie będą pytani o konflikty małżeńskie.

Wspólnik Stefana N. w firmie, w której Z. była dyrektorką finansową zeznał, że oskarżoną po zwolnieniu dyscyplinarnym zobowiązano do oddania sprzętu, którego w tytułu obowiązków służbowych używała w domu. Właściciele firmy chcieli odzyskać komputer, telewizor i kamery. Ponieważ nie było żadnej reakcji na ich monity, o przywłaszczeniu mienia spółki została zawiadomiona prokuratura.

- Czy Stefan N. zwracał się do oskarżonej o zwrot pieniędzy? - zapytała sędzia świadka.

- Wielokrotnie. O ile wiem, bez skutku. Słyszałem, że z ich wspólnego konta zostało zabrane ponad 800 tysięcy zł. Mąż pani Małgorzaty został bez grosza przy duszy. Pożyczyłem mu pieniądze na wynajęcie mieszkania i ubranie.

- Czy widział pan, aby N. nosił drogie zegarki.?

- Tak, przed incydem 18 stycznia 2019 roku.
- Jak drogie były to precjoza?
- Jeden zegarek mógł kosztować 10-20 tysięcy złotych. Nie pamiętam marki.

42 letni Stefan N. opisał w sądzie traumę, jaką przeżył 18 stycznia 2019 roku przed zamkniętą bramą domu, który dotąd był jego rodzinnym gniazdem.

- Odwiozłem córkę do szkoły i wracając podjechałem, żeby wziąć potrzebne w pracy dokumenty. Naszą spokojną dotąd uliczkę zabarykadowało nieprawdopodobnie dużo samochodów, nie mogłem zaparkować. Zdziwiony stanąłem na środku jezdni, wyszedłem z wozu, aby się rozejrzeć.

W tym momencie, jak w filmie Patryka Vegi rzuciło się na mnie kilku uzbrojonych ochroniarzy w kominiarkach. Mieli kamery, mianowali się wysłannikami telewizji. Krzyki, jak w akcji antyterrorystycznej, ściągnęły na ulicę mieszkańców sąsiednich domów. Ochroniarze nie chcieli mnie wpuścić do samochodu, którym przyjechałem, nie mogłem też wejść do domu. Ten, który przedstawił się jako wysłannik telewizji, odczytał coś z kartki. Nie zrozumiałem ani słowa, wezwałem policję. Nim przyjechała, agresywni ochroniarze się przegrupowali, była akcja wymiany zamków i demontażu kamer na budynku.

Zapytany przez sędziego o osobiste rzeczy, które chciał zabrać z domu, poszkodowany wyliczył: Traktowane jako lokata kapitału zegarki. Wersja limitowana, kolekcjonerska. Jeden ze złota. Męska biżuteria, m. in. złote spinki do mankietów. Sprzęt hi-fi - wysokiej jakości, na przykład wzmacniacz kosztował w tym czasie około 150 tys. zł, urządzenie zmieniające zapis cyfrowy na analogowy 10-15 tys. zł, kolumny 70-80 tys., zasilacz 15 tys.

Poszkodowany zaprzeczył, jakoby miał opróżnić sejf z pół miliona złotych. - Tam nawet nie zmieściłoby się tyle banknotów - zapewniał

sąd.

\*\*\*

Zdaniem N. w ograbieniu go przez żonę znaczący udział miała jej najbliższa rodzina. Kiedy w 2018 roku zapadła decyzja o rozwodzie, spotkał się z ojcem Małgorzaty i poinformował go o sytuacji. (Wtedy był gotów utrzymać małżeństwo, jeśli żona zdecyduje się na odwykową terapię). Teść zagroził zięciowi - zniszczą go, jeśli opuści Małgorzatę.

- Zaczęły się dziać dziwne rzeczy - zeznał N. na rozprawie - podsłuchy, jakieś prowokacje. Wyprowadziłem się na piętro, aby być jak najbliżej córki. W grudniu wyjechałem z Basią i jej koleżankami na narty. Po powrocie otrzymałem informację z banku o zerwaniu wszystkich lokat i wypłaceniu żonie ponad 850 tys. zł. Skłamała w banku, że musi wyczyścić konto, gdyż poważnie zachorowała jej matka, chce ją ratować za wszelką cenę.

- Jak poszkodowany próbował zabrać z domu swoje dobra? - zapytała sędzia.

- Chcieliśmy załatwić to ugodowo. Ale z Małgorzatą nie było żadnego kontaktu, nie reagowała na wezwania - twierdził N. - Mój adwokat próbował skontaktować się z jej pełnomocnikiem. Kiedy doszło wreszcie do takiego spotkania, okazało się, że żona życzy sobie listę wszystkich rzeczy, które chciałbym odzyskać. Mimo spełnienia tego warunku do dziś nie odebrałem swojej własności.

- Czyli nie wie pan, co było w tych workach? - upewniała się sędzia.

- Nie wiem, ale na pewno nie było tam telewizora ani komputera.

Kolejne pytanie: - Czy poszkodowany zwracał się do żony o wyjaśnienie kwestii pobranych z banku oszczędności?

- Tak, usłyszałem, że ona tych pieniędzy nie ma. Zostały przelane na konto Basi. Również dom jest przepisany hipotecznie na nasze

dziecko.

M. chciał poruszyć na rozprawie bolesną dla niego kwestię braku dostępu do córki. Sąd rodzinny potwierdził prawa ojca do kontaktu z Basią, ale w praktyce jest to bardzo utrudnione. Na początku dziewczynka została wywieziona do dziadków. Teraz, jeśli dochodzi do spotkań, zawsze odbywają się w obecności matki. Córka ma wyłączony telefon, nie ma do niej dostępu na portalach społecznościowych.

Sędzia przerwała zeznania - to nie była kwestia do rozstrzygnięcia w tym procesie. Chciałaby natomiast wiedzieć, dlaczego służbowy komputer i telewizor, z których Małgorzata Z. korzystała, zostały kilka lat wcześniej przywiezione do jej domu.

- W 2016 roku - wyjaśniał Stefan N. - założyłem z przyjacielem spółkę. Najpierw pod adresem domowym, potem w wynajętym lokalu. Część rzeczy, które nie mieściły się w tym pomieszczeniu, trzymałem w domu. Stąd wynikała potrzeba zamontowania na budynku kamer. Żona była członkiem zarządu spółki i dyrektorem do spraw finansowych. Miała swój prywatny laptop, ale pewnego dnia ktoś wybił szybę jej samochodzie i ukradł sprzęt. Wtedy decyzją zarządu kupiła na koszt spółki laptop do celów służbowych - nota bene najdroższy model Able. W firmie komputer dobrej jakości był potrzebny do prezentacji ofert klientom, ale takie sytuacje nie zdarzały się codzienne. Nowy laptop żona zabrała do domu na wypadek pracy on line.

Sąd: - Od kiedy oskarżona była zatrudniona w spółce?

- Nie pamiętam. Trudno to nazwać pracą, ale jest faktem, że dostawała wynagrodzenie przesyłane na jej konto.

\*\*\*

Proces toczył się o zawłaszczenie pieniędzy, więc dużo mówiono o majątku rozwodzącej się pary. Oskarżona w przeszłości była prezeską w spółce jej ojca. W 2015 r. firma upadła. Z uwagi na brak

masy upadłościowej, wierzyciele podjęli próbę egzekucji swoich pieniędzy na majątku byłych członków zarządu, w tym Małgorzaty Z. i jej ojca. Poszukiwanie kapitału nie przyniosło skutku. Poszkodowany zauważył, że pieniądze wypłacone przez żonę ze wspólnego rachunku bankowego, musiały być ukryte. Z. W pozwie rozwodowym Z. napisała, że nie ma oszczędności, „pozostaje w ubóstwie”, Domagała się ograniczenia mężowi władzy rodzicielskiej, nakazu płacenia 2.500 zł. alimentów dla dziecka i 1200 zł miesięcznie dla niej. A przecież 6 tygodni wcześniej wypłaciła ze wspólnego rachunku 854 tys. zł.

Sąd Okręgowy dla Warszawy Pragi uznał, że oskarżona przywłaszczyła 420 tys. złotych (połowę kwoty ze wspólnego konta) na szkodę Stefana N. Małgorzata Z. została nieprawomocnie skazana na rok i 6 miesięcy pozbawienia wolności z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na dwa lata próby.

W przekonaniu sądu zeznania poszkodowanego zasługiwały na wiarę zarówno w kwestii niewpuszczenia go do domu, zostawionych tam własnych rzeczy a także zasobów finansowych na wspólnym koncie. Nie ma dowodu, jakoby N. wyjął pieniądze z sejf, zwłaszcza 500 tys. złotych. Informację, że na zerwanej przez oskarżoną lokacie w grudniu 2018 roku było ponad 850 tys. zł sąd otrzymał z banku. Oskarżona przywłaszczyła połowę tej sumy. Przystępstwem nie było wypłacenie przez Małgorzatę Z. pieniędzy ze wspólnego konta, ale uczynienie tego w zamiarze powiększenia swoich prywatnych zasobów i następnie przekazanie tych pieniędzy matce. W ocenie sądu brak dowodów, że zasoby: 160 tys. zł, 3 tys. dolarów i 150 euro były własnością oskarżonej lub poszkodowanego i że Małgorzata Z. planowała włączenie tego kapitału do jej majątku.

Sąd uznał, że kobieta działała w warunkach nasilenia konfliktu z mężem, na jej decyzje znaczący wpływ mieli rodzice.

\*\*\*

Zapytałam Stefana N., czy satysfakcjonuje go wyrok. Odpowiedział, że nie chodziło mu wyłącznie o zwrot zagrabionych oszczędności. Pod tym względem jest w stanie obyć się bez nawet bez naprawienia szkody. O wiele ważniejsze są dla niego kontakty z córką. Nadal istnieje groźba oddania dziecka do rodziny zastępczej. Dziewczynka indoktrynowana przez matkę traci czuły kontakt z ojcem. Próbował tłumaczyć żonie, aby nie angażowała nastolatki w małżeński konflikt. Usłyszał, że Basia jest członkiem rodziny i nie ma przed nią tajemnic. Małgorzata Z. odrzuciła ofertę spotkania u psychologa.

Sąd rodzinny w swym postanowieniu zabezpieczył kontakty ojca z dzieckiem. Miało to być przebywanie z córką co drugi weekend od piątku do poniedziałku. Matka Basi nie respektuje postanowienia mimo już trzecich sądowych ostrzeżeń, że do czasu uregulowania rodzicielskich relacji dziecko może być oddane do rodziny zastępczej.

Zagubiona w swych uczuciach dziewczynka zaczyna pod wpływem matki traktować ojca jak bankomat. Stawia warunki – chcesz się ze mną spotkać, to zapłać. Właśnie zażyczyła sobie, aby kupić jej konia.

Ostatnio w całym kraju media bulwersowały opinię publiczną informacjami o fizycznym znęcaniu się rodziców nad ich małymi dziećmi. Jest to okrutne, wymaga publicznego potępienia zwyrodnialców. Ale należałoby też mówić głośno o losie trochę starszych dzieci, poddawanych indoktrynacji rodziców w sytuacji, gdy dochodzi do rozwodu.

Psycholożka i psychoterapeutka Marta Mizera, twierdzi, że w skrajnych przypadkach - tak jak w opisanym w artykule - zaniedbanie potrzeb dziecka może osiągać rozmiary przemocy. W mniej skrajnych sytuacjach konsekwencje również są znaczące - ostry konflikt i rozwód na ścieżce wojennej wpływa na zdrowie psychiczne dziecka zwiększając ryzyko depresji, stanów lękowych i problemów z agresją. Utrudnia także budowanie relacji, zarówno z rówieśnikami, jak i z innymi dorosłymi. Niestety, takie konsekwencje rodzicielskich konfliktów dzieci niosą dalej w swoje

dorośle życie. Aby pomóc dziecku jak najłagodniej przejść trudną zmianę, jaką jest rozstanie, dorośli powinni zacząć przede wszystkim od siebie – im rozsądniej sobie radzą, tym lepiej funkcjonuje ich dziecko. Warto rozważyć terapie indywidualne, pary lub terapię rodzinną. A w razie potrzeby zapewnić specjalistyczne wsparcie także dziecku.

Niestety, często zdarza się „wysyłanie” samego dziecka do psychoterapeuty w sytuacji, gdy rodzice nie są w stanie panować nad sobą i nie sięgają przy tym po pomoc. Takie działania - mało skuteczne, ponieważ pomoc powinna obejmować cały system rodzinny, sygnalizują dziecku (które i tak ma tendencje do obwiniania się za konflikt rodziców), że to z nim jest coś nie tak.

Inicjały opisanych postaci zostały zmienione z uwagi na dobro dziecka.

## Dziwnie się ze mną żegnał

**Wymyślili porwanie, aby rodzina wpłaciła 6,5 miliona złotych okupu w wirtualnych bitcoinach. Nie udało, się rzekomo wprowadzony zapowiedział na sali sądowej, że teraz przechodzi na jasną stronę mocy.**

- Dziwnie się ze mną żegnał, gdy po obiedzie wracał do swej firmy - zeznała na komendzie Oliwia żona Amadeusza S. z podwarszawskiego miasteczka. - Stał za mną, jego ręce objęły moją twarz, pocałował w czoło. Drżały mu usta. Tkwiłam w jego objęciach dłużej niż zwykle. Powiedział, że kocha mnie najbardziej na świecie.

Czekała na niego z kolacją, którą zwykle jedli o godzinie 19. Nie przyszedł. Z góry wykluczyła małżeńską zdradę. Są dwa lata po ślubie, oczekują dziecka. W środku nocy wybrała się z psem nad rzekę, głośno nawoływała męża. Bez skutku. Zatelefonowała do Kamila P. przyjaciela i pracownika Amadeusza. Nie wiedział, gdzie może być.

Nad ranem 9 kwietnia 2021 roku Oliwia S. zawiadomiła policję.

\*\*\*

26 letni Amadeusz student ostatniego roku psychologii biznesu zajmował się handlem samochodami. W jego firmie Kamil P. był pełnomocnikiem właściciela. Wspólnie próbowali się w biznesie. Nie za bardzo im to szło. Nie przyniosło pieniędzy uruchomienie strony internetowej z serwisem usług didżejskich on line. Przerzucili się na inną działalność gospodarczą, tzw. leasing zwrotny. Pandemia zniszczyła wszystko. Następnie wymyślili aplikację, która miała reklamować lokale na sprzedaż za rabaty dla użytkowników aplikacji. Biznes padł już na starcie. Ratowali się kredytami branymi na firmę; mieli już 600 tys. zł. długu.



Sylwia S. składając zawiadomienie o zaginięciu męża zapewniała, że Amadeusz nie miał żadnych wrogów, ani konfliktów rodzinnych. Jego rodzice przebywali za granicą - ojciec pracował w NATO. Napomknęła, że kilka miesięcy wcześniej teściowie przeżyli podobną traumę. Ona była wtedy z mężem na wczasach w Meksyku, a jego rodzice w Belgii. Tam otrzymali wiadomość o porwaniu syna i konieczności natychmiastowego wpłacenia w ciągu pięciu godzin 23 bitcoinów okupu. Istniało niebezpieczeństwo, że ze strachu o syna spełnią żądanie, nie wiedzieli bowiem o wakacjach młodego małżeństwa za granicą. Szczęśliwie, informacje dotarła do nich w porę i zlekceważyli kidnaperów.

Ale tym razem sprawa wyglądała poważnie. Minęła kolejna doba i Amadeusz P. nie dawał znaku życia. Sprawą zajęło się Centralne Biuro Śledcze Policji. Do uwolnienia mężczyzny zaangażowano ponad 300 funkcjonariuszy.

Następnego dnia do Kamila S. nadszedł SMS napisany po angielsku. W przetłumaczeniu na polski brzmiał tak: „Hej, czy ty jesteś najlepszym przyjacielem Amadeusza? Jeśli tak, to powinien wiedzieć, że został uprowadzony. Przekaż tę wiadomość jego matce Beacie. Niech zapłaci w ciągu pięciu dni 30 bitcoinów na specjalnie utworzony portfel w krypto walucie, wówczas odzyska syna. W przypadku nieprzekazania pieniędzy we wskazanym terminie kwota okupu wzrośnie do 35 bitcoinów”. Autor podpisał się nickiem Jose.

Kolejne komunikaty - Kamil robił print screeny tych rozmów - przychodziły na zasadzie zrzutu obrazu wyświetlanego na monitorze do pliku graficznego. Korespondencja robiła się coraz bardziej nerwowa.

„Co jest, czas ucieka a ty nic nie zrobiłeś, żeby pomóc swemu przyjacielowi” - strofowali go kidnaperzy.

Kamil P. odpowiadał tak, jak mu dyktował dyżurny policjant: - Nie jest osobą decyzyjną, tylko dobrym kolegą uprowadzonego. Rodzice

Amadeusza nie mieszkają w Polsce, on bezskutecznie próbuje się z nimi skontaktować. Są na morzu, wypłynęli na wycieczkę.

W kolejnym SMS porywacz stawiał się: „Ta cała sytuacja zaczyna mnie irytować. Sądzicie, że ściemniam? Może powinienem dostarczyć wam jakiś dowód fizyczny, wtedy zaczniecie mi wierzyć. A może powinienem ci powiedzieć, że jego rodzina ignoruje sytuację i przez nią Amadeusz zostanie zabity”. W dołączonym nagraniu uprowadzony z płaczem prosił matkę o wykonanie polecenia i niezawiadomianie policji.

Potem nastąpiła kilkudniowa przerwa w korespondencji. 13 kwietnia porywacze znów nawiązali kontakt z Kamilem P. Żądali, aby sprzedał całe mienie należące do spółki Amadeusza i wpłacił okup. Pytali, czy zna Białobrzegi. Jeśli nadejdą wirtualne pieniądze, będzie można pod podanym adresem odebrać uprowadzonego.

P. poinformował przesłuchujących go policjantów, że wiadomości wysyłane są w aplikacji Signal i szybko znikają. W CBS zdecydowano, że funkcjonariusze będą towarzyszyli przyjacielowi Amadeusza dzień i noc. Nie ufano mu.

Tymczasem porywacze odezwali się do matki porwanego:

„Cześć Beata. Chcieliśmy ułatwić wam sprawę, ale nie udało się. Jeśli chcesz, żeby twój syn żył, przyslij 30 bitcoinów na podany adres. (...)”

Kobieta chciała porozmawiać z uprowadzonym synem – usłyszała, że jest to niemożliwe. I groźbę: „Powiadomisz gliny, będziemy o tym wiedzieć”.

Powiadomiła. Śledczy dopytywał się, czy były problemy wychowawcze z Amadeuszem - matka zaprzeczyła. Raz, przypomniała sobie, zdarzyła się taka sytuacja, że z domu zniknęła złota moneta wartości kilkunastu tysięcy złotych. Nastoletni wówczas syn przyznał się, że sprzedał banknot za 8 tysięcy. Przeprosił. Przesłuchiwana potwierdziła, że w lutym nadszedł fałszywy alarm o porwaniu Amadeusza. Potraktowali to z mężem

jako żart, wszak synowi nic się stało. Nie dociekali, kto mógł być sprawcą.

Podczas ponownego przesłuchania Oliwii S. wyszła na jaw nowa informacja. Młodziutka żona porwanego przypomniała sobie, że kiedyś mąż, który bardzo się interesował krypto walutami, mówił jej o nowym sposobie porywaczy wyłudzenia pieniędzy od bliskich ofiary. Już nie umieszcza się we wskazanym miejscu, np. w koszu na śmieci, milionów złotych upchniętych w foliowej torbie. Teraz bezpieczniejsze jest pobranie okupu w bitcoinach. Bardzo trudno jest wysledzić, gdzie trafiają takie wirtualne pieniądze.

Dlaczego porywacze wybrali 25 letniego Amadeusza? - zastanawiali się śledczy. Początkujący biznesmen nie miał sukcesów w swych interesach. Rodzice zapewнили mu dach nad głową, ale już na przykład meble musiał kupić na raty. To zdecydowanie nie był dobry adres dla kalkujących na zimno przestępców.

- Jeśli trzeba będzie zapłacić okup, skąd weźmiecie pieniądze? - zapytano Oliwię S. na komendzie. Kobieta nie potrafiła odpowiedzieć. 6,5 miliona złotych - tyle wychodziło po przeliczeniu wirtualnych bitcoinów na złotówki - to dla jej rodziny niewyobrażalna kwota. Ani teściowe ani rodzice, również mieszkający za granicą, nie są w stanie uzbierać takiej kwoty. Jedyna nadzieja, że hojnością wykaże się ciotka męża, mieszkająca w Kanadzie. Amadeusz mówił kiedyś, że siostra jego matki ma dużo pieniędzy, ale teściowa zaprzeczała.

\*\*\*

-Mijała dziewiąta doba od porwania młodego mężczyzny, gdy w środku nocy na telefon Kamila P. przyszła wiadomość od samego Amadeusza. Policjanci pilnujący przyjaciela porwanego przeczytali pogrózkę: - „Chcesz wrócić do domu opalanego węglem? Jak nie, to się bardziej staraj, naciskaj na rodzinę w sprawie okupu”.

- O co chodzi z tym piecem? - zapytano „aresztanta”. P. wyjaśnił, że mieszka z żoną w lokalu porwanego i obawia się, że przyjaciel grozi mu wymówieniem.

Odpowiedział pod dyktando siedzącego obok anioła stróża w policyjnym mundurze: nie ma szans na zebranie okupu.

Wtedy Amadeusz puścił wiadomość, że jest wolny, prosi, aby Kamil przyjechał po niego do Biało-brzegów. Nim P. stawiał się w wyznaczonym miejscu, byli tam już funkcjonariusze z Centralnego Biura Śledczego.

S. początkowo utrzymywał, że porywacze straciwszy nadzieję na okup, pozwolili mu opuścić hotelowy pokój, w którym był więziony. Wcześniej wykonywał ich polecenia, bo bał się o życie swoje i córki. Z upływem czasu Amadeusz S. zmienił składane na policji zeznania - nie było żadnego porwania, poruszał się swobodnie, sam zarezerwował sobie miejsce w hotelu Pod Dębami. Zameldował się tam na nazwisko Krzysztof Kowalski. Wszystkie SMS y wyszły spod jego ręki. Ale skończyły mu się pieniądze, musiał wyjść z ukrycia. Urowadzenie dla okupu wymyślił razem z Kamilem, bo potrzebowali pieniędzy na kolejne eksperymentalne przedsięwzięcie biznesowe.

Obaj młodzi mężczyźni zostali aresztowani. W samochodzie Kamila P. znaleziono pendrive i telefon. Ich właściciel ujawnił kody dostępu, wskazał też, gdzie leżą dwa celowo zniszczone laptopy.

W BMW Amadeusza S. był ukryty telefon Phone. Po włączeniu, ujawniono m. in plik dźwiękowy w języku angielskim, który został przesłany do Beaty S. od rzekomych porywaczy. Okazało się, że karta telefonu, jego zabezpieczenie były zarejestrowane na tzw. słupa. Kamery monitoringu w pobliżu Hotelu Pod Dębami uchwyciły taksówkę, którą przemieszczał się rzekomo porwany.

Kamil P. złożył obszernie wyjaśnienia: Porwanie zaczął planować z kumplem pod koniec 2020 roku. Do działań przygotowywali się precyzyjnie, kupując m. in nowe laptopy, na których mieli

zainstalowane oprogramowanie maskujące możliwość ich identyfikacji. Założyli konta bitcoinowe, wykupili specjalne, wirtualne numery telefonów pozorujące ich zagraniczne pochodzenie. Okup zamierzali uzyskać za pośrednictwem komunikatora internetowego Sygnal.

Po zdemaskowaniu skończyła się przyjaźń organizatorów porwania, choć osadzeni w areszcie spotykali się na spacerunku. Pewnego dnia Kamil P. podszedł do Amadeusza, ale ten udawał, że go nie widzi. Mimo to zapytał, czy jego rodzina jest bezpieczna, nadal ma dach nad głową w wynajętym lokalu. - Nie martw się, jest jak dawniej. Możecie mieszkać tam, gdzie dotychczas - usłyszał w odpowiedzi.

S. nie dotrzymał słowa. Tydzień później Kamil P. w liście do swej żony polecił: „Od rodziny S. odetnij się, jak wyjdę, zrobię to samo. Byłem lojalny wobec zwykłej szui. Nie chcę ich znać. Wszelkie rozliczenia trzeba robić przez prawnika”.

Osadzony przeproszał żonę „za to, co nabroił”. Prosił, aby była dzielna i silna, wystarczy, że on się załamał. „Miałem takiego doła - wyznał - że chciałem odejść z tego świata”. Radził, aby skontaktowała się z psychologiem. Córeczce ma powiedzieć, że tata źle zrobił i teraz jest zamknięty w klatce.

\*\*\*

Przed Sądem Okręgowym dla Warszawy Praga prokurator zarzucił obu mężczyznom usiłowanie wymuszenia rozbójniczego i wprowadzenie organów ścigania w błąd.

Rodzice Amadeusza S. mieli wpłacić 30 BTC a następnie 35 BTC do specjalnie utworzonego portfela waluty wirtualnej. Do małżeństwa kierowane były groźby pozbawienia życia porwanego w przypadku niespełnienia żądań. Rzekomi kidnaperzy nie osiągnęli celu z uwagi na interwencję funkcjonariuszy CBS oraz postawę pokrzywdzonych.

Już na początku procesu Amadeusz S. zgłosił chęć dobrowolnego poddania się karze. Przepraszał swych najbliższych, których, jak

twierdził, wystarczająco skrzywdził, aby mieć wyrzuty sumienia na całe życie. Jego rodzice skorzystali z prawa do odmowy składania zeznań.

Kamil P. też się kajał, że podczas przesłuchania w śledztwie nie powiedział prawdy. - Funkcjonariusze wymuszali na mnie zeznania - twierdził. - Uderzali w biurko pięściami, grozili więzieniem. Bałem się konsekwencji prawnych, że pomogłem w zorganizowaniu rzekomego porwania, a z drugiej strony drżałem na myśl o mściwości Amadeusza. Kredyty spółki są na mnie, jeśli on umyje od tego ręce, nie wygrzebię się z długów. Poza tym mieszkam w jego lokalu, w każdej chwili mógł mi wymówić, co zresztą już się stało. Wpadłem w panikę.

Oskarżony przyznał, że kiedy pewnego dnia przyszli do jego celi funkcjonariusze CBS i przekonywali go, że czas wyjawić prawdę, był o krok od takiego wyznania. Ale strach, co będzie później, zamknął mu usta.

W ostatnim słowie Kamil P. poprosił o łagodny wymiar kary, chroniący go przed więzieniem.

Amadeusz S. swój czyn określił jako głupi występki. „Chciałem po prostu pomóc Kamilowi, a że to trwało długo, nie wynikało z przemyślanych przygotowań. Odwlekałem decyzję o rzekomym porwaniu, nie chciałem tego. Jednakże czułem presję mojego współnika i ostatecznie się zaangażowałem. Teraz wróciłem na jasną stronę mocy.

Sąd skazał Amadeusza S. na 1,4 roku więzienia i grzywnę wysokości 60 tys. zł. Kamil P. dostał rok i 6 miesięcy. Jego grzywna to 40 tys. zł

W ustnym uzasadnieniu sędzia Adam Radziszewski zaznaczył, że nie uwierzono Amadeuszowi S., gdy twierdził, że zdecydował się na rzekome porwanie, bo chciał pomóc przyjacielowi w jego złej sytuacji materialnej.

Również oskarżony Kamil P. nie był wiarygodny na etapie postępowania przygotowawczego a także w trakcie rozprawy sądowej. Dostał wyższy wyrok, bo popełnił jedno przestępstwo więcej - jeszcze przed postawieniem mu zarzutów złożył fałszywe zeznania.

Sąd Apelacyjny utrzymał wyrok w mocy.

## Byłem tylko narzędziem Allaha

**- Moim Bogiem jest Allah, on kazał mi zabić –wyjaśniał w sądzie mieszkający w Polsce Gruzin Magomed K. morderca ojczyma.**

Godzina dziesiąta rano, warszawski Targówek. Jest 11 października 2021 roku. Do samochodu, który uruchamia mężczyzna o wyglądzie przybysza z Kaukazu podbiega drobny nastolatek. Wyciąga kierowcę z pojazdu - bije i kopie go po całym ciele. Kiedy napadnięty osuwa się na chodnik, zadaje mu kilkanaście ciosów nożem o długim ostrzu. Rany klute są również na twarzy, blisko oczu.

Kobieta wychodząca z pobliskiego sklepu wzywa pogotowie. Kilka minut później ratownicy zabierają nieprzytomną ofiarę napaści do karetki. Kiedy nadjeżdża policja, po agresorze ani śladu. Przypadkowi świadkowie zdarzenia zapamiętali, że chłopak z nożem w ręku miał dość długą brodę, wyglądał na przybysza z Azji. - On szedł ulicą z tym narzędziem zbrodni gotowym do zadania ciosu. Miał takie spojrzenie, że wolałem zejść mu z oczu - powiedział jeden ze świadków tragedii.

W całej Warszawie trwają poszukiwania napastnika. Wieczorem policjanci natykają się na podejrzanego na Dworcu Centralnym. Przez przypadek, nożownik usiłował coś ukraść w butik na podziemnej kondygnacji.

Okazuje się, że jest to 25-letni Gruzin Magomed K. czeczeńskiego pochodzenia. W Polsce mieszka z przerwami od 2007 roku. Przyjechał z matką po śmierci swego ojca. W powietrzu wisiał zbrojny konflikt narodowościowy między Gruzją a wspieranymi przez wojska Rosji separatystami z republik Osetii Południowej i Abchazji.

Zaatakowany kierowca był ojczymem podejrzanego. Nie przeżył śmiertelnych ukłuć nożem. Nazywał się Leonis D. On również



przyjechał do Polski z Gruzji. Miał 52 lata. Osierocił troje małych dzieci.

\*\*\*

Aresztowany Gruzin usłyszał w prokuraturze zarzut zabójstwa. Odmówił składania wyjaśnień. Zapytany czy nożem, który miał w kieszeni zrobił komuś krzywdę, milczał.

Kim jest, śledczy dowiedzieli się od jego matki.

Miał niespełna 11 lat, kiedy znalazł się w Warszawie. Jego owdowiała matka Aiza B. wyszła tu za męża na emigranta Gruzina. W ciągu kilku lat urodziło im się troje dzieci. Jak zeznawała w prokuraturze, nastoletni Magomed przyłgnał do jej męża, cieszył się, że wreszcie w domu jest mężczyzna. Musiało być im ciężko w Polsce (Leonis D. nie miał karty pobytu, pracował na czarno. Pozytywną decyzję, że może w Polsce legalnie mieszkać, dostał pod koniec września 2021 roku, kilka tygodni przed śmiercią), skoro po roku postanowili szukać szczęścia we Francji. Mieszkali tam 5 lat. Mieli statut uchodźców, co gwarantowało ubezpieczenie i socjalną pomoc. Magomed chodził do szkoły. Nie potrafił zaprzyjaźnić się z rówieśnikami. Był samotnikiem.

- Martwiło mnie to - zeznała Aiza B - chciałam wrócić do Polski, tam syn łatwiej się integrował. On raz po raz zmieniał zdanie, w pewnym momencie wymógł na mnie, abyśmy osiedli w Dani. Uległam. Żyliśmy tam pół roku bez prawa przebywania, co skończyło się deportacją do Polski.

W Warszawie dostali 4 pokojowe mieszkanie i pomoc socjalną. Kobieta szczegółowo wyliczyła: 400 zł dodatku mieszkaniowego, posiłki w szkole i stypendia socjalne łącznie 1800 zł, 500 zł plus razy trzy, 1884 zł zasiłek rodzinny, 20 zł miesięczne dopłaty do rachunków za media.

Mimo zapewnionego finansowego wsparcia nie siedzieli z mężem z założonymi rękami. On sprzątała w Arkadii, on dojeżdżał dwie

godziny w jedną stronę do ubojni. Bez karty stałego zameldowania trudno było znaleźć dogodniejszą pracę.

W listopadzie 2020 roku Magomed postanowił, że wróci do Francji. Matka nie pochwałała tego pomysłu, ale nie mogła synowi zabronić, był już pełnoletni. Łudziła się, że może na zachodzie skończy choćby kursy zawodowe, bo w Polsce nie garnął się ani do nauki, ani do pracy.

Magomed pojechał do Paryża i ...przepadł. Żadnego kontaktu z najbliższymi. Zaniepokojona Aiza B. postanowiła dotrzeć do niego. Na poszukiwania wydała dużo pieniędzy, ale było warto – francuski prawnik z pomocą policji odnalazł młodego Gruzina. Dwa tygodnie później Magomed K. został deportowany do Polski. Był początek września 2021 roku.

\*\*\*

- Przerobili go w tej Francji, to było dobre dziecko - płakała na rozprawie zdesperowana matka. - Syn bardzo się zmienił, nie rozmawiał z nami, w ogóle z nikim nie utrzymywał kontaktu. Całymi dniami siedział w swoim pokoju wpatrzony w komputer. Czasem wychodził po południu, ale na pytanie, gdzie idzie, o której wróci, nie odpowiadał. Chciałam kupić mu kartę do telefonu pod warunkiem, że odbierze, gdy zadzwonię. Nie zgodził się. Wszyscy domownicy: jego rodzeństwo, ojczym, ja, byli dla syna jakby niewidzialni. Kiedy szedł, usuwaliśmy mu się z drogi, bo gotów był człowieka podeptać.

Chciała, aby syn poszedł do lekarza. Odmówił. Prosiła męża, niech z nim porozmawia, dobrze dogadywali się przed wyjazdem do Francji. Nic z tego nie wyszło, Magomed wykrzyczał w obecności rodziny, że nienawidzi ojczyma. Za co? Nie wyjaśnił.

Z dnia na dzień było coraz gorzej. Ponieważ nie dawali leniuchującemu synowi kieszonkowego, zaczął kraść w sklepach. Kiedy złapano go na „zwinięciu” perfum w sklepie Baltony skłamał,

że chciał sprzedać kosmetyk na targowisku, aby mieć na jedzenie. Został ukarany wykonywaniem przez 6 miesięcy prac na cele społeczne.

W jego pokoju – matka mogła tam wejść tylko wówczas, gdy Magomeda nie było w domu – czuło się narkotyki. Zamierzała zawiadomić komisariat policji, ale mąż wolał sam uporać się z problemem. Kiedy jednak poczuł się bezradny, poszedł po radę do imama. Muzułmański przewodnik duchowy uznał, że Magomed powinien pod jego kierunkiem zająć się studiowaniem Koranu. Nic z tego nie wyszło.

- Moje dziecko - zeznała Aiza B. w prokuraturze - traktowało nas tak, jakbyśmy byli jego największymi wrogami. Zdarzyło się, że mąż musiał wyjść na miasto, ja byłam w Arkadii, nie miał kto przypilnować najmłodszych dzieci. Chodziło o opiekę przez godzinę, nie więcej. Magomed, jak zwykle siedział przy laptopie w swoim pokoju. Poproszony o pomoc wybuchnął gniewem i od tej chwili przestał z ojczymem rozmawiać.

\*\*\*

Podczas rewizji przeprowadzonej w pokoju oskarżonego natrafiono na pismo mera Paryża z wyjaśnieniami, dlaczego Magomed K. ma opuścić Francję.

Młody Gruzin nie mógł skorzystać z przywileju artykułu 21 konwencji z Schengen, gdyż podrobił kartę pobytu we Francji. Ponadto odmawiał złożenia podpisu, nie zgodził się na pobrania odcisku palca i nie chciał podać informacji, pozwalających ustalić jego tożsamość. Ponieważ oświadczył, że nie ma zamiaru zastosowania się do obowiązku opuszczenia terytorium Francji, został siłowo przekazany władzom polskim. Miesiąc później śmiertelnie zranił nożem swego ojczyma.

Prokurator przyjrzał się filmom, które chłopak godzinami oglądał w swoim laptopie. Bardzo brutalne obrazy. Na przykład taki: na

pierwszym planie dwa samochody typu wojskowego jadą przez las. W tle wybrzmiewa pieśń bojowa o charakterze religijnym, sławiąca Koran. Na ekranie pojawia się mężczyzna w czarnym ubraniu z długą brodą, trzyma karabin maszynowy, z którego oddaje strzały w nieokreślonym kierunku. Widać niezidentyfikowany obiekt w płomieniach. Potem drugi mężczyzna strzelając wykrzykuje słowa w bliskowschodnim języku.

Następne ujęcie - sąd wojenny. Do skazanego podchodzą mężczyźni z bronią w ręku i czarnymi szmatami na twarzy, w której są otwory na oczy. Mają długie, sięgające ramion brody. Rozlegają się strzały. Na stojącej obok naczepie widać kłębowisko pakunków, które kształtem przypominają ludzkie ciała.

Kolejny film ma pejzaż pustynny. Brodaci mężczyźni z bronią stoją nieruchomo w szeregu. Rozlega się głos: - Nie będzie dla was zbawienia, jeśli teraz pożałujecie swych sił dla uwolnienia nas od niewiernych. Historia pokazuje, że przegrywa się tylko wówczas, kiedy żałujemy zdrajców. Zmiażdżcie ich, pogrzebicie.

Są też sceny rozstrzeliwania ludzi na pustyni; widać zakrwawione zwłoki dzieci. Narrator z zasłoniętą twarzą krzyczy do kamer: mudzahedini gdziekolwiek jesteście, co robicie, aby wesprzeć swoich braci? Jeżeli jesteście w stanie zabić jakiegokolwiek Amerykanina czy Europejczyka a zwłaszcza fałszywych Francuzów lub innych agresorów z państw, które są przeciw państwu islamskiemu, zaufajcie Allahowi i zróbcie to, a każdy dostąpi raj.

Kolejne zbliżenia na ludzkie zwłoki. Stojący obok uzbrojony mężczyzna z bronią mówi: - To jest mój syn, który zginął, teraz jest w drodze do Allaha, ja pójdę za nim. To, co daje nam siłę, obrócimy przeciwko wrogom Allaha - szyitom, wahabitom, żydom, chrześcijanom. Przysięgam na Allaha, że dopóki zostanie choć jeden z nas, będzie walczył. Pochowam syna i powrócę do walki.

\*\*\*

Pierwsza opinia zespołu psychiatrów i psychologów sugerowała ponowne zbadanie Magomeda K. w klinice, aby wykluczyć chorobę psychiczną. Stwierdzono przeciętną sprawność intelektualną, bez objawów upośledzenia umysłowego. Świadomość jasną, niezaburzoną. Trudno było jednoznacznie ustalić, czy zeznania złożone w śledztwie mają charakter urojeń wynikających z przeżyć psychotycznych, czy też są przejawem postawy obronnej badanego.

Psycholog odnotował, że pacjent nie rozumie, dlaczego prokurator oskarża go o zamordowanie ojczyma. - „Moim Bogiem jest Allah, wyjaśniał - on wie, co zrobiłem, sąd nade mną należy tylko do Allaha. Wszystko, co się zdarzyło, zrobił Bóg. Ja tylko byłem narzędziem”.

- Bez komentarza - odpowiedział na pytanie o kontakty z przedstawicielami islamskiego wyznania.

K. zapytany, jakie miał plany życiowe przed aresztowaniem, również odwołał się do Allaha. - Mam prawo jeździć po świecie i mieszkać tam, gdzie Allah mi wskaże. Bo to jest ziemia mojego Boga. Nie ponoszę takiej winy, by zamykać mnie w areszcie, nie powinien się tam znaleźć.

Podejrzanego przewieziono do szpitala dla nerwowo i psychicznie chorych w Stargardzie Gdańskim w celu ponownego zbadania jego poczytalności. Drugi zespół biegłych wykluczył u badanego chorobę psychiczną

K. stanął przed sądem pod zarzutami: Zabójstwa kilkudziesięcioma ciosami nożem swego ojczyma, oraz popełnienia zbrodni przeciw ludzkości. Drugiego przestępstwa dopuścił się w ten sposób, że na ogólnie dostępnym profilu o nazwie ahishishani6 zamieszczał materiały filmowe zawierające zarejestrowane sceny egzekucji osób o określonej przynależności wyznaniowej, kategoryzowanych jako niewiernych. A także materiały propagandowe i werbunkowe wspierające zbrodnicze cele i metody szerzenia dżihadu i ustanowienie kalifatu islamskiego. Morderstwa były dokonywane

przez ugrupowania ekstremistyczne na terenie krajów Bliskiego Wschodu, we Francji, Austrii.

Na pierwszej rozprawie K. wyjaśnił: - Nie jestem obywatelem żadnego kraju. Z pochodzenia Czeczen, urodziłem się w Gruzji. Treść oskarżenia zrozumiałem. Mogę powiedzieć tyle, że nie ja go zabiłem, choć nóż był mój. Jak chciał Allah, tak się stało. Ja nie mam nic do dodania. Nie miałem żadnego konfliktu z ojczyzną, nie jestem w stanie po kolei opowiedzieć, co się wydarzyło 11 października 2021 roku. Allah wie lepiej.

Na pytania sądu, czy zawsze był osobą wierzącą, oskarżony odpowiedział: - Tylko Allah to wie.

W miarę postępowania sądowego K. coraz bardziej zdecydowanie oskarżał swego ojczyzna.

- To wszystko stało się z jego winy - twierdził - poniżał mojego boga, robił to ponad sto razy w miesiącu. Powiedział mi: - Wyjebałem go. Nikt nie ma prawa ubliżać Allahowi. Ja miałem pozwolenie, że mogę zabijać takich ludzi. Użyłem noża z długim ostrzem, bo nie chciałem zabrudzić ręki krwią bluźniercy ...

Na pytania prokuratora, czy oskarżony był świadkiem innego zabójstwa na tle religijnym, czy w czasie pobytu za granicą miał kontakt z ludźmi, którzy żywili wrogość do tubylców, K. odpowiadał niezmiennie: - Bez komentarza

Sąd Okręgowy Warszawa Praga skazał Magomeda K. na 25 lat więzienia.

# Rozdział 4. GDZIE JESTEŚ KOCHANIE

## Kręgi na wodzie

**Czy tym razem natrafiono na właściwy trop w 12 letnich poszukiwaniach maturzystki Iwony z Gdańska?**

W połowie lipca 2010 r. dowiedziała się o tym cała Polska. 19-letnia Iwona Wieczorek nie wróciła do domu z nocnej dyskoteki w sopockim Dream Club. Jej matka, nie znajdując na policji zainteresowania zaginięciem dziewczyny, poinformowała o swym niepokoju gdańską telewizję. Na ekranie Panoramy pokazało się zdjęcie ładnej blondynki o ciemnych oczach. Wybrzmiał komunikat: „Ktokolwiek wie...”

Nic nie dały poszukiwania (o których poniżej). 12 lat później w połowie grudnia br. media obiegała wiadomość, że nastąpił prawdziwy przełom w śledztwie, sprawa dziewczyny powraca, prokuratura ma twarde dane. Tak się wyraził w RMF FM wiceminister sprawiedliwości Michał Woś.

Policja przeszukała mieszkanie Pawła P. kolegi Iwony, który był z nią w klubie w noc jej zaginięcia. Podejznanemu postawiono zarzuty mataczenia, zacierania śladów przestępstwa, a także podawania nieprawdziwych informacji. Paweł P. i jego partnerka mieli również dopuścić się przestępstwa narkotykowego.

Zostali zatrzymani i następnie wypuszczeni po wpłaceniu kaucji. 16 grudnia Prokuratura Krajowa opublikowała lakoniczny komunikat, że z uwagi na dobro prowadzonego postępowania, „na obecnym etapie nie udziela szczegółowych informacji dotyczących

przedstawionych zarzutów oraz wykonywanych i planowanych czynności procesowych”.

Przeciwko używaniu przez wiceministra sprawiedliwości określenia „przełom” w sprawie Iwony Wieczorek stanowczo zaprotestował pełnomocnik Pawła P. adwokat Krzysztof Woliński. Twierdził, że zatrzymanie jego klienta dotyczy sprawy narkotykowej.

20 grudnia br. Polsat News poinformowała, że w 2010 roku P. bez pozwolenia wszedł do domu Iwony Wieczorek i usunął „nieokreślone” pliki z jej komputera.

Mec. Krzysztof Woliński, zareagował na to oświadczeniem, że Paweł P. nie przyznaje się do winy i nie jest podejrzany o to, co się stało dziewczyną. Obecnie ma prokuratorski zakaz rozmawiania z mediami.

P. udzielił wywiadu portalowi Onet.pl w październiku br. Żalił się, że policjanci dwukrotnie - w odstępie kilku miesięcy - przeszukiwali dom, w którym mieszka, a także posesję sugerując, że są tam ukryte zwłoki dziewczyny. „Funkcjonariusze zachowywali się brutalnie, jeden z nich, gdy nie chciałem ich wpuścić po godz. 21 do mieszkania, bo tam spało moje małe dziecko, powiedział: „jak ci przyj\*\*\*e, to wpadniesz do środka”. Zabrano sprzęt elektroniczny: telefony komórkowe, kamerki, karty pamięci, nagrania oraz dokumenty i zdjęcia.

\*\*\*

Maturzystka Iwona Wieczorek rozrywkowy wieczór 16 lipca 2010 r. zaczęła od spotkania w ogródku działkowym babci Pawła P. W towarzystwie przyjaciółki Adrii i trzech kolegów piła whisky oraz wódkę, aby się wprawić w nastrój przed pójściem do Dream Clubu.

Do dyskoteki wybierała się z Pawłem P., ale nie byli parą. Chyba nawet niezbyt się lubili: w trakcie imprezy doszło między nimi do kłótni. Ona przeżywała smutki sercowe, gdyż rozstała się ze swą miłością i nie chciała w weekend siedzieć sama w domu.



Dyskoteka nie poprawiła jej humoru, zwłaszcza, że dotarł do niej eśemes z informacją, że były chłopak świetnie się bawi w klubie Banana Beach w Gdańsku Jelitkowie. Iwona posprzeczała się z Adrią i przed godziną 3 opuściła swoje towarzystwo.

Jest ciepła letnia noc, wkrótce zacznie się rozwidniać. Dziewczyna idzie pieszo w stronę Gdańska, wzdłuż linii brzegowej. Po drodze mijają lokale gastronomiczne z zamontowanymi na ich frontach obrotowymi kamerami. Ostatnia zarejestrowała ją o godz. 4.12. Iwona jest wtedy w pobliżu wejścia na plażę nr 63. Na filmie młoda kobieta w króciutkiej spódniczce maszeruje różnym krokiem boso, szpilki trzyma w ręku. Nie rozgląda się płochliwie na boki. Ma już blisko do swego bloku w Gdańsku, musi tylko przejść kilkaset metrów parkiem Reagana. W środku lata nawet o świcie nie jest to bezлюдna trasa. Ale nie ma tam kamer i nie można też prześledzić drogi nastolatki według logowań jej telefonu do sieci, gdyż wyczerpała się bateria.

\*\*\*

- Jest dorosła, może nagle postanowiła samotnie wyjechać na wakacje? - sugeruje matce oficer dyżurny w komisariacie sopockiej policji - trzeba trochę poczekać, przecież nie szukamy dziecka.

- Nie zrobiłaby tego bez mojej wiedzy - oponuje matka -poza tym lada dzień miała przyjść wiadomość z uczelni, czy dostała się na studia, Iwona czekała na nią.

Wobec opieszałości policji (co później potwierdzi NIK w swym raporcie punktując, że do spenetrowania trasy spaceru Iwony doszło dopiero po 10 dniach, a monitoring kamer w ogóle nie był zabezpieczony), matka zaginionej zwraca się Krzysztofa Rutkowskiego. Detektyw dociera do nagrań z monitoringu; widzi, że ostatnie zdjęcie Iwony zostało zrobione przy wejściu na plażę nr 63.

Po analizie klitek filmowych Rutkowski sugeruje, że dziewczynę mogli porwać dwaj mężczyźni obecni w położonej na trasie

restauracji. Na zdjęciu widać, że zaczepiają młode kobiety. Kiedy Wieczorkówna przechodzi koło tego lokalu, jeden z nich uważnie śledzi ją wzrokiem.

Policji to nie interesuje.

Zrozpaczona matkaszuka pomocy u jasnowidza z Człuchowa Krzysztofa Jackowskiego. Sprowadzony do Sopotu chodzi po wydmach i plaży z odzieżą Iwony przy nosie. Jego zdaniem ciało „jest w pobliżu jakichś drewnianych bud czy szop. Obok utwardzona droga, ale nie asfalt. Jest też las”. Później wyczuje Iwonę w Jastrzębiej Górze, na kempingu ze znajomymi.

Nic się nie sprawdza. Odnaleziona w parku granatowa spódniczka jest wprawdzie podobna do tej, w której Iwona wracała z dyskoteki, ale nie należy do zaginionej.

Wielkie społeczne zainteresowanie losami 19 -latki (w Trójmieście odbył się z tego powodu marsz zadumy) jest wsparciem dla matki, ale też i... udręczeniem. Bo za telefonami z ofertą pomocy kryją się fałszywe alarmy. Mimo wszystko trzeba je sprawdzić, a nuż....

Oto mieszkanka sąsiedniego bloku twierdzi, że jej szwagier widział, jak Iwonę wciągało do samochodu dwóch mężczyzn. Rzekomy świadek porwania zaprzecza. Ktoś dysponuje informacją od klienta agencji towarzyskiej w Berlinie, że nastolatka jest tam przetrzymywana w piwnicy. Alarmująco brzmi wiadomość o dopiero co wypuszczonym z więzienia gwałtocielu i porywaczu kobiet, który koczuje w pobliżu wejścia na plażę nr 63. Wszystko to fałszywe tropy.

Detektyw Rutkowski leci do Sztokholmu. - Jestem tu – informuje redakcję Dziennika Bałtyckiego - ponieważ odnalazł się świadek tego, co się działo wczesnym rankiem przy wejściu nr 63. Na razie mogę tylko tyle powiedzieć.

W Super Expressie ujawnia więcej: „Ona nie żyje i według moich ustaleń, tamtej nocy ktoś siłą wciągnął ją do samochodu. (...) W Szwecji udało mi się natrafić na bardzo ważny ślad”.

Potem się okazuje, że to blef.

Wielu oszustów chce zarobić na mistyfikacji porwania dziewczyny. 25-latek z Częstochowy w esemesie do matki Iwony żąda 800 tys. zł okupu. Przez trzy miesiące, zanim zostanie namierzony przez policję, z różnych numerów telefonów wysyła udręczonej kobiecie kilkadziesiąt wiadomości. Śledczy znaleźli u niego kilkanaście komórek. Na twardym dysku laptopa miał spreparowane zdjęcie rzekomo uwięzionej dziewczyny.

Napływa wiele sygnałów, że gdzieś widziano Iwonę. Szczególnie wiele materiału na ten temat produkują internauci. Poszukiwaną Polkę dostrzeżono na Polach Elizejskich, w paryskim metrze, w Madrycie, hamburskim burdelu, w autobusie z Bełchatowa do Łodzi. Sprawdzenie tych informacji wymaga przesłuchania ponad 300 rzekomych świadków. I jak kulą w płot. Potok doniesień nie wysycha.

Zdradzona żona donosi policji o dziwnych zachowaniach jej niewiernego męża i sugeruje, że może to mieć coś wspólnego z zaginięciem Iwony Wieczorek.

Jest też wskazanie na księdza z pobliskiej parafii, który miał zamordować dziewczynę i ukryć ciało pod ołtarzem. Różdźkarz z Kartuz oznajmia policjantom, że ofiara została zamurowana w filarach hali sportowej w Gdańsku. Kobieta przedstawiająca się jako medium mające kontakt z ze zmarłymi, widzi zwłoki Iwony Wieczorek zawinięte w dywanik i ukryte na strychu sopockiej restauracji.

Kolejny trop do sprawdzenia: podobno dostrzeżono zaginioną na kempingu w Jastrzębiej Górze. Przebywa tam ze starszym mężczyzną wyglądającym na Araba. W rzeczywistości był to obcokrajowiec o śniadej cerze ze swoją partnerką.

W krakowskim sklepie sprzedawca podsłuchuje rozmowę telefoniczną klienta kupującego perfumy Hugo Boss. Elegancko wyglądający mężczyzna informuje kogoś, że dopiero co przyjechał do

Krakowa i „to, co miało być załatwione, jest zrobione”. Ekspedient zauważył na szyi klienta ślady zadrapania.

To się ciągnie latami. Pewnego dnia matka Iwony dostaje esemes: „cześć mammo ja niedługo wracam do domu ze swoją cureczkom Iwona Wieczorak”( Pisownia oryginalna). Ktoś inny chce milion złotych za ujawnienie, gdzie jest przetrzymywana nastolatka. Na dowód przesyła jej aktualne zdjęcie, które okazuje się fotomontażem. Oszust dzwoni w wigilię z pytaniem, czy pieniądze zostały wysłane, bo Iwona płacze, chce do domu.

Akurat temu nie powiodło się - został skazany.

\*\*\*

Po przejęciu sprawy przez Komendę Wojewódzką Policji śledztwo nabiera przyspieszenia. Setki policjantów z psami tropiącymi przeszukują duży park Reagana. W użyciu są nowoczesne georadary.

Policja przekazuje mediom, że dzięki tym urządzeniom nastąpił przełom w śledztwie. Tak naprawdę, do żadnego przełomu nie doszło; to prowokacja organów ścigania, aby rozdzwoniły się telefony. Oczekiwano, że w podsłuchiwanym rozmowach wypłyną jakieś ważne informacje. Nic takiego nie usłyszano.

Ale można jeszcze odwołać się do czytelników popularnej popołudniówki. Pada hasło: „Mężczyzna z ręcznikiem”. Prawdopodobnie jako ostatni widział Iwonę Wieczorek; może wie, w którą stronę poszła. Trzeba go odszukać.

Na zabezpieczonym przez detektywa Rutkowskiego nagraniu z kamery przy wejściu nr 63 na plażę widać, że za bosonogą Iwoną podąża chwiejnym krokiem mężczyzna w jasnej koszuli, bermudach z ręcznikiem na ramieniu. Nie sposób rozpoznać jego twarzy. Super Express publikuje portret pamięciowy tego mężczyzny z nadzieją, że znajdzie się czytelnik, który będzie wiedział, o kogo chodzi.

Nie ma odzewu, natomiast miesiąc później we wrześniu 2015 r. Krzysztof Rutkowski ogłasza na konferencji prasowej, że prawdopodobnie znalazł tego wczasowicza. Pokazuje zdjęcie. Po przesłuchaniu policyjnym okazuje się, że to nie jest ta osoba.

Przeprowadzono eksperyment procesowy przy wejściu nr 63 na plażę. Czy obracająca się kamera zarejestrowałaby zwrot Iwony w stronę morza? Okazało się, że nie.

Temat „Pan z ręcznikiem” schodzi z forum internetowego, natomiast temperatura tego miejsca podnosi się, kiedy policja szuka sprawcy wśród kolegów Iwony.

Adria i dwóch chłopaków, z którymi Iwona poszła na dyskotekę, mają alibi. Po wyjściu z Dream Clubu zostali rozwiezieni do domów przez ich znajomego. Również trzeci kolega, 22 letni Paweł P., z którym miała się bawić na dyskotecę, ma świadków, że nocował u babci.

Zatem śledczy interesują się innymi znajomymi maturzystki, którzy w nocy z 16 na 17 lipca imprezowali przy ognisku w parku Reagana. Iwona mogła koło nich przechodzić, gdy samotnie wracała nad ranem do domu. Ale oni twierdzą, że rozeszli się wcześniej, koło północy.

Jednodniową sensację wywołało odkrycie numeru telefonu, który w nocy z 16 na 17 lipca 2010 r. logował się w tych samych miejscach, gdzie używała komórki samotnie maszerująca maturzystka. Właścicielką aparatu okazała się koleżanka Iwony. Od posądzenia o śledzenie uratowało ją to, że telefony logowały się w innych godzinach.

\*\*\*

Jest też pewien trop, prowadzący do funkcjonariusza policji, który kolegował się z Iwoną, nawet zabiegając o jej względy podjeżdżał pod blok, w którym mieszkała, a ona do niego schodziła. Często bywał w ulubionych dyskotekach zaginionej maturzystki. Jak pisze Janusz Szostak w swej książce „Co się stało z Iwoną Wieczorek?”

matka dziewczyny była zdziwiona, że kiedy zdarzyła się tragedia, młody policjant nie brał udziału w poszukiwaniach, zeznał, że z Iwoną to była luźna znajomość. A przecież spotykali się, telefonowali do siebie. Namierzenie okazuje się chybione, ale od owego policjanta blisko do niejakiego „Krystka”. To już dłuższa historia.

Najpierw jest głośno o wpisie internautki o nicku Lidia90, która ogłasza, że Iwona umawiała się na sponsorowane spotkania w nadmorskiej dyskotecie pewnego biznesmena, organizowane przez sutenera o imieniu Krystian. Rutkowski temu zaprzecza, twierdzi na jednej ze swych licznych konferencji prasowych, że odszukał Lidię90 i wie, że wszystko zmyśliła.

Jednak wpis anonimowej internautki ciąży na opinii zaginionej, więc pracownicy Dream Clubu wydają oświadczenie, że „Pani Iwona Wieczorek jest młodą, kulturalną osobą często odwiedzającą nasz klub i bawiącą się w gronie swych rówieśników”.

Wszyscy, którzy znają Wieczorkównę twierdzą, że z przestępstwami „Krystka” nie miała nic wspólnego. Łączyły ich tylko adresy dyskotek. Ona się tam bawiła, on szukał naiwnych młodzieńskich dziewczyn dla starych, obleśnych klientów. (Obecnie „Krystek” odpowiada przed sądem w głośnej na Wybrzeżu aferze pedofilskiej).

Opadające emocje znów podnosi niezawodny w tym detektyw Rutkowski. Informuje dziennikarzy o przełomie w jego dociekaniach. Pewien gangster potwierdził podejrzenia, że dziewczyna jest ofiarą bandytów, którzy ją zamordowali, a ciało ukryli w nieznanym miejscu. Komenda Główna Policji w riposie wydaje komunikat: „Rzekome nowe ustalenia w sprawie zaginięcia Iwony Wieczorek pojawiające się w mediach znacznie utrudniają pracę Policji, skupiając siły i środki na czynnościach nie przynoszących efektów i nie mających faktycznie związku ze zdarzeniem. Takim przykładem jest publikacja na temat rzekomego zabójstwa Iwony przez grupę przestępczą.

\*\*\*

Ale już nie da się powstrzymać zainteresowania tematem przez osoby postronne. Tajemnicę zniknięcia maturzystki usiłuje zgłębić nie tylko znany detektyw. Pracują nad tym dziennikarze, jasnowidz, a nawet czytelnicy gazet. Jest bardzo dużo komentarzy internautów. Red. Janusz Szostak podczas przeglądania akt tej sprawy zwraca uwagę na zeznanie przyjaciółki Iwony, która na miesiąc przed zaginięciem widziała w jej komodzie wypchaną stuzłotówkami kopertę. Kiedy zdziwiła się, bo kieszonkowe zaginionej wynosiło zwykle 30 zł, ta wyjaśniła, że pieniądze dostała od rozwiedzionego z matką ojca.

„To może sugerować, że Iwona mogła mieć jeszcze jakieś źródło dochodów” – zastanawia się red. Szostak w rozmowie z Onetem.

Już po wydaniu książki okazało się, że wypchana koperta to składkowy dar krewnych na osiemnaste urodziny Iwony.

Szostak szukał dalej. Latem 2016 r. dostaje od swoich źródeł -jak pisze w książce - informację o przestępcach z pokaźnymi kartotekami, którzy mogą być zamieszani w uprowadzenie i zabójstwo Iwony. Według przekazanych mu danych przewieźli ją na działki przy ul. Winogronowej w Gdańsku. Zgłosił to policji, która pobrała ślady z tego miejsca - próbki gleby i krwi, której było mnóstwo w jednym z pomieszczeń gospodarczych. Ale nie zrobiono pełnych badań laboratoryjnych.

W listopadzie 2017 roku do poszukiwań włącza się pewne biuro detektywistyczne z Warszawy. Jego pracownicy puścili na Facebooku nagranie kamery monitoringowej, na którym podobno (nie wszyscy mogli dostrzec) była widoczna głowa martwej Iwony Wieczorek. Poszukiwana dziewczyna ponoć leżała między plastikowymi workami w samochodzie zbierającym śmieci z parku Reagana. Autorzy nagrania sugerowali, że jest ofiarą robotników z tej firmy.

Policja przesłuchiwała obsługę smieciarki. Okazało się, że między workami zagrzebał się pijany kolega syna jednego z pracowników. I to jego sfotografowano.

Do sprawy zaginięcia maturzystki z Gdańska wraca red. Sylwester Latkowski w jednym z rozdziałów swej książki pt. „Układ trójmiejski”. W rozmowie ze śledczym, który bardzo dobrze znał kulisy sprawy Iwony Wieczerek pada informacja, że podejrzanym mógł być były chłopak dziewczyny. Funkcjonariusz przypomniał, że trasę z klubu nocnego do domu Wieczerek pokonała również tydzień wcześniej. O tej samej porze i w tych samych okolicznościach. W czasie powrotu doszło do jakiegoś nieporozumienia, które Iwona opisywała, dzwoniąc do różnych osób, o 5 rano. - O czym mówiła? - pyta Latkowski. „- Żaliła się, że została pobita w parku Reagana. Zadzwoiła między innymi do swojego byłego chłopaka, Piotrka (imię zostało zmienione przez autora książki-przyp.red.). Chory związek. Oni byli strasznie o siebie zazdrośni. (...) Kłócili się non stop”.

„Piotr” zostaje wezwany na przesłuchanie. Twierdzi, że kiedy dziewczyna skarżyła się na jego kolegów, że ją poturbowali, bo próbowała ich rozdzielać podczas bójki w parku Reagana, ochrzanił ją. Po co się szlaja po nocy!

Rozmówca red. Latkowskiego uważa, że ów „Piotr” od początku kłamie, kryjąc swoich kolegów. Chłopak twierdził, że 17 lipca zaraz po północy rozeszli się z parku Regana do swych domów. Przeczyła temu lokalizacja ich komórek. Tej nocy jego telefon logował się przy parku Reagana jeszcze o godzinie 3.30. Nie poruszał się pieszo i nie sam. Pomiędzy logowaniami zarejestrowanymi w ciągu czterech minut, była odległość czterech kilometrów. Przesłuchiwany rok później tłumaczył, że pomieszały mu się daty.

Hipoteza tego policjanta jest następująca: koledzy „Piotra” mieli w nocy 9 lipca scysję z Iwoną, bardzo wobec nich zuchwałą. Kiedy podpici zobaczyli ją nad ranem tydzień później, postanowili dać jej nauczkę, aby nie wtrącała się w nieswoje sprawy. Przesadzili, o jedno



uderzenie było za dużo. A ponieważ dysponowali samochodem, więc łatwo im było zatrzeć ślady...

\*\*\*

Dwa lata po ukazaniu się książki Sylwestra Latkowskiego sprawa dotycząca zaginięcia Iwony Wieczorek została przekazana do tzw. Archiwum X, działającego w Małopolskim Wydziale Zamiejscowym Departamentu do Spraw Przeszłości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Krakowie. Zażądano pisemnej informacji od sześciu tysięcy pomorskich policjantów czy coś wiedzą o utrudnianiu śledztwa i korupcji w sprawie Iwony Wieczorek. Nie znaleziono dowodów, że pomorscy policjanci tuszowali sprawę.

W marcu 2020 roku policja na polecenie prokuratury ponownie przeszukuje ogródek działkowy w Sopocie, gdzie Iwona Wieczorek bawiła się ze znajomymi przed pójściem na dyskotekę. Niczego nie znaleziono. Natomiast nowe informacje dla mediów ma Rutkowski. Detektyw twierdzi, że wie od pewnego więźnia, gdzie szukać ciała. Pomagał bandytom w zakopaniu zwłok zamordowanej Wieczorek. Jest to miejsce koło Wejherowa.

Ostatecznie ani on, ani policja, niczego nie znajdują

Po raz kolejny decyduje się na szukanie ciała Iwony Janusz Szostak. Tym razem podejrzewa - inspirowany przez swych informatorów, jak twierdzi, osób z półświatka - że zwłoki mogą być ukryte w ogródku działkowym za stadionem Arena Gdańsk. W starym garażu ujawniono zamurowany kanał. Ale nie było tam śladów przechowywania ludzkiego ciała. Nic też nie dało zagłębienie z kolejnym jasnowidzem do studzienek i przepustów w parku Reagana.

Porażką zakończyło się penetrowanie gdańskiej plaży przez ekipę Rutkowskiego, który ponoć kierował się informacją o miejscu ukrycia zwłok otrzymaną od pewnego więźnia. Wykopano dwa noże

i rajstopy. Sztuce były świeższej niż sprzed 11 lat daty, a co do części garderoby - nastolatka nie nosiła jej w gorącym lipcu.

\*\*\*

Wątek męczyzny z ręcznikiem rozwiązuje się 10 grudnia 2022 roku. Człowiek ten rozpoznał się na opublikowanym przez policję nagraniu wideo z 2010 roku i sam zgłosił się na komisariat w Chorzowie. Mieszka na Śląsku, nie wiedział, że przez 12 lat był poszukiwany. Złożył zeznania w charakterze świadka i po przesłuchaniu został zwolniony do domu.

W Nowy Rok 2023 tłum na sopockim Monciaku, czyli ulicy Bohaterów Monte Cassino, skręca w okolice restauracji Nowa Zatoka. Kiedyś w tym miejscu była słynna luksusowa imprezownia o nazwie Zatoka Sztuki. Spacerowiczom nie chodzi o uraczenie się specjalnością lokalu - owocami morza. Przechodniów przyciągają policyjne zabezpieczenia terenu wokół budynku, choć niewiele jest do oglądania. Pierwszego stycznia pracują tam tylko nieskorzy do rozmowy ochroniarze w policyjnych mundurach. Jak podała miejscowa prasa, zaraz po świętach zostanie wznowione przekopywanie terenu. Wcześniej wyznaczone sektory sprawdzano georadarem, a przy budynku odsłonięte fundamenty wachały psy tropiące. Przegląd studzienek kanalizacyjnych został już zakończony. Nie wiadomo, jakie penetracje przeprowadza się wewnątrz obiektu; wszystkie okna są zasłonięte papierem.

Prokuratura, tłumacząc się dobrem postępowania przygotowawczego, nie ujawnia, czy to wszystko ma związek ze śledztwem w sprawie zaginięcia Iwony Wieczorek. Ale dziennikarze są przekonani, że tak. Przed wybudowaniem obiektu Zatoki Sztuki - a roboty zaczęto tuż po zniknięciu Iwony - był w tym miejscu nieużytek. Sposobny do ukrycia ciała.

Dziś ten teren penetrują specjaliści z Małopolskiego Departamentu X do Spraw Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji a w komunikacie dla PAP wypowiada się Prokuratura Krajowa.

To w krakowskiej prokuraturze przesłuchiowano w ub. miesiącu Pawła P., mieszkającego na Wybrzeżu kolegę zaginionej dziewczyny. Usłyszał zarzuty utrudniania postępowania karnego poprzez usuwanie śladów i dowodów, zacieranie śladów przestępstwa, a także podawanie nieprawdziwych informacji w sprawie dotyczącej Iwony Wieczorek. Została też zatrzymana- podczas zakupów w gdańskiej galerii handlowej - partnerka Pawła P. Kobieta знаła poszukiwaną Iwonę.

Oboje są już na wolności. Ich adwokat twierdzi, że nie mają zarzutów związanych z zaginięciem Iwony Wieczorek.

\*\*\*

Dyskrecja prokuratury skłania media do kolejnych spekulacji, co nowego wydarzyło się w sprawie zaginionej 13 lat temu maturzystki. Od 2010 roku pięciokrotnie ogłaszano przełom w śledztwie i za każdym razem było to jak kulą w płot. Przekopywanie plaży, przesiewanie piasku na terenie dawnej Zatoki Sztuki - luksusowego klubu budowanego przy sopockiej plaży tuż po zaginięciu Iwony Wieczorek, to całkiem nowa sytuacja.

Żeby dywagować, co mogło łączyć 19- latkę z takim lokalem, warto cofnąć się do roku 2015, kiedy to popełniła samobójstwo 14-letnia Anaid. Dziewczynka rzuciła się pod pociąg na Oruni. Według jej koleżanki, nastolatka dzień przed śmiercią miała powiedzieć, że spotkała się ze starszym mężczyzną, który ją zgwałcił. Tym gwałcicielem miał być Krystian W. pracujący w Zatoce Sztuki.

Po pogrzebie Anaidy dziennikarze dotarli do kolejnych dziewczyn z Sopotu, wykorzystanych przez Krystiana W. pseudo Krystek. Nagłośnienie skandalu doprowadziło do zamknięcia Zatoki Sztuki.

Prezydent Sopotu Jacek Karnowski przesłał wtedy do mediów oświadczenie: „Trudno sobie wręcz wyobrazić ból i traumę, którą przeżywają i przeżywały ofiary pedofilii. To jedna z największych zbrodni i trzeba ją wypalać rozżarzoną żelazem. Poblężania dla

kogokolwiek, obojętnie, kim jest i jakie piastuje stanowisko, być nie może. Właściciele Zatoki robili wszystko, aby stworzyć modne miejsce, miejsce pełne celebrytów, znanych twarzy. Zapraszali ich na wydarzenia, organizowali cykle koncertów, także charytatywnych. To miało im ułatwić prowadzenie tego ohydneho procederu wykorzystania dziewczyn, wykreować wrażenie, że Zatoka to super miejsce, w którym warto i należy bywać. (...)” Krystian W. został oskarżony o 65 przestępstw, z czego 40 ma charakter seksualny. Jego ofiarą miało być 35 dziewczyn, w większości niepełnoletnich. Proces nadal się toczy, przy drzwiach zamkniętych. Z przecieków wiadomo, że śledztwo odsłoniło pedofilskie podziemie w sopockich dyskotekach, należących do biznesmena Marcina T., obecnie również oskarżonego. Był on współwłaścicielem Dream Clubu a następnie szefem Zatoki Sztuki.

„Krystek” naganiał żądne pieniędzy naiwne nastolatki do kilku imprezowni w Trójmieście, gdzie je gwałcono lub deprawowano płacąc za striptizy na scenie, czy jak w Dream Clubie, huśtanie się prawie nago pod sufitem sali dansingowej. Niektóre uczestniczyły w tzw. body sushi serwowanym na rozneglizowanej dziewczynie. (Posiłek był dla 10 osób i trwał 40 minut, „obiekt” nie mógł się ruszać). Na bramkach do klubu stali byli policjanci.

W 2022 roku do prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego zwrócił się ksiądz z pobliskiej parafii o poradę, co ma zrobić. Jako duszpasterz opiekował się dwiema dziewczynami pokrzywdzonymi przez „Krystka”. One miały coś wiedzieć o kłótni charakternej Iwony Wieczorek z biznesmenem przebywającym w następnych latach w Zatoce Sztuki. Jedna z nich bardzo się bała o swoje życie, ksiądz szukał dla niej ochrony. Prezydent Sopotu poradził duchownemu, aby o wszystkim opowiedział w prokuraturze. Nie wiadomo, czy do tego doszło, gdyż wkrótce potem ksiądz popełnił samobójstwo.

Śledczy nigdy nie potwierdzili, by gwałciciel «Krystek» znał Iwonę Wieczorek i że jej zniknięcie mogło mieć związek z deprawowaniem nieletnich w sopockich dyskotekach. Wiadomo tylko, że w dniu zaginięcia bawiła się w Dream Clubie. Jak wynika z zeznań świadków

i oświadczeń personelu tego lokalu, od dwóch lat była tam mile widzianą imprezowiczką. Znała numer telefonu do Wojciecha Sz., ps. „Bolo”, szefa ochrony Dream Clubu. Tej nocy, gdy zaginęła, Paweł P. kilkakrotnie dzwonił do niego. Przesłuchiwany obecnie twierdził, że nie przypomina sobie, o czym rozmawiał z ochroniarzem. „Być może miało to coś wspólnego z jej zaginięciem. Zналиśmy się, mogłem dzwonić, ale to było dwanaście lat temu, nie pamiętam”.

Dziennikarze sugerują ponowne zbadanie jeszcze jednego tropu: Wieczerek na krótko przed zaginięciem miała się spotykać z policjantem, który kolegował się z „Krystkiem” i innymi pracownikami Dream Clubu.

Matka Iwony nie była zadowolona z tej znajomości, więc dziewczyna wychodziła do absztyfikanta - jak go później nazwali internauci - przed blok. Po zaginięciu 19-latkі ów policjant nie włączył się w poszukiwania, na kilka dni zniknął.

Wydaje się jednak, że krakowska prokuratura po przejęciu śledztwa od kolegów z Wybrzeża nie zamierza w poszukiwaniach (raczej szczątków zmarłej, niż żywej osoby), korzystać z porad w domorosłych śledczych z mediów. W wypowiedziach przedstawicieli organów ścigania pobrzmiewa żądanie: ciszej nad tą trumną. Pozwólcie działać fachowcom.

Ale retoryczne pytanie, czy Iwona Wieczerek zginęła, bo za dużo wiedziała o deprawowaniu nieletnich w sopockich dyskotekach? - wisi w powietrzu. Z natury odważna, w tragiczną dla niej noc dodatkowo rozeźlona, mogła komuś grozić, że zawiadomi prokuraturę.

## Prokuratorskie gdybanie

**Trzeba było 16 lat, rozpadu kilku małżeństw, aby za kratki poszli prawdziwi obcinacze palców. Pytanie sędzi: gdzie są dowody, miało moc toczącej się kuli śnieżnej.**

Krzysztof D. prowadził w Wołominie przedsiębiorstwo deweloperskie. 30 marca 2004 roku do jego biura wtargnęli dwaj mężczyźni w kominiarkach. Obezwładnili właściciela firmy i wsadzili do samochodu. Przewieziony do Halinowa został zamknięty w opustoszałym budynku. Porywacze wysłali sms do żony Krzysztofa D. z informacją, że przesyłka dla niej czeka w koszu koło Komendy policji w Ząbkach. W pojemniku tkwił mały słoik z kasetą, na której był nagrany głos jej męża. Prosił o pomoc; jest w zimnej piwnicy, porywacze żądają milion dolarów, w przeciwnym razie na początek obetną mu palce. I żeby nie informowała policji, bo jego życie jest zagrożone.

Alicja D. próbowała negocjować z porywaczami wysokość okupu. Najpierw odpisała, że rodzina może uzbierać 100 tys. USD. Wtedy oni: „Za taką sumę to możemy go zakopać”. Ostatecznie, żądana kwota zmniejszyła się do 130 tys. dolarów. Za wiedzą policji, część banknotów została skserowana. Pani D. z okupem w foliowej torbie przez kilka godzin krążyła samochodem po Warszawie, posłuszna poleceniom przestępców. Dochodziła jedenasta w nocy, była w Lasku Bielańskim, gdy usłyszała ostatnią wskazówkę. Ma wyrzucić paczkę przez okno i szybko odjechać.

Kilka godzin później znalazła Krzysztofa D. idącego wzdłuż torów w pobliżu Ząbek.

Podczas pierwszego przesłuchania, uprowadzony przedsiębiorca skarżył się, że porywacze bili go po całym ciele, ograbili ze złotego łańcuszka i wartościowego zegarka. Twierdził, że nie ma żadnych wrogów, ani długów.

30 czerwca 2004 r. prokurator umorzył śledztwo, ponieważ nie wykryto sprawców.

7 grudnia 2004 roku właściciel firmy holowniczej Wojciech D. odebrał telefon od nieznanego klienta, że jego żonie zepsuł się samochód i bezradna kobieta stoi na leśnej drodze pod Piasecznem. Prosi o pomoc.

Wojciech D. był tam po kwadransie. Właśnie rozglądał się za klientką, gdy zza krzaków wyskoczyło czterech mężczyzn. Krzyżąc, przewrócili go na ziemię, owinęli taśmą i wrzucili do auta. Pojechali do pustego domu, który przez dwa tygodnie miał być więzieniem porwanego. D. dostawał jeść, przykuty do kaloryfera.

Porywacze pertraktowali z jego bratem Robertem. Żądali 250 tys. euro okupu. Robert D. instruowany przez policję odpowiadał, że może uzbierać najwyżej 150 tysięcy złotych. Negocjacje trwały. Po dwóch tygodniach przestępcy niespodziewanie odstąpili od żądań, wywieźli przedsiębiorcę nocą na mało uczęszczaną drogę i kazali liczyć do stu. Kiedy spełnił żądanie okazało się, że jest sam - bez telefonu, pieniędzy i dokumentów.

-Wieczorem 31 marca 2004 - zeznaje Ryszard D. prezes firmy zajmującej się sprzedażą energii elektrycznej - szedłem do swej przyjaciółki Ludmiły, ona pochodzi z Białorusi. Blisko jej mieszkania, podeszło do mnie dwóch mężczyzn. Jeden z nich przedstawił się, że jest z wydziału do walki z narkotykami i poprosił dowód osobisty. Zapytał, czy mam broń. Nie miałem. Wtedy on do mnie: - Panie Ryszardzie, z kim się pan zadaje? Wie pan, kto to jest pani Ludmiła? Jest zamieszana w dużą aferę z narkotykami. Musimy pana wziąć na przesłuchanie.

Skuli mnie kajdankami, założyli kaptur od dresu i wepchnęli do samochodu. Leżałem na tylnym siedzeniu z głową pod siedzeniem.

Dojechaliśmy na leśną polanę. Moi oprawcy otworzyli drzwi samochodu i powiedzieli: koniec udawania, nie są żadną policją.

Wcisnęli mi worek foliowy na głowę, zostałem uderzony paralizatorem. Ten, który stał obok zapytał, czy dobrowolnie oddam pieniądze Waldemarowi J., czy mają mi połamać ręce, oblać benzyną i podpalić. J. to mój znajomy, prezes kopalni Bogdanka.

W budynku, gdzie mnie przetrzymywali, nie było bieżącej wody ani kanalizacji. Położyli mnie na barłogu. Leżałem z workiem na głowie i w kajdankach zapiętych na plecach. Nogi miałem owinięte łańcuchem spiętym kłódką.

Usłyszałem: - Lej i sraj pod siebie.

Tydzień później odchodząca od zmysłów żona zaginionego Ryszarda D. odebrała od niego telefon. Miała wrażenie, że mówi pod czyjeś dyktando.

Twierdził, że to nie jest porwanie, niech nie zawiadamia organów ścigania, jest przetrzymywany, bo nie oddał komuś długu 350 tys. euro. Ma być w kontakcie z Mieczysławem J., zastępcą męża w spółce, który pożyczycy im pieniądze i dostarczy porywaczom.

I tak się stało. Późnym wieczorem J. zawiadomił Małgorzatę D., że wyrzucił okup na wskazane przez sprawców miejsce w okolicy Józefowa.

Ryszard D. pojawił się w domu o 1 w nocy. Zarośnięty, na nodze miał ranę po kajdankach. Małgorzata D. zawiadomiła policję.

Śledczy ABW przypuszczali, że zleceniodawcą porwania był przebywający w Izraelu Mieczysław J. Ponadto związek z tą sprawą mógł mieć Waldemar J. z Lublina, któremu Ryszard. D. był winien dużą sumę pieniędzy.

Kilka miesięcy później, gdy wszystkie tropy zawiodły, a D. nie rozpoznał podejrzanych o kidnaperstwo, jego kochanka nie miała nic wspólnego z narkotykami, prokuratura umorzyła śledztwo.

Najbardziej poszkodowaną okazała się żona Ryszarda D. Odzyskała wprawdzie porwanego męża, ale też dowiedziała się o jego



trwającym już 3 lata romansie z Białorusinką. Mogła wybaczyć lekkomyślne zadłużenie firmy, ale nie zdradę.

\*\*\*

Styczniowym rankiem 2005 r. Włodzimierz W. właściciel dwóch zakładów produkcji kartonów odwiózł córkę do przedszkola. Kiedy wracał na parking, dobiegli do niego trzej mężczyźni w policyjnych mundurach. Chwycili pod rękę i zaciągnęli samochodu. Włodzimierz W. z workiem na głowie trafił do jakiegoś mieszkania. Tam był przetrzymywany przez 10 dni. Na oczach miał szmatę przyciśniętą taśmą klejącą.

Porywacze chcieli od jego żony milion euro okupu. Żona przedsiębiorcy poinformowała o wydarzeniu policję. Dyżurny oficer postraszył ją, że pewnego dnia przez płot wpadnie na jej podwórko obcięty palec męża... Ostatecznie zapłaciła 160 tys. euro.

Również w tej sprawie dochodzenie zostało umorzone z braku wykrycia sprawców.

Wkrótce jednak okazało się, że nie można zamieść pod dywan coraz częstszych - w jednym roku doliczono się 20 - porwań.

W środowisku przedsiębiorców huczało od tragedii, jaka dotknęła rodzinę jednego z najbogatszych wówczas Polaków, Józefa B. właściciela podwarszawskiego zakładu przetwórstwa mięsnego. Jego 21 letnią córkę Ewelinę porwano, gdy wracała z uczelni. Mimo wpłacenia miliona euro okupu, nie wróciła do domu. W ustalonym miejscu pod Wyszkowem kidnaperzy zostawili ścięte włosy dziewczyny, które niedługo potem odnalazł jej ojciec. Na tym ślad się urwał.

Podobny los spotkał hinduskiego handlowca Harisha H. Bandyca porwali go przez pomyłkę, bo feralnego dnia pojechał do pracy samochodem szefa. (Upatrzonego na ofiarę).

Za uwolnienie Harisha H. porywacze zażądali 2 mln euro, ale jego rodzina nie była w stanie zebrać takiej sumy. Zrozpaczona żona z ekranu telewizyjnego apelowała o litość dla jej męża. Hindusi prowadzący w Polsce interesy urządzili zrzutkę - zdobyli 800 tys. dolarów. „Chcieliście dać część pieniędzy, to macie kawałek człowieka” - odpowiedzieli porywacze i wysłali rodzinie Hindusa jego obcięte trzy palce.

\*\*\*

W lipcu 2005 roku zaczęły się aresztowania. M. in. został zatrzymany Michał K. z Ząbek, drobny kryminalista.

- Chcę się przyznać - wyjaśniał - że działałem w grupie przestępczej kierowanej przez sołtysa Grzegorza K. ksywa Ojciec. Należeli do niej bracia Krzysztof i Robert B., Stanisław M., Tomasz D. Zajmowaliśmy się uprowadzaniem osób dla okupu. Mnie namówił Robert B. W połowie października 2004 r., po odsiedzeniu 3 lat wyszedłem na wolność i on zapytał, czy chcę trochę zarobić. Bo jest potrzebny kierowca do przewiezienia uprowadzonych. Zgodziłem się. Wkrótce potem Robert B. powiedział, że będzie robota, trzeba tylko ukraść szybki samochód. Potem wszyscy spotkaliśmy się w Ząbkach pod pizzerią. Grzegorz K. „Ojciec” kazał nam jechać za nim. Zatrzymaliśmy się na leśnym parkingu pod Piasecznem. On zadzwonił do człowieka, który miał firmę holującą samochody. Wymyślił bajeczkę, że żonie popsuł się samochód, stoi w lesie, nie wie, co robić...

Michał K. opowiedział szczegółowo o porwaniu Wojciecha D. Relacja pokrywała się z tym, co zeznał w prokuraturze uwolniony przedsiębiorca. Nowe były takie szczegóły, jak nazwa miejscowości, w której przetrzymywano przedsiębiorcę. I że pilnowali go na zmianę wszyscy członkowie bandy. Po 2 tygodniach Grzegorz K. zawiadomił swych „żołnierzy”, że wypuszcza porwanego bez okupu, gdyż zaszła pomyłka. Brat ofiary, który miał dać pieniądze, nie ma wytwórni papierosów.

Potem porwali Włodzimierza W., gdy podjechał z dzieckiem pod przedszkole. Tym razem więzieniem był dom w Głębozycach. Dwa razy nagrywano prośby uwięzionego do żony o wpłacenie okupu.

- Byłem przy tym - zeznał Michał K. - kasetę przygotował Grzegorz K. I on wypłacił chłopakom ich dołą.

Michał K. wspomniał też, że był na robocie z „mokotowskimi”. Chodziło o porwanego Hindusa. „Ostro z nim pojechali - twierdził - obcięli palce”.

Kolejny aresztowany Krzysztof B. zeznał, że do udziału w porwaniach namówił go brat Robert. - W marcu 2004. r. chciałem ukraść samochód marki mitsubishi, gdyż miałem klienta na ten model. W Ząbkach taki wóz miał Krzysztof D. Podjechałem po jego biuro i gdy tylko odszedł od swego samochodu, podstawiłem pod tylne koło skrzynkę. Kalkulowałem, że gdy na nią najedzie i samochód podskoczy, będzie chciał zobaczyć, co się stało. Wtedy ja błyskawicznie uruchomię silnik i odjadę.

Krzysztof B. czekając na ten moment, wyjrzał na drogę. Kiedy wrócił, okazało się, że skrzynka zniknęła. Podstawił drugą i wtedy podjechał jego brat z Arturem K. „Powiedzieli, abym nie kradł samochodu, bardziej mi się opłaca doła za uprowadzenie właściciela mitsubishi”.

Następnego dnia przyszła wiadomość od Grzegorza K., żeby brać Krzysztofa D. „Ojciec” do akcji wyznaczył „Kozłów”, czyli braci B., „Barona”, czyli Artura K. i dwóch facetów; przesłuchiwany ich nie znał.

Krzysztof B. przyznał się do udziału w uprowadzeniu Włodzimierza W., Sławomira D. i Wojciecha D. Twierdził, że uczestniczył też w planach porwania innych osób, ale nie doszły do skutku.

Do końca 2005 roku zarzuty prokuratorskie otrzymali też: Artur K. („Baron”), Wojciech S. („Wojtas” vel „Kierownik”) Tomasz D. („Daczu”), Sebastian L. („Żaba”) i Andrzej K.

Grzegorz K. („Ojciec”) według prokuratora szef grupy przestępczej, nadal był nieuchwytny.

\*\*\*

Opinia publiczna dowiaduje się o porywaczach 28 grudnia 2005r. Super Express informuje o ukrywaniu się Grzegorza K. „bezwzględnego bandyty, który uprowadził co najmniej 20 osób i zyskał na tym 7 mln zł. Za wskazanie miejsca pobytu najbardziej poszukiwanego przestępcy w Polsce policja wyznaczyła milion złotych”.

Kilka dni później w wydaniu noworocznym popołudniówki pod zdjęciem poszukiwanego byłego sołtysa pojawia się informacja, że porywacze z jego bandy obcinali uprowadzonym palce. Wysyłali je rodzinie na dowód, że mają ofiarę. - Bestie, nie ludzie - zwierza się dziennikarzowi anonimowy mężczyzna, któremu udało się uwolnić z rąk oprawców. - Przez tydzień przystawiali mi pistolet do głowy, imitując rosyjską ruletkę. Oblewali kwasem solnym. Słyszałem, jak w pomieszczeniu obok katują innego porwanego. (...). Kiedy obcięli mi palec, odkażał ranę moczem, a opatrunki robił z kawałków koszuli”.

Proces nie może się jednak zacząć, gdyż w lipcu 2006 zniknął Michał K. Policja w czasie przeszukiwania domu ukrywającego się „Ojca” otrzymała od sołtysowej adresowany do męża list: „Grzesiek wiem, że to chujowo wygląda, że piszę do ciebie, ale zrozumiałem, że policja wplątała mnie w jakąś grę, w której jestem kozłem ofiarnym. Zrobiłem z siebie frajera godząc się w swoim czasie na kłamstwa, które podsuwała mi policja. Skusili mnie kasą, jeśli obciążę chłopaków. Zaczęli mnie potem szantażować, że chuj dostanę, chyba, że namówię jeszcze kogoś do fałszywych zeznań. A jak tego nie zrobię, to ujawnią, że sypię. Wypuszczą mnie z kryminału i wtedy oni mnie zajebią, albo bandziory, mogę wybierać.

Namówiłem Krzyska B. żeby potwierdził to, co policja ułożyła na ciebie i na chłopaków. Kasę mieliśmy mieć po połowie: my i policja.

Tak ustaliliśmy z tym P. policjantem z wydziału do walki z terrorem.  
(...)

Oni mi powiedzieli, abym spalił ci gospodarstwo i żebyś się spieszył, póki na podwórku są zdemontowane kamery. Chcieli też, abym ci porwał syna. Pieniądze miałem dostać z okupu, który zapłacisz.

Wycofuję się. Po tym, jak zobaczyłem wasze zdjęcia w Super Ekspresie zrozumiałem, że chcą wyczyścić sobie niewykryte sprawy. Ja cię pomówiłem o 3 porwania, a w gazecie przeczytałem o 20. Napisałem do Staszka M. i Roberta B. Ulżyło mi trochę, ale nadal sumienie strasznie mnie męczy, że zrobiłem wam krzywdę.”

Biegły grafolog twierdzi, że list wyszedł spod ręki Michała K. Pojawia się pytanie, czy autor pisał to pod pistoletem.

\*\*\*

Otwarcie rozprawy sądowej w Sądzie Okręgowym Warszawa Praga opóźnia się, gdyż skład sędziowski, któremu przewodniczy Barbara Piwnik decyduje o zwrocie sprawy prokuraturze w celu usunięcia istotnych braków postępowania przygotowawczego. Prokurator Okręgowy wnosi zażalenie do Sądu Apelacyjnego i wywalcza uchylene zaskarżonego postanowienia.

W wyznaczonym dniu, w ławie oskarżonych siadają: 27 letni Robert B. Jego młodszy o rok brat Krzysztof. (W międzyczasie dorobił się kolejnego oskarżenia, gdyż na wiadomość, że Robert został zatrzymany i pobity, groził policjantowi prowadzącemu śledztwo pozbawieniem życia. Padły słowa: „Ty psie, jesteś żywym trupem, kurwo zostaniesz zajebany, zakopany w lesie”.)

Z aresztanckiej celi są też przyprowadzeni oczekujący na wyroki w innych sprawach: Sebastian L., Oskar Z., Tomasz D., Artur K., Grzegorz K., Andrzej K. Sąd postanawia wyłączyć część zarzutów do odrębnego rozpoznania, albowiem „zaistniały okoliczności znacznie utrudniające łączne rozpoznanie sprawy”.

Marzec 2007 rok. Kolejna przeszkoda na starcie postępowania sądowego. Prokurator domaga się wyłączenia Barbary Piwnik ze składu orzekającego. Gdyż „zachodzą uzasadnione wątpliwości, co do bezstronności sędzi”.

Wniosek jest odrzucony.

W czerwcu protokolant zapisuje pierwsze wyjaśnienia oskarżonych. Krzysztof B. twierdzi, że ledwo przeżył aresztowanie. Policjanci wyważyli drzwi w jego mieszkaniu, założyli mu worek foliowy na głowę, bili, krzyczeli, że razem z bratem uprowadził Ewelinę B. „Mieliśmy ją zamordować i wziąć od rodziców milion złotych”

Przed sądem oświadczył, że nie zna uprowadzonych Krzysztofa D. i Włodzimierza W. W śledztwie owszem, podawał o nich szczegóły, ale dlatego, że jeden z policjantów mu podpowiadał. „Kazali mi potwierdzić to, co mówił Michał K. o porwaniu właściciela zakładu holowniczego. Nie wiem, o kogo chodziło.

W areszcie dostał od Michała K. gryps, że może mu załatwić wyjście na wolność. Ale warunek: ma powiedzieć prokuratorowi, że chce się przyznać do kilku uprowadzeń. (Podał mu nazwiska ofiar, których Krzysztof B. miał się nauczyć na pamięć.) I że Grzegorz K. pseudo Ojciec przewodzi grupie przestępczej.

Przyjechali po niego z Komendy Stołecznej. Na parkingu policjant, na którego mówią Misiek ostrzegł go, aby niczego nie pochrzanił. Bo już raz strzelił gafę określając kolor samochodu Artura K, pseudo Baron jako niebieski, a był szary. Ten Misiek wyjął akta uprowadzenia Sławomira D. z tablicą poglądową i pokazywał, które fotografie ma rozpoznać.

- Zapytałem policjanta S., co zrobią z ukrywającym się Grzegorzem K. - wyjaśniał przed sądem Krzysztof B.

- Nie martw się - odpowiedział - szykuję dla niego specjalną kulkę. I pokazał mi pocisk z nawierconą główką. Podał też namiary na syna „Ojca”, którego miałem z Michałem K. zwinąć, gdy chłopak będzie

stał na przystanku autobusowym. Kiedy K. dowie się o porwaniu syna, na pewno wyjdzie z dziury.

Wyjaśnienia Krzysztofa B. były po myśli jego brata Roberta. - Obiecano mi - tłumaczył na rozprawie - status świadka koronnego, jeśli przyznam się do kilkunastu uprowadzeń, o których w ogóle nie miałem pojęcia. Michał K. powiedział mi, że obciążył „Ojca” za obietnicę wypuszczenia z aresztu. Rozmawialiśmy jeszcze o tym, że byłem bity po zatrzymaniu w lipcu 2005 roku. Na komendzie chcieli, abym się przyznał do uprowadzenia Eweliny B. Nie potwierdziłem, natomiast wycofałem zawiadomienie o maltretowaniu, bo się dogadałem z policją. Michał K. z obecnym tu na sali policjantem S., spotkali się ze mną w parku. Namawiali, aby zeznał, że Grzegorz K. zwierzył mi się o porwaniu tej dziewczyny. Policjanci mieli mu podrzucić włosy tej ofiary, miał je przynieść do domu na butach. Za przysługę obiecali mi 100 tys. dolarów i wypuszczenie z więzienia brata Krzysztofa. Odmówiłem.

22 grudnia Robert B. kupił Super Express, gdzie był artykuł pt. „Poszukiwani za obcinanie palców” i zdjęcia wszystkich oskarżonych.

- Po zatrzymaniu mnie, żaden z zarzutów nie wiązał się z obcinaniem palców - twierdził Robert B. - Na skutek oszczerzej publikacji w gazecie musiałem przefarbować włosy, żeby nie wytykano mnie palcami. Znałem dom w Głębozycach, w którym rzekomo był przetrzymywany Włodzimierz W. Michał K. urządzał tam imprezy, w tajemnicy przed zazdrosną żoną. Raz pomogłem mu skosić trawę.

Grzegorz K. też stwierdził przed sądem, że jest ofiarą zemsty policjantów, gdyż prowadził radarowy nasłuch ich akcji. Jeśli drogowcy byli wzywani na miejsce wypadku, on informował o tym właścicielei lawet, którzy mu za to płacili. - W Ząbkach - chwalił się Grzegorz K. - tylko ja miałem taki radar. Bardzo często dowiadywałem się w ten sposób o różnych przestępstwach. Często

ostrzegałem śledzonych; dzięki mnie mogli zniknąć. Pół miasta korzystało z moich informacji, brałem za to pieniądze.

Czuł się bezpiecznie, na terenie swojej posesji, miał kamery ukryte w budkach lęgowych. „Policja odkryła je po miesiącu szukania. Dostali wtedy piany”.

Oskarżony Artur K. ksywa Baron złożył przed sądem wyjaśnienie, że w chwili zatrzymania miał propozycje od policjanta M. i prokuratora, aby został świadkiem koronnym i obciążył Grzegorza K. „Ojca” oraz Wojciecha S. pseudo Wojtas, jako sprawców 30 porwań.

- Nigdy nie popełniłem zarzucanych mi przestępstw - twierdził - nie byłem zainteresowany tą propozycją. Kilka miesięcy później ponowili ją strasząc, że w przeciwnym razie nie wyjdę z mamra wcześniej, niż po 15 latach. Moja mała córka będzie już wtedy dorosła. Po raz trzeci dostałem od prokuratora ofertę statusu koronnego w kwietniu 2006. Chciał, abym potwierdził akt oskarżenia Grzegorza K. W zamian za to miał załatwić pełną absorpcję wydanych na mnie wyroków.

\*\*\*

Kolejny dzień procesu. Pierwszy zeznaje uwolniony po zapłaceniu okupu Włodzimierz W.

- Nie wiem, komu żona przekazała pieniądze. Policja zasugerowała mi miejsce, gdzie mnie przetrzymywano. Ze swoich źródeł wiem, że kto inny mnie porwał, nie ci z ławy oskarżonych. Grzegorza K. znam kilkanaście lat. Za Peerelu wymienialiśmy walutę w Warszawie na ulicy Grochowskiej. 15 lat temu byłem oskarżony z „Barabaszem” z mafii pruszkowskiej.

Porwany i wypuszczony po kilkunastu dniach Wojciech D., z traumą w głosie opisuje przed sądem warunki, w jakich go przetrzymywano. Na początek dostał w twarz „z liścia”. Zakleili mu oczy. Do kaloryfera był przykuty za rękę. Cały czas leżał na wyrku w tym samym ubraniu, mimo zimy do przykrycia miał cienki kocyk. Kiedy usiłował



przewrócić się na bok, naprężony łańcuch ranił mu plecy. Nie zna żadnego z oskarżonych.

Brat pokrzywdzonego Wojciecha D. ocenia porwanie swego brata jako „dziwne, bo nie uprowadza się drobnego prywaciarza i żąda miliona złotych okupu”. Dostał SMS, żeby zbierał kasę 250 tys. euro. Potem kidnaperzy schodzili z ceny. Na koniec, gdy powiedział, że ma 100 tys. złotych, kontakt się urwał, a następnego dnia wypuścili brata. Nie dał żadnych pieniędzy.

W SMS-ach od porywaczy pojawił się wątek nielegalnej produkcji papierosów. To by świadczyło, że źle namierzono ofiarę, brat Wojciecha D. nie miał nielegalnej wytwórni papierosów, prowadził w Piasecznie sklep spożywczy.

Nie tylko w zeznaniach oskarżonych, również świadków, powtarzają się informacje, że prowadzący dochodzenie usiłowali różnymi metodami wpływać na treść protokołów z przesłuchań.

Świadek Robert R. znajomy ojca porwanej Eweliny B., kiedy dowiedział się o aresztowaniu Grzegorza K. zapytał policjanta, co złego zrobił ten sołtys. Usłyszał, że zajmował się uprowadzeniem dla okupu.

- Wtedy powiedziałem, że mam kolegę w branży, któremu porwano córkę Ewelinę. - Trafiłeś w dziesiątkę - skomentował to funkcjonariusz. Krzysztof B. słysząc, że wezwany do złożenia zeznań policjant Bartosz L. nie pamięta, czy po przesłuchaniach zawieziono oskarżonego do szpitala celem udzielenia pomocy lekarskiej, zerwał się z ławy z krzykiem: - A jak żeście mnie k... bili., też nie pamiętasz? I jak skutego wieszaliście na kłamce od kasy pancernej, żebym się przyznał do wmówionego mi przestępstwa?

Po czym oskarżony z płaczem prosi sąd o wyprowadzenie go do tzw. sieczkarni, gdzie konwój umieszcza więźniów oczekujących na rozprawę.

Oskarżeni Andrzej K. i Artur K. pseudo Baron podają nazwiska policjantów, którzy w czasie przesłuchania kopali ich po genitaliach, zakładali worki na głowy i porażali paralizatorem.

Pod koniec grudnia 2007 roku sąd uchyla oskarżonym areszt. (Pozostają za kratami, gdyż toczy się przeciwko nim inne postępowanie) O tej decyzji jest głośno nawet w Sejmie.

- Wraca czas bezkarności przestępców - mówi prezes PiS Jarosław Kaczyński. - Mamy tutaj do czynienia z czymś, co powinno być konkretnie zbadane, mam na myśli rolę pani sędzi Piwnik. Przypominam, że ona była też ministrem sprawiedliwości i to wszystko chyba składa się w jakąś całość.

Sędzia replikuje w wywiadzie telewizyjnym: akt oskarżenia nie obejmował zabójstw ani uszkodzeń ciała. Jarosław Kaczyński został zapewne celowo wprowadzony w błąd.

\*\*\*

17 sierpnia 2016 roku, niespełna 10 lat po wniesieniu do sądu aktu oskarżenia, w Sądzie Okręgowym Warszawa Praga zapada wyrok. Spośród 10 oskarżonych dwóch zostało skazanych na 3 i 2 lata więzienia, ośmiu (wśród nich Grzegorza K. ksywa Ojciec, uważanego za szefa gangu) uniewinniono.

Sędzia Barbara Piwnik ponad 5 godzin uzasadnia wydanie takiego wyroku. Oto argumenty trzyosobowego składu sędziowskiego:

Media i policja niesłusznie nazwały tę sprawę procesem „gangu obcinaczy palców”; żaden z podsądnych nie miał takiego zarzutu. Postępowanie w SO Warszawa Praga było jednym z kilku wyłączonych z obszernego śledztwa w sprawie porwań w stolicy. Trwało od 2006 r., bo sąd sam szukał dowodów.

- Organa prowadzące śledztwo mają obowiązek stosować zasady bezstronności, prawdy materialnej i domniemania niewinności - przypomina sędzia twierdząc, że „w tej sprawie tak nie było”.

Sędzia długo wylicza błędy w śledztwie, które spowodowały konieczność uniewinnień, choć oskarżeni mają kryminalną kartotekę. Ale w postępowaniu przygotowawczym nie udokumentowano wielu czynności, np. nie nagrywano rozmów telefonicznych kidnaperów z rodzinami porwanych, nie udokumentowano przekazywania okupu.

Nieprawidłowo odbywały się tzw. okazania porywaczy ofiarom. Jeden z nich, który po „dynamicznym zatrzymaniu” przez policję miał m.in. złamany nos, został rozpoznany, choć miał całą twarz w plastrach. Niektórzy oskarżeni zgłaszali, że policjanci bili ich i podtapiali. O pobiciu jednego z aresztantów zawiadomił prokuraturę lekarz więzienny.

- Zeznania złożone przy braku swobody wypowiedzi nie mogą być dowodem dla sądu - podkreśla sędzia. A poza tym, przyznanie się podejrzanego do winy nie jest koroną dowodów.

Sąd nie uzyskał informacji, jaką wiedzę operacyjną miała policja w sprawie niewyjaśnionych innych porwań, m.in. uprowadzonej w 2005 r. z centrum Warszawy Eweliny B. W przekonaniu sądu ta wiedza była podstawą typowania podejrzanych.

Podczas procesu wyszło na jaw, że jeden z policjantów, przechodząc do CBA, wyniósł z komendy policji dowody w sprawie porwanej studentki, m.in. jej włosy. Śledztwo w jego sprawie umorzono, ale przy pomocy tych dowodów usiłowano skłonić podejrzanych do obciążających zeznań.

Jeden z porwanych (Włodzimierz W.) nie chciał po uwolnieniu składać zeznań, choć miał taki obowiązek. W sądzie tłumaczył swą odmowę tym, że w jego uprowadzenie zaangażowani mieli być sami policjanci. - On mógł mieć interes, by tak mówić - podsumowuje sędzia. - Przestępcy, którzy współpracowali z policją i obciążali dawnych kompanów mówili, że „jest to dla nich interes życia”, bo np. zamiast 15 lat więzienia, dostawali rok. Nie można bezkrytycznie uznawać wszystkiego, co tacy świadkowie zeznali - Barbara Piwnik

krytykuje postawę prokuratora, który wnosząc o skazanie oskarżonych, użył argumentu: „Możliwe, że tak było”. - Ustalenia w procesie karnym nie mogą się odbywać na zasadzie gdybania - oświadcza.

Prokurator złożył apelację od wyroku. Sąd drugiej instancji nakazał ponownie przeprowadzenie procesu z innym składem sędziowskim.

\*\*\*

W 2008 roku w wyniku innego śledztwa w sprawie porwań w Warszawie, policja ujęła Wojciecha S., Marcina S. i Artura N. z gangu, który również nazwano „obcinaczami palców”. Miał on uprowadzić 20 osób. Rodziny ofiar zapłaciły kidnaperom w sumie 7 mln zł. Troje uprowadzonych prawdopodobnie nie przeżyło. Ich krewni otrzymali ucięte palce porwanych.

W 2016 roku, wkrótce potem gdy zapadły wyroki dla kidnaperów sądzonych w SO Warszawa Praga, zaczął się proces kolejnych „obcinaczy palców” w specjalnie zabezpieczonej na sądenie mafii sali Sądu Okręgowego w Warszawie przy ulicy Kocjana. Oskarżeni, po wprowadzeniu na salę rozpraw przez zamaskowanych antyterrorystów, zostali oddzieleni od publiczności pancerną szybą. Szczególnie pilnowany był Wojciech S. pseudo Wojtas vel Kierownik, w przekonaniu prokuratora dowodzący porwaniami. Ci z obserwatorów, którzy byli na rozprawach prowadzonych przez sędzię Barbarę Piwnik dostrzegli wśród 13 oskarżonych znajome twarze: Grzegorza K. „Ojca” i Sebastiana L. „Żabę”

Na pierwszej rozprawie prokurator wyliczył ofiary uprowadzeń w latach 2004-2005.

Między innymi taki los spotkał przedsiębiorcę Stanisława G. Kiedy szedł do swojego samochodu na parkingu, podbiegli do niego członkowie gangu przebrani w policyjne mundury i przedstawiając się jako funkcjonariusze CBS, wciągnęli go do swego wozu. Godzinę później Stanisław G. znalazł się w opuszczonej ruderze pod

Warszawą. Gangsterzy rozebrali go do naga i nagrali wideo, w którym błaga córkę o jak najszybsze zebranie pieniędzy na okup. Pertraktacje trwały 4 tygodnie, w tym czasie był bity i oblewany wrzątkiem. Ostatecznie gang zgodził się na 250 tys. euro okupu. Aby zebrać takie pieniądze, Stanisław G. za pomocą pośredników sprzedał swoje udziały w akcjach dużej firmy ubezpieczeniowej. Po odzyskaniu wolności wyjechał z Polski.

Inne uprowadzenie zdarzyło się w nocy 31 stycznia 2004 r. Do Łukasza K. syna producenta kostki brukowej podeszło czterech nieznanych mu mężczyzn. Zaatakowali go ciosami w brzuch. Pobity chłopak został przewieziony w odludne miejsce i przywiązany łańcuchem do łóżka. Porywacze początkowo chcieli 500 tys. euro, ostatecznie zgodzili się na około 400 tys. zł. Łukasz K. szczęśliwie wrócił do domu.

Kolejny porwany to Mariusz M. 20-letni syn właściciela kilku nieruchomości. Jechał samochodem z kolegą. Oskarżeni zatrzymali go metodą „na policjanta”. Obcięli Mariuszowi palec sekatorem i podrzucili jego rodzicom, żądając miliona zł. Rodzina zdołała zebrać jedynie 200 tys. zł., pertraktacje z kidnaperami się urwały. Ciało Mariusza M. zostało znalezione przez przypadkowego przechodnia w lesie. Młody mężczyzna zginął od ciosu siekierą w głowę.

Głośnymi medialnie ofiarami był Harish H., obywatel Indii mieszkający w Polsce oraz studentka Ewelina B. Ich ciała nie odnaleziono do dziś.

- Taka jest waga działalności mokotowskiej grupy - stwierdził prokurator po przedstawieniu w sądzie aktu oskarżenia.

Zdaniem przedstawiciela organów ścigania, Wojciech S. ps. Wojtas, uważany za szefa komanda śmierci gangu mokotowskiego oraz jednego z bossów tzw. obcinaczy palców, był jednym z inicjatorów stworzenia bandy, porywającej ludzi dla okupu. Pod koniec 2002 r.

miał wejść w komitwę z Grzegorzem K. ps. Ojciec. Razem stworzyli gang nazwany „obcinaczami palców”.

12 września br. w Sądzie Okręgowym w Warszawie dobiegł końca proces właściwych „obcinaczy palców”. Nadszedł czas na mowę prokuratora.

Oskarżyciel publiczny ubolewał, że dopiero w ostatnich latach członkowie mokotowskiej grupy zaczęli współpracować z prokuraturą. Na początku nikt nie przyznawał się do przestępstw. Niektórzy, jak Michał K. autor listu do „Ojca”, złożenie obciążających porywaczy zeznań zapłacili własnym życiem. Prokurator domagał się surowych kar dla członków gangu.

Sąd skazał na dożywocie Wojciecha S., Krzysztofa P i Tomasza R. Marcin N. otrzymał karę 25 lat pozbawienia wolności, Artur N., Grzegorz K., Sebastian L. i Tomasz R. odsiedzą w więzieniu po 15 lat. Krzysztof M. wyjdzie na wolność wcześniej, po dwunastu lat za kratami.

Wśród kilkunastu skazanych tylko Grzegorz K. i Sebastian L. byli na prokuratorskiej liście oskarżonych w procesie prowadzonym przez sędziego Piwnik.

\*\*\*

Mniej więcej w tym samym czasie zapadł wyrok w ponownym, decyzją Sądu Apelacyjnego procesie kidnaperów, uniewinnionych w 2016 roku w Sądzie Okręgowym Warszawa Praga. Tym razem kary są surowsze.

Grzegorz K. „Ojciec”, który w innym procesie został prawomocnie skazany za podżeganie do pozbawienia życia obciążających go świadków, otrzymał łączny wyrok 10 lat, Artur K. „Baron” 2, 6 roku, Krzysztof B. - 7 lat, 6 miesięcy, Robert B. - 8 lat, 6 miesięcy, Andrzej K. - 2,6 miesięcy, Sebastian L. (Żaba) 7 lat, Oskar Z. 4 lata, Tomasz D. („Dacz”) 8 lat.

- Sąd oparł swe ustalenia - tłumaczyła w uzasadnieniu sędzia Eliza Roguszcza-Wilczyńska - na informacjach skruszonych przestępców Michała K., Andrzeja K., i Artura K. Początkowo nie przyznawali się do przestępstwa, potem obciążyli współoskarżonych. Artur K. pseudo Baron nie ukrywał, że chciał poprawić swoją sytuację procesową.

Wyjaśnienia Michała K. zostały złożone tylko w śledztwie. Przesłuchanie w sądzie nie było możliwe, gdyż oskarżony zaginął.

K. miał zawiadomić listownie Grzegorza K., że policjanci podsunęli mu scenariusz, który potwierdził w swych wyjaśnieniach. Jednakże, jak wynikało z analizy akt sprawy, policjanci nie mogli mieć wiedzy, którą Michał K. obciążył oskarżonych.

Linia obrony opierała się na zarzutach, że zebrany materiał dowodowy został zmanipulowany, aby niezasadnie obciążyć niektóre osoby.

- Z analizy zeznań policji i zebranych dowodów to nie wynika - stwierdziła sędzia. - Nie można jednak zaprzeczyć, że na etapie śledztwa popełniono wiele błędów, m.in. w kwestii badania, czy przechowywania dowodów.

Sąd nie uwzględnił wyjaśnień Krzysztofa B., że policja biciem wymusiła na nim przyznanie się do kidnaperstwa. Postępowanie w tej sprawie, prowadzone przez Komendę Główną Policji zostało umorzone. Na odrzucenie skargi oskarżonego wpłynął też fakt, że Krzysztof B. nie bał się swego, jak twierdził, oprawcy i w wulgarny sposób wymyślał mu przez telefon.

W trakcie procesu nie udało się wyjaśnić, dlaczego pokrzywdzony Włodzimierz W. nie chciał wiedzieć, kim są sprawcy jego uprowadzenia. Podczas pierwszego procesu w Sądzie Okręgowym Warszawa Praga, tłumaczył swą odmowę tym, że w jego uprowadzenie mieli być zaangażowani sami policjanci. Na drugim procesie w tej samej sprawie, pokrzywdzony twierdził, iż wie ze swoich źródeł, że to nie oskarżeni go porwali, ale inna grupa. Ale nie podał żadnych okoliczności i uchylił się od składania zeznań.

W ocenie sądu, pokrzywdzony, oprócz niechęci do współpracy z organami ścigania po prostu nie chciał ujawnić wstydlivych jego zdaniem okoliczności uwięzienia.

Nie potwierdziły się niektóre zarzuty z aktu oskarżenia Grzegorza K. ksywa Ojciec. Zdaniem prokuratora były sołtys kierował zorganizowaną grupą przestępczą, mającą na celu przetrzymywanie zakładników w warunkach szczególnego udręczenia. W ocenie sądu nie można było ponad wszelkie wątpliwości ustalić, że to „Ojciec” założył bandę do porywania ludzi. Osoby, które wchodziły w skład sądzonej grupy przestępczej należały do innych mafii, np. mokotowskiej czy ursynowskiej. To wynika z wyjaśnień tzw. skruszonych przestępców.

\*\*\*

Wlokący się od 2006 roku proces „obcinaczy palców” przeszedł do historii polskiego sądownictwa. Analiza akt prokuratorskich i sądowych w tej sprawie, obnażyła sprzeniewierzenie się prawu i etyce zawodowej funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości.

Po latach wyraźnie widać, że determinacja składu orzekającego w 2016 roku miała dalekosiężne skutki. Wymuszone wznowienie postępowania przygotowawczego umożliwiło skazanie winnych zgodnie z prawem. Publiczność obecna na rozprawach dowiedziała się, że w sądzie uniewinnia się nie tylko osoby o czystych rękach. Trzeba również uniewinnić, gdy są wątpliwości, co do materiału dowodowego.

Oskarżeni posadzeni w ławie praskiego sądu mieli na sumieniu różne przestępstwa. Ale w praworządnym państwie zarzut karny musi być na sali sądowej udowodniony. Prokuratorowi odczytującemu akt oskarżenia nie wolno dywagować, zaczynając od słów: „Możliwe, że”.

Ofiarami porwań były nie tylko osoby uprowadzone, również ich najbliższe rodziny, które często za cenę wielkich wyrzeczeń



zdobywały pieniądze na okup, zadłużając się do końca życia.

## Dziecko na śmietniku

**- Gdzie wtedy byliście?! - grzmieli politycy i dziennikarze na wiadomość o zakatowaniu na śmierć 8 letniego Kamila z Częstochowy. Pytanie adresowane było do prokuratury, sądu rodzinnego, opieki społecznej, szkoły.**

Nadeszła odpowiedź. Rodziną zajmował się MOPS w Olkuszu (poprzednim miejscu zamieszkania Kamila), który trzy razy powiadamiał sąd rodzinny o zaniedbaniach wychowawczych. Wdrożono postępowanie o odseperowanie dzieci od ich opiekunów, ale wszystko odbywało się w tak ślimaczym tempie, że rodzina zdążyła przeprowadzić się do Częstochowy.

Z wywiadu środowiskowego sporządzonego przez policję olkuską nie wynikało, że wśród najbliższych Kamila dochodziło do przemocy. Jego rodzinę określano jako „niewydolną wychowawczo”.

Dyrektor MOPS w Częstochowie po uzyskaniu ze szkoły chłopca informacji, że dzieje się coś złego w otoczeniu Kamila, usiłował wyjaśnić sytuację. Kiedy chłopiec z złamaną ręką, pękniętą kością udową, krwakiem na głowie i rozległymi oparzeniami, od kilku dni leżał w łóżku (na oczach gromadydomowników: w dwóch przechodnich pokojach z kuchnią mieszkało jedenaście osób), jego matka została wezwana do szkoły. Na pytanie, dlaczego uczeń jest nieobecny, skłamała mówiąc, że oblał się gorącą herbatą.

Pogotowie wezwał biologiczny ojciec ośmiolatka, który przyszedł odwiedzić syna. Przerażony stanem dziecka, zawiadomił też policję.

\*\*\*

Pytanie: Gdzie wtedy byliście?! jest ważne, może nawet ważniejsze od wyroku dla bestalskiego zabójcy, bo dramatyczna historia torturowanego dziecka nie jest odosobniona. Czas ogłosić alarm.

Oto przykłady: W grudniu 2019 roku w podwarszawskim Chotomowie asystent Ośrodka Opieki Społecznej odwiedził rodziców dwumiesięcznego Kamila. Wcześniej do takiej kontroli podopiecznych Ośrodka dochodziło po uprzednim uzgodnieniu terminu. Urzędnik niezmiennie pisał w raporcie, że konkubencka para, na której ciążyła opinia, że jest patologiczna, dobrze wywiązuje się z opieki nad niemowlakiem.

Asystent stwierdzał porządek w mieszkaniu i czyste ubranka na dziecku. Po czym pisał w raporcie, że podopieczni w pełni zasługują na zapomogę.

Ale tego grudniowego popołudnia wysłannik OPS przyszedł bez zapowiedzi. Nie dowierzając własnym oczom, sfotografował bałagan, zabrudzony pampers u dziecka, leżącego we własnych wymiocinach, świerzb na jego skórze i, co było najbardziej niepokojące, zasinienia na główce. Rodzice dziecka nie reagowali na płacz synka.

Asystent wezwał pogotowie. W szpitalu stwierdzono u małego pacjenta pęknięcie żeber, liczne złamania kości czaszki i miednicy, ogniska zapalne w mózgu. Lekarze zawiadomili prokuraturę.

Podczas pierwszego przesłuchania matka Kamila broniła swego konkubenta Daniela G. Twierdziła, że raz się zdarzyło - chłopczyk upadł buzią na podłogę, kiedy ojciec go przewijał. Za drugim razem dziecko wysliznęło mu się z rąk, gdy chciał się podnieść z fotela. Ona wtedy była w Biedronce.

Daniel G. podtrzymał tę wersję. Ale biegli z zakresu medycyny, zauważyli, że dwumiesięczne niemowlę nie ma jeszcze tyle siły, aby bez czyjejs pomocy przekręcić się na przewijaku. Musiało być rzucone na podłogę i to z dużą siłą.

Kobieta przesłuchiwana ponownie przyznała, że jej partner znęcał się nad dzieckiem. Kiedyś podszedł do łóżeczka, złapał za ubranko i jakby to była piłka, cisnął niemowlakiem w stronę kuchni. Kamil spadł z dużej wysokości koło zlewozmywaka. Nie szukała pomocy u pediatry, gdyż bała się, że odbiorą jej zapomogę, oraz 500 plus.

Danielowi G. zarzucono traktowanie dwumiesięcznego syna ze szczególnym okrucieństwem i dwukrotne usiłowanie pozbawienia go życia. Matka chłopczyka została oskarżona o narażenie zdrowia Kamila, gdyż nie powiadomiła odpowiednich służb i nie zrobiła nic, aby zapobiec bestialstwu ojca dziecka.

Kamil szczęśliwie przeżył i wzięła go rodzina zastępcza. Kiedy oskarżeni stanęli przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga, byli już pozbawieni praw rodzicielskich. Ich związek się rozpadł. Podczas procesu wzajemnie się oskarżali o okrucieństwo wobec swego dziecka.

Mężczyzna został skazany nieprawomocnie na 15 lat pozbawienia wolności. Jego partnerka otrzymała wyrok - rok więzienia w zawieszeniu. Nigdy już nie zobaczą swego syna, nie będą znali jego losów.

\*\*\*

Oprawcami swoich dzieci są nie tylko ojcowie, również matki. Do szpitala dziecięcego w Olsztynie trafiła w ciężkim stanie 3-letnia dziewczynka z Orzysza. Zagrożający jej życiu krwiak mózgu powstał na skutek częstego bicia. W dochodzeniu prokuratorskim okazało się, że ze szczególnym okrucieństwem znęcała się nad nią matka.

Rodzina miała nadzór kuratora sądowego, wizytował ją asystent Ośrodka Pomocy Rodzinie. Nikt z tych instytucji nie zgłaszał, że dzieje się coś okrutnego. A były podstawy do niepokoju - dwa lata wcześniej matka została skazana (w innym mieście) za psychiczne znęcanie się nad swymi dziećmi. Ma ich sześcioro, troje mieszka z biologicznym ojcem.

Nie wywiązywał się ze swych obowiązków Gminny Ośrodek Pomocy Społecznejw Nozdrzcu na Podkarpaciu. Jedną z podopiecznych była mieszkająca w małej wiosce rodzina Joanny Z. Jesienią 2018 roku najstarszy z dziesięciorga rodzeństwa uciekł z domu. Boso, bez

wierzchniego ubrania. Został odnaleziony po dwóch dobach ukrywania się w lesie.

Kiedy policja zawiozła go do rodziców, czujna funkcjonariuszka nabrała podejrzeń, że kilkuletnia siostra uciekiniera mogła być gwałcona przez swego ojca Krzysztofa S.

Doszły nowe fakty i mężczyzna został aresztowany. W trakcie postępowania przygotowawczego wyszło na jaw, że wykorzystywał seksualnie trzy kilkuletnie córki. Krzysztof S. został ostatecznie skazany na dziewięć lat więzienia. Otrzymał też pięcioletni zakaz kontaktowania się ze swoimi dziećmi i zbliżania się do nich na odległość mniejszą niż 50 metrów.

Rok więzienia w zawieszeniu na pięć lat - tak brzmiał wyrok dla Joanny Z., która dobrowolnie poddała się karze. Oboje zostali pozbawieni praw rodzicielskich. Dzieci trafiły do domu pomocy społecznej.

Po skazaniu seksualnego dewianta, powołany przez wojewodę zespół ocenił pracę Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej w Nozdrzcu. Stwierdzono, że od dłuższego czasu „działania zaradcze asystenta tej placówki nie były adekwatne do sytuacji”. Nikt nie poniósł konsekwencji, mimo wniosków kontrolerów. Ten sam pracownik nadal przyjeżdżał do domu uciekiniera, placówką pomocy społecznej dalej kierowała osoba, która przed kamerą telewizyjną twierdziła, że nie ma sobie nic do zarzucenia, bo dzieciom „na swój sposób” dobrze żyło się w tym domu. Również wójt gminy Nozdrzec ocenił pracę Ośrodka na „bardzo dobrze”.

\*\*\*

Opinia publiczna domaga się surowszych kar dla dzieciobójczyń. Sądy powszechne zbyt często tłumaczą zabijanie noworodków przez kobiety szokiem poporodowym.

Zdarza się i taka reakcja organizmu, ale w siedzibie Temidy często podchodzi się do dzieciobójstwa na skróty. W przekonaniu

obserwatorów procesu warszawskiej pielęgniarki Marii B., która po urodzeniu na nocnym dyżurze w szpitalu natychmiast zabiła swoje dziecko, wyrok był zbyt łagodny. Kobieta zaplanowała zabójstwo, przygotowała się do niego i po urodzeniu zachowała pełną świadomość tego, co zrobiła. - Ścisnęłam mocno za gardziółko i pottrzymałam - zeznała podczas przesłuchania - a po zejściu z dyżuru wyrzuciłam zwłoki do śmietnika.

Koleżanki z pracy podejrzewały, że Maria B., która ukrywała przed nimi ciążę, urodziła dziecko w łazienkowym brodziku. Poinformowały o tym oddziałową. - Lepiej będzie dla nas wszystkich, jeśli potraktujemy sprawę za zamkniętą - odpowiedziała szefowa, zalecając dyskrecję.

Osoba, która następnego dnia telefonowała na komendę policji, prosiła o anonimowość. - Czuję się w obowiązku poinformować o swych podejrzeniach - powiedziała. - Jedna z pielęgniarek, z którą moja córka pracuje w szpitalu, urodziła na dyżurze i natychmiast zabiła swoje dziecko.

Przesłuchano Marię B. - Co za bzdurne podejrzenia! - zachnęła się. Śledczy wezwali na komendę męża pani B. z zawodu chirurga, pracującego w tym samym szpitalu, co żona.

- Nic nie wiem o jakiejś ciąży! - pan doktor zdenerwował się od progu. - Żona z natury jest tęga, ostatnio nie przyglądałem się jej bliżej.

Miesiąc po złożeniu pierwszych zeznań, podejrzana zgłosiła prokuratorowi, że chce z nim rozmawiać. - Powiem prawdę, bo jestem wierzącą, codziennie chodzę do kościoła i całuję nogi Chrystusa - oświadczyła od progu. - Byłam w ciąży. Dziecko urodziło się martwe, w szpitalnej toalecie, gdzie poszłam za potrzebą. Już od kilku dni nie czułam ruchów.

- Co się stało ze zwłokami noworodka?

- Wyrzuciłam je do śmietnika.

Następnego dnia B. odwołała swe wyjaśnienia jako kłamliwe. Podała kolejną wersję wydarzeń, tym razem, jak zapewniała, najprawdziwszą prawdę. Tak, urodziła w brodziku, na stojąco. Dziecko wypadło główką, uderzyło o metalową ściankę. Ścisnęła jego szyjkę, aby nie krzyknęło. Kiedy zrobiło się sine, włożyła do plastikowego czerwonego worka, używanego na odpady po operacjach.

W rozmowie z psychologiem biegłym sądowym Maria B. przedstawiła się jako ofiara przemocy psychicznej w jej związku małżeńskim. Nie była to prawda.

Prokurator wnosząc o uznanie winy oskarżonej zakwalifikował przestępstwo z art. 149 kk. Stanowi on, że matka, która zabija dziecko w okresie porodu pod wpływem jego przebiegu podlega karze pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5. Oskarżyciel przyznał, że nie dało się wyjaśnić motywów dzieciobójczyny - na pewno nie był to szok poporodowy. Domagał się 3 lat bezwzględnego więzienia.

Sąd skazał Marię B. na dwa lata więzienia w zawieszeniu.

\*\*\*

Odczytana w sądzie przez prokuratora długa lista tortur dwóch chłopców: sześciolatniego i ośmiolatniego zadanych im przez Marka K. z Drawska Pomorskiego konkubenta matki, jest przerażająca. Zwichnięty kręgosłup, połamane żebra i kości, złamany nos, stłuczone serce i płuca, krwiaki na głowie i wstrząs pourazowy. Marek K. kopał i bił dzieci, rzucał nimi o meble. Znieважаł, kazał klęczeć nocą z rękami w górze, siedzieć w wannie z zimną wodą, jeść ostre przyprawy i surowe mięso, zlizywać jogurt z podłogi, biegać nocą po polu. Potem okazało się, że był też gwałcicielem chłopców.

Chłopcy mieszkali z matką i Markiem K. w hostelu dla ofiar przemocy domowej. Miała to być ochrona przed ojcem sadystą, ale kobieta sama wpuściła go potajemnie do zajmowanego pokoju.

Sąd Okręgowy w Koszalinie najpierw skazał Marka K na 25 lat, a po apelacji prokuratora zapadł wyrok dożywocia. Matka chłopców została prawomocnie skazana na 14 lat pozbawienia wolności.

W ponownym procesie w Sądzie Apelacyjnym uzyskał Marek K obniżenie wymiaru kary na 25 lat więzienia.

Z powodu braku nadzoru chłopców z tej patologicznej rodziny stanęły przed sądem dwie kuratorki i pracownica socjalna z Ośrodka Wspierania Dziecka i Rodziny w Drawsku Pomorskim.

Sąd Okręgowy je uniewinnił.

\*\*\*

Już te przykłady wskazują na porażkę systemu opieki nad dziećmi z patologicznych rodzin. Nie ma łańcucha powiązanych ze sobą działań. Anatomia poszczególnych tragedii ujawnia wiele niekompetencji. Od szkoły po sądy rodzinne, gdzie często kierowani się sędziowie, którzy w innych wydziałach się nie sprawdzili.

Praktycznie nie istnieje system ścisłej współpracy takich urzędów i instytucji reprezentowanych przez sędziego, kuratora, dzielnicowego, pracownika opieki społecznej, pedagoga szkolnego.

Minister Ziobro wydał polecenie, by doszło do niezwłocznej zmiany kwalifikacji prawnej czynu zarzucanego sprawcy śmierci ośmioletniego Kamila. - Do tej pory sady stał pod zarzutem usiłowania zabójstwa i znęcania ze szczególnym okrucieństwem - powiedział prokurator generalny podczas konferencji prasowej w Katowicach. - Teraz ten zarzut będzie zmieniony na zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Prokuratura prowadzi postępowanie wielowątkowo, bada nie tylko zachowanie samego sprawcy, (...) również matki chłopca i wszystkich, którzy nie zareagowali w sposób, w jaki być może powinni zareagować”.

W przekonaniu prokuratora generalnego nadszedł czas na wprowadzenie zaostreń do kodeksu karnego. Przede wszystkim



chodzi o możliwość ukarania za zabójstwo bezwzględnym dożywociem.

# Rozdział 5. DUŻE DZIECI, DUŻY KŁOPOT

## Jest towar

**Nastolatek pozbawił życia człowieka, sąd odebrał mu młodość. Skazany spędzi w więzieniu więcej lat niż dotąd przeżył.**

- Proszę wstać, będzie ogłoszony wyrok. - mówi sędzia Maciej Gruszczyński. Jest 26 listopada 2022 roku. Sala rozpraw w Sądzie Okręgowym w Warszawie pełna, dla dużej grupy nastolatków brakuje miejsc w ławach dla publiczności. Usiadły tam rodziny oskarżonych i pokrzywdzonego. Ci tłoczący się, to są szkolni koledzy dwóch niepozornie wyglądających chłopców wprowadzonych na salę w kajdankach.

Słowa sędziego o skazaniu Maksymiliana B. na 25 lat więzienia i 300 tys. złotych nawiązki zagłusza rozpaczliwy krzyk. To matka oskarżonego płacząc złorzeczy sądowi, nie można ją uspokoić. Sędzia nakazuje straży wyprowadzenie kobiety na korytarz.

Drugi oskarżony dziś 20 letni Damian K. trafi za kraty na 6 lat i 6 miesięcy.

Można usiąść, sędzia przystępuje do uzasadniania wyroku. Taką mowę, wyczyszczonej z inkrustacji prawnych wygłasza się dla skazanych. Aby zrozumieli, dlaczego będą izolowani.

- To nie był proces skomplikowany prawnie - wyjaśnia sędzia. Nie wzbudziła wątpliwości biegłych poczytalność oskarżonych. Nie trzeba było długo szukać dowodów zbrodni. Oskarżony Damian K. wyjaśnił prokuratorowi, a następnie przed sądem, że jechali do parku

z myślą o dokonaniu rozboju. Maksymilian B. wziął ze sobą nóż. Sąd miał jasny pogląd, która strona w bójce była agresywna.

W czym zatem tkwiła trudność w sprawiedliwym osądzeniu sprawców? Jeden z nich spędzi w więzieniu więcej lat niż dotąd przeżył.

- Sąd musiał wyabstrahować sam czyn od tragicznego skutku - tłumaczy sędzia. - Między oskarżonymi nie było wcześniejszego uzgodnienia, że Maksymilian B. zada ciosy nożem.

- A gdyby nie użył zbrodniczego narzędzia - sędzia odwołał się do wyobraźni słuchających - tylko wyrwał dilerowi narkotyki i uciekł? Nie byłoby sprawy, bo ograbieni nie zgłosiliby się na policję. Sprzedaż środków odurzających jest przecież karalna.

Sędzia był wyraźnie poruszony, gdy przypomniał, że zbliżają się święta Bożego Narodzenia, wigilia: - „Zapewne na stole u matki ofiary będzie raniący jej serce widok pustego talerza. O takich konsekwencjach zbrodni nie da się mówić językiem kodeksowym. Dlatego zwracając się do Maksymiliana B. ujmę to inaczej: przez to, że pozbawił pan życia człowieka, sąd pozbawi pana młodości, najlepszych lat. Musi pan być odizolowany od społeczeństwa, bo pokazał, że jest niebezpieczny, nieprzewidywalny i to może się powtórzyć.”

## **Jedliśmy chipsy**

Akt oskarżenia z grudnia 2020 r. zarzucał 16 letniemu Maksymilianowi B. śmiertelne zranienie 23 letniego Witolda M. trzema ciosami nożem. Natomiast 19 -letni Damian K. odpowiadał z artykułu 280 par. 2 kk: „Jeśli sprawca rozboju posługuje się bronią palną, nożem lub innym podobnie niebezpiecznym przedmiotem (...), podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat trzech.”

Na pierwszym przesłuchaniu w komendzie policji najważniejszy świadek 18-letni Szymon M. usiłował ukryć, że jego kuzyn Witold był

dilerem narkotyków:

- 21 marca wieczorem poszliśmy do pobliskiego parku, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Dochodziła 9 wieczór, o tej porze roku park był pusty, większość lamp pogaszona. Jedliśmy chipsy, gdy Nagle ni stąd ni zowąd z ciemności wysunęło się dwóch nastolatków. Jeden z nich powiedział: „Wyskakujcie ze wszystkiego, dawać hajs.”

Szymon miał tłumaczyć, że nie wzięli ze sobą pieniędzy, to był krótki wypad, Witold mieszka w pobliżu parku. Kiedy jego kuzyn dostał pałką w głowę zrozumiał, że to nie przelewki, trzeba oddawać ciosy w obronie siostrzeńca.

- Poczułem silne uderzenie w nogę. Początkowo myślałem, że dostałem kamieniem i pękła mi kość. W rzeczywistości było to zranienie nożem. Kiedy się podniosłem, zobaczyłem, że ten drugi chłopiec uderza czymś w brzuch Witka. Dźgał go, równocześnie obejmując ramieniem, jakby chciał uściskać. Witek osunął się na ziemię i napastnicy uciekli. Podbiegłem do kuzyna, wyglądał normalnie, pomogłem mu się podnieść. On zrobił trzy kroki i padł twarzą na trawę. Nie ruszał się. Zadzwoiłem na 112. Przyjechało pogotowie. Stwierdzili śmierć kuzyna od ran kłutych nożem. Była za pięć jedenasta. (Świadek płacze).

Kilka dni później śledczy poznali nazwiska napastników. Wprawdzie kamera przy bramie parku na warszawskim Mokotowie okazała się atrapą, ale na policję zgłosił się młody mężczyzna, który przeczytał o morderstwie w Internecie i skojarzył tragedię z widokiem dwóch nastolatków biegnących 21 marca wieczorem przez park do czekającego na nich samochodu. Znał ich z widzenia, wiedział, do jakiej chodzą szkoły, jak się nazywają. Zauważył, że Maksymilian miał zakrwawione ręce.

Rewizja w mieszkaniu denata naprowadziło śledczych na nowy trop. Znalaziono słoiki z różnymi narkotykami. Także plecak z wagą elektryczną do odmierzania „działek”.

Ponownie przesłuchany Szymon przedstawił nową wersję wyprawy z kuzynem do zimowego parku. Prawda miała być taka, że umówili się z klientami na sprzedaż 30 g marihuany i czterech opakowań klonazepamu, w sumie za 1,6 tys. zł. Kuzyn twierdził, że zna ksywę kupującego: wola220. To jego klient. Mimo to chciał się upewnić, że ma on pieniądze. Kilka minut później dostał fotografię ułożonych w wachlarz banknotów. Nie zorientował się, że była ściągnięta z Internetu.

Na odebranie towaru umówili się w parku, o godzinie 21. Witold wybrał miejsce w pobliżu rozświetlającej mroki lampy, klient wolał, aby transakcja odbyła się w ciemnym zaułku. Wygrała druga opcja.

### **Nie wiedzieli, że diler nie żyje.**

- Ja nie wiem, co powiedzieć - zaczyna wyjaśnienia w prokuraturze 19 -letni Damian K.

- Wszystko, co dotyczy sprawy - odpowiada przesłuchujący.

Chłopiec jest chętny do współpracy. Mówi dużo: epidemia koronawirusa rozleniwiła go i choć za kilka miesięcy czekała go matura uznał, że lekcje on line nie są dla niego. W domu zrobiło się nieprzyjemnie. Ucieszył się, kiedy B. zaproponował, aby przyjechał do niego.

Nie mogli wyruszyć na miasto, bo nie mieli pieniędzy. Maks rzucił pomysł, aby „iść na rozbój” i tym sposobem zorganizować „flotę”. Wszystko miał już obmyślane. Umówią się z dilerem narkotyków w ciemnym parku i kiedy wyjmie towar, porwą paczki i zwieją. Ze sprzedażą nie będzie problemu, wystarczy zawiadomić kolegów ze szkoły. Podwiezie ich kumpel Patryk P., on ma bmw od ojca.

- Nie wiedziałem, że to tak się skończy - płacze podejrzany. - Myślałem, że Maks tylko postraszy dilerka i tamten wszystko nam odda, przecież sam jeden na odludziu nie będzie się szarpał z dwoma kolesiami. Tymczasem facet przyszedł do parku z obstawą. Kiedy wyciągnęli towar, Maks krzyknął: dawaj k.. i jednego z nich uderzył.

Oni mu oddali, zrobiło się gorąco. Stałem z boku, mocno wystraszony.

Diler upadł na ziemię, porwali jego towar i uciekali w kierunku samochodu Patryka. Czekali na niego ukryci w krzakach. - Właśnie wtedy Maks powiedział mi, że dźgnął gościa nożem. Kiedy wreszcie Patryk się pojawił i mogliśmy odjechać, Maks położył mi zakrwawiony nóż na kolanie. Zrzuciłem narzędzie na podłogę i tam zostało.

Co robili po podwiezieniu pod blok, w którym Maks mieszkał? Nie spiechali się z wejściem do mieszkania. Damian udał się do nocnego sklepu po fifki. Skręcił blanty (coś na kształt papierosa wypełnionego suszem konopnym, lub innym narkotykiem) i nabili sobie „lufy”.

Nie wiedzieli, że diler nie żyje. Damian dopiero po powrocie do domu odebrał telefon z taką informacją od dziewczyny Maksa. Chciała, aby ustalili wspólną wersję dla policji.

- Całą noc rozmyślałem, jak to się stało - zeznaje przesłuchiwany. - Rano wyłączyłem telefon.

### **To patusy.**

Trwało śledztwo. Patryk P. (nie ma w tej sprawie zarzutów) zeznał, że Maks B. prosząc o podwiezienie do parku szczegółowo wyłożył mu swój plan napaści na dilera.

Kolejny raz przesłuchiwany Szymon M. już nie pamiętał, kto pierwszy zaatakował. Ale nie zaprzeczał, że brał udział w rozboju. On głównie się bronił, używając pałki i kastetu. Potem wyrzucił je do śmietnika.

Przed sądem M. zeznawał pod przysięgą, w obecności biegłego psychologa. Nastolatek długo opowiadał o tragicznym wieczorze. Przyjechał do kuzyna, żeby się pożalić na ojca. Chciał zostać na noc; z racji pandemii lekcje były zawieszane.

W plecaku przywiózł dwa słoiki z narkotykami. Witek handlował „ziołami” a on mu werbował klientów wśród małolatów, wrzucając wiadomość o towarze na fejkowy snap. W pokoju kuzyna palili marihuanę i czekali, aż ktoś się odezwie. Przyszła jedna wiadomość od użytkownika maxwola19. Witold zajrzał do swoich kontaktów. Utwierdził się, że temu klientowi już wcześniej sprzedawał. To było duże zamówienie. Maxwola19 chciał od razu wszystko, co było na wysłanym zdjęciu. Witold napisał do klienta, żeby pokazał, ile ma pieniędzy. Nie ma sprawy - tamten odpowiedział i wysłał fotografie nowiutkich setek ułożonych w kształcie wachlarza.- Hajsu było więcej niż oczekiwaliśmy - zauważył przesłuchiwany. - Witek wziął 4 słoiki klonozepamu i 30 g ziela.

- Trochę się uzbroiliśmy - zeznał 18-letni Szymon - na wszelki wypadek, dla samoobrony. Ja wziąłem 30-centymetrową końcówkę pistoletu do paintballa. Schowałem ją z tyłu spodni. Kuzyn wahał się, czy brać składany nóż. Ostatecznie odłożył go na półkę.

Zapytany, jak wyglądali klienci, świadek używał jednego określenia: - To patusy. Czyli są ubrani w dresy, chodzą bujając się, robią dużo krzyku. Jeden z nich był mocno „spompowany” (Dobrze zbudowany).

W parku było bardzo ciemno, kazali mu wyciągnąć rękę z towarem. Szymon wykonał polecenie. Słoiki z tabletkami położył przy nodze, na trawie.

- Oni byli bardzo blisko, czułem ich oddechy, widziałem zarysy twarzy, choć ukrywali je pod kapturami. Nagle zostałem uderzony w udo. Po chwili dostałem w twarz. Witold próbował mnie bronić, ale ci dwaj unieruchomili go. Z boku wyglądało to tak, jakby jeden go obejmował, a drugi boksował w brzuch.

### **Mam koszmarne sny.**

Maksymilian B. przedstawił sędziom inną wersję zdarzenia. Owszem, dilera o niku konfident420 znał już wcześniej. Na Snapchacie w swoim my story ogłaszał, że ma narkotyki na sprzedaż. Jego klienci mówili, że oszukuje, towaru dawał mniej, niż się należało. Dlatego

chciał sprawdzić, czy nie kupuje kota w worku. Ale tamci od razu zabrali się do bicia.

- Dostałem kastetem w policzek - wyjaśnił oskarżony - ten, który mnie uderzył, miał też pałkę teleskopową. Wyjąłem nóż, żeby się bronić. Była szarpanina, po ciemku niewiele widziałem. Nie wiem, czy Damian brał udział w tej bójce. Myślę, że któregoś trzasnął. W pewnej chwili krzyknąłem do niego: „chodu”. Oni nas gonili. Schowaliśmy się w krzakach koło samochodu Patryka.

16 letniego Maksa B. zdiagnozowali kliniczni psychologowie. W wywiadzie powiedział, że wychowuje go matka. Rodzice rozstali się, gdy miał 11 lat. Jest uczniem pierwszej klasy technikum logistycznego. Mimo młodego wieku zdążył wejść w konflikt z prawem. Był karany za oszustwo metodą na wnuczka. Z tego powodu zamknięto go na 3 miesiące w schronisku. Często palił marihuanę, czasem łączył ją z mefedronem.

Psychologom wyznał, że w trudnych sytuacjach, np., gdy pokłócił się z dziewczyną, sięgał po żyletkę, okaleczał się. Miał lęki, uzbrojony w nóż, czuł się bezpiecznie.

Na kolejnym przesłuchaniu, podejrzany przyznał się do zabójstwa. - Teraz mam koszmarne sny, skarżył się - widzę tego zabitego.

Drugi oskarżony Damian K. przyznał się rozboju, ale bez użycia kastetu. Wierzył koledze, że chce kupić narkotyki. Sam nie był tym zainteresowany. Jest uczniem 3 klasy liceum wojskowego, należy do Związku Strzelców. W takim środowisku z zasady nie wolno brać używek.

- Ja dopiero w samochodzie dowiedziałem się od chłopaków, że jedziemy na rozbój - przekonywał sędziego.

Kiedy już po bójce wyjeżdżali z parku, każdy chciał jak najszybciej znaleźć się w swoim domu. On, kiedy ochłonął, chciał pogadać z Maksem i Patrykiem przez telefon, ale tamci nie odbierali sygnału.



- W nocy przeglądałem informacje na portalu „Warszawa w Pigułce” i dowiedziałem się o ataku nożownika z Mokotowa, który kilka godzin wcześniej zabił w parku młodego mężczyznę.

Oskarżony przerwał, aby porozumieć się ze swoim adwokatem. - Chciałem przeprosić sąd, pokrzywdzonego i wszystkich zebranych – wyznał ze spuszczoną głową - to nie powinno się zdarzyć. To miał być tylko zwykły rozbój, żałuję, że nie zadzwoniłem na pogotowie. Moje życie rozsypało się po tym tragicznym wydarzeniu. Nie mogę normalnie funkcjonować, korzystam z pomocy psychiatry.

\*\*\*

Proces dobiegł końca. Konwojenci wyprowadzili skazanych. Na korytarzu została rodzina i grupa rówieśników obu chłopców. Matka Maksa nadal wykrzykiwała niecenzuralne słowa pod adresem sądu, który zamienił jej życie w piekło skazując jej dziecko na 25 lat tylko dlatego, że zginął diler narkotyków, sprzedawca śmierci. - Dlaczego tak się dzieje?! - kobieta jeszcze bardziej podniosła głos. - Bo sąd został przekupiony! - krzyknął ktoś w tłumie.

## **Bodajbyś cudze dzieci wychowywał**

**Była wychowanka rodzinnego domu dziecka oskarżyła po latach swoich opiekunów o zły dotyk. Wymyśliła to, aby dostać odszkodowanie, czy ujawniła skrywaną prawdę?**

„Mam na imię Justyna. Wychowałam się w rodzinnym domu dziecka w Z. Mam pytanie, czy ktoś w prokuraturze jest zainteresowany sprawą molestowania nieletniej. Jeśli tak, to proszę dzwonić po godzinie 17. Mój numer... - taki e-mail nadszedł pewnego sierpniowego popołudnia 2013 roku do prokuratury w województwie śląskim. W aktach śledczych ten pierwszy dokument opatrzony jest komentarzem dyżurnego funkcjonariusza: „Próba nawiązania kontaktu telefonicznego nie dała rezultatu”.

Próbowano nadal i kilka dni później autorka e-maila potwierdziła w telefonicznej rozmowie, że to ona zawiadomiła o przestępstwie organ ścigania. Wzbraniała się przed bezpośrednim przesłuchaniem tłumacząc, że obecnie mieszka pod Warszawą i w najbliższym czasie nie planuje przyjazdu na południe Polski. Kiedy odmówiła podania swego nazwiska, do rozmowy włączył się jakiś mężczyzna. Poinformował, że jego partnerka jest w silnej traumie, korzysta z pomocy psychologa. On nie może się z tym pogodzić, że sprawca molestowania nieletniej nie poniósł kary.

Kobieta zobowiązała się, że wszystko, co chciałyby powiedzieć prokuratorowi, opíše w liście.

„Dziś mam 24 lata - tak zaczyna się korespondencja - jako sześciolatka trafiłam do rodzinnego domu dziecka prowadzonego przez małżeństwo Z. Mój koszmar zaczął się z chwilą ukończenia 12 lat. Nocami nie spałam, bo przychodził do mnie Zdzisław Z., mąż pani Grażyny, na którą była zarejestrowana ta placówka. Dotykał mnie w miejscach intymnych, zmuszał do brania jego członka do ust. (Tu następuje bardzo drastyczny w szczegółach opis molestowania - red.) Nie chciałam, to bił po twarzy. Groził, że jeśli komukolwiek

powiem, co mi robi, będę ukatrupiona. Ja jednak odważyłam się kiedyś na opowiadzenie o wszystkim pani Grażynie. Odpowiedziała, że wymyślam. Molestowanie trwało do dnia, kiedy wyprowadziłam się stamtąd jako pełnoletnia”.

List kończy post scriptum. Jego autorka wyznaje, że dopiero teraz, dzięki swojemu partnerowi Darkowi zebrała się na odwagę, aby wszystko ujawnić i tym samym uchronić przed molestowaniem kolejne dzieci, które zostały umieszczone w tym domu. - „Jestem otwarta na wywiady w mediach - dodała - przed zawiadomieniem prokuratury poinformowałam o sprawie TVN, ale nie odpowiedzieli.”

E- mail tej samej treści nadszedł do Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie w Ż. Ponieważ autorka podpisała się i można było sprawdzić, że rzeczywiście przez 12 lat mieszkała u państwa Z., w Centrum zdecydowano, aby na czas wyjaśniania sprawy, wychowanków tego rodzinnego domu dziecka (RDD) przenieść do innych ośrodków.

Zaczęło się śledztwo.

\*\*\*

Po przesłuchaniu Justyny i mężczyzny o imieniu Dariusz, który twierdził, że od krzyków przez sen jego dziewczyny, które brzmiały: „Zostaw mnie, zostaw, nie bij” wysiada mu psychika, Zdzisław Z. trafił do aresztu.

Jego żona złożyła obszernie zeznania: RDD prowadzi od 16 lat. Mąż tylko pomaga, formalnie nigdy nie był opiekunem dzieci. Ona nie ma wykształcenia pedagogicznego, ale ukończyła wiele specjalistycznych kursów, a poza tym zawsze może się poradzić córki, magistra pedagogiki specjalnej. „Przydziałowych” dzieci jest siedemnaścioro. Dom opuszczają po uzyskaniu pełnoletności. Do tej pory udawało się załatwić im mieszkania komunalne i urządzić je tak, aby startu w dorosłe życie nie zaczynały bez dachu nad głową.

- Dobrze pamiętam Justynę - zeznała Grażyna Z. - Trafiła do nas z pogotowia opiekuńczego z opinią bardzo zaniedbanej wychowawczo. Wraz z nią zabrano od matki alkoholiczki jeszcze troje dzieci: Zosię, Pawła i Basię - wszystkie znalazły u nas dom. Chyba czuły się tam dobrze, skoro z czasem, z własnej inicjatywy zwracały się do nas per mamę, tato. Justyna nigdy nie mówiła mi o molestowaniu. Śpimy z mężem w jednym łóżku, zauważyłabym, że w nocy opuszcza pokój. Kiedy Justyna jako pełnoletnia szła na swoje, napisała w oświadczeniu, że dobrze ją traktowaliśmy i nie była wykorzystywana seksualnie. Zbieram takie deklaracje od wszystkich rozstających się z nami wychowanków za poradą instruktorów Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, bowiem w innych placówkach zdarzały się drastyczne pomówienia.

Stanowczo zaprzeczył oskarżeniu Zdzisław Z. Żałował, że przygarnęli to rodzeństwo. - Od początku były z nim kłopoty. U Justyny psychiatra stwierdził opóźnienie umysłowe, posłano ją do szkoły specjalnej. Zosia wcześniej była w domu dziecka prowadzonym przez zakonnice, ale nie mogły sobie dać z nią rady, zrezygnowały z opieki. Wtedy dziewczynka trafiła do naszego RDD.

Po kilku dniach obie siostry tak skłóciły wszystkich wychowanków, że Zdzisław Z. postanowił zwrócić się do sądu, aby zabrali podopieczne do innej placówki. Ale jego żona się nie zgodziła. - Społeczne sieroty - powiedziała - to nie worki z kartoflami, które można przetrzącać z miejsca na miejsce. I tak siostry zostały na kilkanaście lat.

- Kiedy Justyna skończyła 18 lat, załatwiliśmy jej mieszkanie z niezbędnym wyposażeniem - zeznawał Zdzisław Z. Niestety, dziewczyna nie uszanowała tego. Opuściła lokal, do którego miała prawo. Ponieważ narobiła długów, ukrywała się przed ścigającymi ją w melinach.

Również Zofia zaprzepaściła z trudem zdobyte dla niej mieszkanie komunalne. Sprzedała je łącznie z meblami. Ta dziewczyna była przyczyną zgryzoty swych opiekunów i pod innym względem. Nie

ukończyła żadnej szkoły, choć wspierali ją wszelkimi sposobami, m.in. zapewniając pomoc psychologa.

Przybrana mama nie zawiodła się natomiast na Barbarze, najmłodszej z tego rodzeństwa. Dziewczyna mieszkała w RDD 12 lat. Kiedy jako pełnoletnia rozstawała się z opiekunami, byli spokojni, że da sobie radę w życiu. Natomiast jej brat Paweł po skończeniu 18 lat nie chciał opuścić RDD. Opiekunowie obiecali utrzymywać go do czasu zrobienia matury. Ale, choć zdarzało się nawet, że odrabiali za niego lekcje, chłopiec bardzo szybko stracił chęć do nauki. Przerwał szkołę, wyprowadził się, dziś nie ma stałego adresu.

\*\*\*

Ponownie przesłuchiwana Justyna nie tylko podtrzymała oskarżenie, ale dodała, że Z. głodził powierzone im dzieci. Np. w wakacje, kiedy nie była czynna szkolna stołówka, w której mieli wykupione obiady, serwowano im chińskie zupki w proszku. Nie można się było tym najeść, zwłaszcza, że wychowankowie musieli ciężko pracować w wiejskiej posiadłości państwa Z. Znosili z lasu grube pnie, bez zabezpieczenia pracowali przy wirujących frezarkach do obróbki drewna, czyścili pobliski potok z kamieni. - „Mama” nie kazała nam mówić o tym inspektorkom z Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie - twierdziła Justyna - bała się tych kontroli, przed wizytą było generalne pucowanie domu, zmienianie pościeli. Tam wiele robiło się na pokaz. Na przykład, nasze rowery na co dzień stały zamknięte w garażu.

Pełnoletnia Zofia najpierw zeznała do protokołu, że jej siostra jest kłamczuchą, molestowanie przez pana Zdzisława to tylko wymysł, ona lubiła przechwalać się swoim rzekomym doświadczeniem w intymnych kontaktach z mężczyznami. Ale dwa tygodnie później oświadczyła, że ją również Zdzisław Z. usiłował dotykać w intymne miejsca. Zdarzyło to się latem, kiedy myła się pod prysznicem w kabinie zamontowanej na dworze. Na szczęście, ktoś ją zawołał, odpowiedziała, gdzie jest i wtedy jej opiekun szybko odszedł. Wieczorem chciał kupić jej milczenie 50-złotowym banknotem, ale

nie wzięła pieniędzy. Kiedy powiedziała mamie, co się zdarzyło pod prysznicem, Bożena Z. jej nie uwierzyła.

- Po tym zdarzeniu obserwowałam „tatę”. Raz widziałam, jak poszedł do pokoju Eli, był tam trzy godziny. Wykorzystał to, że pani Grażyna pojechała do Bielska Białej. Podglądałam przez dziurkę od klucza, widziałam, jak „tata” nalewał Eli do kieliszka wódki.

Zeznania Zofii potwierdził jej partner. - Poznałem ją na dworcu kolejowym, była bez butów, mówiła, że uciekła od jakiegoś chłopaka, a wcześniej mieszkała w rodzinnym domu dziecka. Niestety, mąż prowadzącej tę placówkę usiłował wykorzystać ją seksualnie. Ponieważ broniła się, wygonił ją z domu.

Podczas kolejnego przesłuchania dziewczyna odwołała swoje zeznania.

Zupełnie inaczej przedstawiła życie w rodzinie zastępczej 20-letnia Barbara. - „Tata” wyznawał zasadę: w zdrowym ciele zdrowy duch - zeznała - jeździł z nami na wycieczki rowerowe, grał w piłkę. Z kamieniami w potoku było tak, że chłopcy postanowili ułożyć z nich zapórę, aby powstało kąpielisko. Dzięki temu mogliśmy tam pływać. Pani Bożenie można było wszystko powiedzieć, zwierzyć się. Drzwi do naszych pokoi były w nocy otwarte. Na korytarzu, który łączył sypialnie leżała terakota, w nocy słychać było każdy krok. Justyna wymyśliła to molestowanie, bo chciała wystąpić w telewizji. Już raz pojawiła się w programie „Sprawa do reportera”, to jej uderzyło do głowy, zachowywała się jak gwiazda.

Podobnej treści zeznania złożył brat Justyny. Choć i on nie mieszkał już w domu Bożeny i Zdzisława Z., przedstawił ich w jak najlepszym świetle. Nie było prawdą, że dzieci znosiły ciężkie pnie z lasu i potem czyściły je z kory. O siostrze Justynie Paweł wyraził się, że „jest trochę kopnięta”. Nie utrzymuje z nią kontaktu.

Natomiast byli wychowankowie bracia S. oskarżyli „mameę”, że karmiła ich przeterminowaną żywnością. W przekonaniu tych chłopców przybrani rodzice przechwytywali dary charytatywne

adresowane do podopiecznych. Przesłuchiwana już jako pełnoletnia Elżbieta, zapamiętała z dzieciństwa spędzonego w RDD, osobną półkę w lodówce z lepszą żywnością dla właścicieli. „Tata” nie zaglądał do jej pokoju.

Wobec tego, że również inni byli wychowankowie zaprzeczali oskarżeniom o zły dotyk, prokuratura zwróciła się o ocenę wiarygodności Justyny do psychologa.

Biegła sądowa stwierdziła w swej opinii, że Justyna łatwo ulega wpływowi różnych osób. Możliwe, że przedstawiane fakty wyolbrzymia, bo ma silną potrzebę dodawania sobie znaczenia. Ale nie wykazuje skłonności do konfabulacji. W podsumowaniu psycholog uznała, że na podstawie jednej rozmowy nie może dokonać analizy zeznań pod kątem kryteriów wiarygodności.

Prokuratura zapoznała się również z raportami Grażyny Z. na temat powierzonego jej rodzeństwa, co pół roku składanych w sądzie rodzinnym.

Wynikało z nich, że biologiczna matka początkowo odwiedzała swe dzieci co kilka miesięcy, zazwyczaj była wtedy pod wpływem alkoholu. Umawiała się na następny termin, ale nie dotrzymywała go, dzieci z tego powodu były znerwicowane, moczyły się podczas snu. Ta trauma była tak silna, że nawet później, gdy kobieta w ogóle już nie pojawiała się w RDD, problem z moczeniem nie zniknął.

Osobne raporty wysyłało do sądu z Ośrodka Pomocy Rodzinie. RDD regularnie otrzymywał bardzo dobrą ocenę.

W 2010 roku Grażyna Z. prosiła o skierowanie Pawła do poradni psychologicznej, gdyż podczas wakacji chłopiec zdemolował bramę na posesji sąsiadki. Przy tej okazji inspektorzy poddali badaniu całe rodzeństwo. U trojga stwierdzono niedorozwój umysłowy w stopniu lekkim. Najwięcej kłopotów przysparzała swym opiekunom Justyna, bo notorycznie kłamała. Kiedyś przedstawiła szkolnemu pedagogowi podanie o przeniesienie jej do innego RDD. Dziewczynka napisała, że „tata” bije ją kablem po plecach, ma siniaki. Kiedy doszło do

konfrontacji okazało się, że wzięła młodszego brata na rower i przewrócili się. Bała się przyznać swym opiekunom, więc wymyśliła bajeczkę o ich sadyzmie.

Decyzją ośrodka adopcyjno-opiekuńczego pozostawiono rodzeństwo w placówce aż do ich usamodzielnienia się.

\*\*\*

W połowie 2014 roku akt oskarżenia Zdzisława Z. był gotowy. Zarzuty dotyczyły dwóch artykułów kodeksu karnego: obcowania płciowego z osobą małoletnią poniżej 15 lat i znęcania się psychicznego, oraz fizycznego nad wychowankami. O to drugie przestępstwo została oskarżona również Grażyna Z.

Ich rodziny dom dziecka przestał istnieć. Wychowanków zabrano do pogotowia opiekuńczego. Stawiały opór, rozpaczliwie płakały.

Na pierwszej rozprawie w sądzie rejonowym obok prokuratora usiadły, jako oskarżycielki posiłkowe, Justyna i jej biologiczna matka, która zapytana przez sędziego przyznała, że nie ma ze swymi dziećmi żadnego kontaktu, nawet nie zna ich adresu. Kiedy prowadzono aresztowanego Zdzisława Z., powołany na świadka oskarżenia jeden z braci S. wstydliwie zasłonił sobie twarz.

Sąd zdecydował, że byli wychowankowie małżeństwa Z. będą przesłuchiwani w obecności psychologa. (Innego, niż w czasie śledztwa).

Justyna gubiła się w zeznaniach, ale nie sprawiała wrażenia zakłopotanej czy zawstydzonej koniecznością odpowiadania na pytania dotyczące sfery intymnej. Kilkakrotnie zaznaczała, że „jest otwarta na wywiady z dziennikarzami telewizyjnymi”. Zażądała, aby oskarżeni zapłacili jej 100 tys. zł odszkodowania za psychiczne skutki molestowania: męczą ją koszmary senne.

Biegła psycholog podważyła wiarygodność tej poszkodowanej.



Zofia podtrzymała swoje pierwsze zeznania, złożone w prokuraturze, kiedy jeszcze nie obciążała „taty”. - Przesłuchiwana po raz drugi mówiłam nieprawdę - zeznała - pod dyktando mego byłego konkubenta.

Ten mężczyzna, również powołany na świadka twierdził, że w żaden sposób nie wpływał na doniesienie swojej dziewczyny do prokuratury o molestowaniu. - Nigdy na ten temat nie mówiliśmy, nie zauważyłem żadnych objawów traumy, ja mam wątpliwości, co do stanu psychicznego tej kobiety.

Psycholog odnotowała irytację Zofii, że proces tak długo się ciągnie. W pewnej chwili świadek zwróciła się do prokuratora, oświadczając: - Chcę się z tego wymiksować. Nie będę sobie zawracać głowy głupim sądem.

- Z treści usłyszanych tu zeznań nie wynika, aby ta osoba mogła być ofiarą molestowania. Postrzegam skłonność do konfabulacji - napisała w opinii biegła.

Grażyna Z. zaprzeczyła twierdzeniu prokuratury, jakoby dziewczynki skarżyły się jej na nieobyczajne zachowanie męża. - Taką informację otrzymałam dopiero od pracownicy PCPR, gdzie wpłynęła skarga Justyna. Prawdą jest, że z mężem wchodziliśmy w nocy do sypialni dziewczynek, ale tylko po to, aby je obudzić przed ewentualnym zmożeniem prześcieradła.

Adwokat w mowie obrończej wyeksponował kłamstwa inicjatorki oskarżeń. Justyna zeznała na rozprawie, że nigdy wcześniej nie informowała organów ścigania o tym, co się dzieje w rodzinnym domu dziecka. A przecież już wcześniej składała zawiadomienie w prokuraturze o znęcaniu się nad nią przez małżeństwo Z. Nie powiedziała wtedy o wykorzystywaniu jej seksualnym przez Zdzisława Z. Gdyby to była prawda, nie musiałaby się niczego obawiać, bo już nie mieszkała w RDD. Wiele wskazuje na to, że Justyna chciała na siebie zwrócić uwagę mediów, zwłaszcza telewizji.

Poza tym nie opuszczała ją, a także jej bezrobotnego kochanka, myśl o wyciągnięciu od byłych opiekunów sporego odszkodowania.

Sąd rejonowy uznał Zdzisława Z. winnym popełnienia czynu z art. 200 kk („Kto obcuje płciowo z małoletnimi poniżej 15 lat, lub dopuszcza się wobec takiej osoby innej czynności seksualnej, podlega karze pozbawienia wolności od lat 2 do 12”) i skazał go na 3 lata więzienia.

Zdaniem sądu, właśnie czuwanie opiekunów nad dziećmi w nocy, aby się nie moczyły, było dla Zdzisława Z. doskonałym pretekstem, aby wchodzić do sypialni dziewczynek z całkiem innymi zamiarami. Ukrywał to i dlatego zapytany, który pokój zajmowała Justyna twierdził, że nie ma pojęcia.

Natomiast sąd uniewinnił Zdzisława Z. i jego żonę od drugiego zarzutu - znęcania się fizycznego i psychicznego nad wychowankami. Zeznania świadków, a także inne zebrane dowody (np. opinie psychologa obserwującego te dzieci na letnim obozie) zaprzeczały oskarżeniu, że opiekunowie głodzili dzieci i zmuszali je do ciężkich prac fizycznych. Choć sąd dostrzegł pewne uchybienia, jak np. brak kontaktu z logopedą, to ogólnie potwierdził opinie o RDD pracowników socjalnych z Centrum Pomocy Rodzinie.

Apelacje od wyroku złożyli zarówno obrońca jak i prokurator. Oskarżyciel publiczny domagał się podwyższenia kary; obrońca przeciwnie, uniewinnienia również od zarzutu molestowania. Między innymi użył argumentu: skoro Justyna i jej siostra skłamały oskarżając swych opiekunów o głodzenie ich i używanie kar cielesnych, to dlaczego miałyby nie kłamać w kwestii niedozwolonych kontaktów intymnych?

Sąd okręgowy utrzymał uniewinnienie od zarzutu z art. 207, natomiast uchylił wyrok w części dotyczącej molestowania nieletnich i skierował do ponownego rozpatrzenia. Podobne stanowisko zajął sąd apelacyjny. Kasacja prokuratora do SN w odniesieniu do uniewinnienia Zdzisława Z. od zarzutu znęcania

się psychicznego i fizycznego nad wychowankami została oddalona, jako bezzasadna.

W ponownym procesie Zdzisław Z. został uniewinniony również od zarzutu molestowania nieletnich.

Tak więc dla tego starszego już mężczyzny zakończyła się trwająca ponad 4 lata anatema towarzyska i gehenna psychiczna. Ale poczucie krzywdy wyrządzonej przez osobę, która dorastała w jego domu nie minie.

Imiona wychowanków RDD zostały zmienione.

## Hajsownik, niczym bankomat

**Youtuberzy zarabiają duże pieniądze dzięki wpisom tzw. hajsowników, dla których nie ma żadnej świętości, byleby tylko zaistnieć w internecie. Każdy, nawet dziecko może zostać ofiarą ich kliknięć, skrupulatnie liczonych przez firmy reklamowe.**

Nadal można to obejrzyć w sieci: Styczeń 2015 rok. Festiwal Youconu, na którym fani spotykają się ze swoimi ulubionymi youtuberami. Kamera prześlizguje się po twarzach nastolatków. Każde słowo prowadzącego - Krzysztofa W. pseudo Ator witają huraganem śmiechu, często emocjom towarzyszą wulgarne słowa.

W pierwszym rzędzie siedzi otyły chłopiec w wieku około 12 lat. Przeszkadza prowadzącemu wykrzykując: „Mam wyzwanie!”, „Niech wyzwanie będzie z wami”. „Wszystkich was uratuję!”. To slogany z gier komputerowych, co sala natychmiast podchwytuje. - Pewnie oglądasz Gimpera - mówi mężczyzna z mikrofonem w ręku. - Nie, on za dużo przeklina - ripostuje nastolatek. - A, to gratulacje dla twoich rodziców.

- Pojechało go - dogaduje ktoś z sali.

\*\*\*

Po tym spotkaniu chłopiec zwany odtąd „grubym z Youconu”. stał się obiektem ataku tak zwanych hajsowników Gimpera. Nazwa wzięła się od lansowanego wcześniej przez tego youtubera hasła: „Hajs musi się zgadzać”.

Hajsownicy to dzieci wieku 12 - 16 lat. Bezradni wobec nieznanymi im reguł ortografii, z dramatycznie skąpym zasobem słów, za to bardzo biegli w produkowaniu postów, które w mgnieniu oka zbierają setki polubień i komentarzy. Nie ma dla nich żadnej świętości. Każdy może zostać ofiarą mema, czy też spamów, zasypujących stronę internetową, a następnie komentowanych na

Facebooku, skąd prosta droga do obśmiewania kozła ofiarnego na szkolnych przerwach.

To oni razem ze swoim guru stworzyli w Internecie przeróbki filmowe z wizerunkiem napiętnowanego nastolatka a także gry, w których testujący je youtuberzy ośmieszali, wyszydzali a nawet zabijali „grubego z Youconu”.

Była, jak pisali w komentarzach, beka, pompa i dystans. Beka, czyli kupa śmiechu. Najbardziej napastliwi i agresywni w „rozjeżdżaniu” osoby napiętnowanej budzili podziw autorów kolejnych wpisów. Kilka przykładów tego dyskursu:

„Kurwa, zaraz moja noga zgubi się w twojej dupie”. „Wypierdalać chuj bo za ryj wyciągnę”. „Kurwa spadam. Zaczęłam płakać ze śmiechu jak to obejrzałam”.

Zdarzyła się i taka opinia: „Ciekawe, jak muszą czuć się ci jutuberzy, którzy są już dorosłymi ludźmi i zdają sobie sprawę, że ich target to małe, ćwierć inteligentne, w chuj wkurwiające bachory”.

\*\*\*

Tomasz D. znany jako Gimper, karierę youtubera rozpoczął w 2011 roku jako 17-latek. Po trzech latach jego kanał na portalu YouTube miał już 300 tysięcy subskrybentów, głównie uczniów gimnazjum i liceum, ale były także młodsze dzieci. W 2015 roku liczba wyświetleń zbliżyła się miliona.

- Zaczęłam nagrywać filmy - opowiadał internautom - i wrzucać do sieci. Poradniki do gier typu let's play, które robiłem za darmo i w domowych warunkach, miały początkowo po kilkadziesiąt odsłon. Kiedy wprowadziłem język hejtu, wyświetlenia zaczęły bardzo szybko rosnać.

Starszy od Gimpera Krzysztof W., znany w sieci jako vloger Ator (prawie 200 tys. stałej widowni w różnym wieku i prawie pięć mln wyświetleń miesięcznie), jest z wykształcenia prawnikiem. Do czasu

incydentu z „Grubym z You Conu” przyjaźnił się z Tomaszem D. Potem stał się ofiarą internetowego hejtu.

- Sprzeciwiłem się napuszczaniu na siebie dzieciaków i także zostałem przeznaczony do odstrzału - ocenił po latach swą ówczesną sytuację.

W Internecie pojawiły się manipulowane filmiki, gdzie wstawiano jego fotografię jak sprawcę obrzydliwego zachowania. Albo z podpisem: świnią. Vlogi Atora były przerabiane w ten sposób, że np. z obrońcy papieża stał się jego oszczercą. W sieci gier zabijano go w sadystyczny sposób.

– Doszło do tego, że na ulicy atakowały mnie dzieci. Pluły, wyzywały, żądały spłaty nieistniejącego długu. Miałem myśli samobójcze - Krzysztof W skarżył się w telewizyjnym Superwizjerze.

Problem hejtowania wywołał w internecie dyskusję, gdyż w tym samym czasie doszło do tragicznej śmierci 14-letniego Dominika z Bieżunia. Powiesił na sznurowadłach, bo nie wytrzymał agresji, jaka codziennie spotykała go w szkole i w sieci. Zostawił list, w którym napisał, że jest zerem i przeproszał mamę za to, że odbiera sobie życie.

W internecie znęcano się nad nim nawet po jego śmierci. Informacji o samobójstwie opatrzonej zdjęciem Dominika towarzyszyły komentarze: „Dobrze, że zdechł”, „Sznur na szyję i nie żyje”, „A było kupić buty na rzepy”.

Podsycana przez influencerów nienawiść do chłopca skłoniła organizacje walczące z homofobią do manifestacji pod Ministerstwem Edukacji Narodowej. Temat pojawił się też na zorganizowanym w 2016 roku Kongresie Badania Rynku i Opinii. Prelegentka Anna Mazerant specjalizująca się w badaniach strategii marketingowej wygłosiła referat pt. „Hajsy, zasięgi, letsplayerzy, czyli jak się wybić na gamingu.”

Przedstawiła kolektyw nastolatków jako контент generowany przez kilku najważniejszych e-gamowych vlogerów, którzy zaczęli od prowadzenia swoich kanałów na YouTube i wrzucania filmików z popularnymi grami. Byli w nich aktywnymi uczestnikami. Z czasem te kanały stały się lajfstajlowe, dostarczały bardzo zróżnicowanego kontentu, często już nie związanego z grami. A oni sami idolami młodzieży. Autorka pisze o zjawisku zwanym disschallenge, polegającym na publicznym obrażaniu innych. Norma dużej popularności, to 15 mln odsłon miesięcznie. Gwarancja dużych pieniędzy - z reklam, sprzedaży gadżetów, z biletów na spotkania.

Dziennik Gazeta Prawna alarmował, że youtuberzy z agresji i wulgaryzmów uczynili sobie sposób na dostatnie życie. „Model biznesowy jest prosty: im więcej werbalnej przemocy, przekleństw i wirtualnej krwi, tym większy ruch na ich kontach”.

\*\*\*

W sierpniu 2015 roku Krzysztof W. pozwał do Sądu Okręgowego w Warszawie Tomasza D. Zarzucił mu pomówienie i niszczenie dobrego imienia.

Mniej więcej w tym samym czasie w Sądzie Rejonowym dla Warszawy-Mokotowa miał się rozpocząć proces karny youtubera Tomasza D., oskarżonego o nękanie vlogera Krzysztofa W. Poszkodowany był oskarżycielem posiłkowym.

Cztery lata później Gimper usiadł przed kamerą i wygłosił długi monolog, który natychmiast puścił w sieci.

- W moim życiu dużo się zmieniło - oznajmił. Został ambasadorem wielu marek, odniósł duży sukces. Dlatego chce się rozliczyć z tym, co wydarzyło się kilka lat wcześniej. Otóż jego były wspólnik Krzysztof W. wystąpił do sądu z pozwem o zniesławienie. Jego żądanie odszkodowania zawarte było w kwocie sześciocyfrowej. Sprawa stała się publiczną, gdy TVN-owski Superwizjer przygotował jednostronny - zdaniem Gimpera - reportaż, w którym

przedstawiono go jako „osobnika między potworem a nazistą”. (...) „Dostałem w ryj i parę milionów widzów miało mnie za skurwysyna”.

- Od tamtego czasu - Gimper snuł przed kamerą swoją spowiedź życia - coś się we mnie zmieniło. Teraz mam lęk, że ludzi oceniają mnie, dopatrując się złych intencji i że mnóstwo osób zmieniło o mnie zdanie. Najpierw reagowałem na to wyparciem, wylądowałem na różnych terapiach. Potem zacząłem dochodzić do wniosku, że to, co robiłem dotąd, nie jest takie, jak ja to widzę (...). Ponownie obejrzałem moje filmy. Kilkaset produkcji. Szukałem odpowiedzi, co powoduje, że ludzie odbierają je nie tak, jak chciałybym. Dlaczego ja jestem ten zły. To było frustrujące. Ale powiedziałem sobie: jebać to, nie poddawać się osobom, które mają mnie za chuja. (...)

Dalej Gimper wyznaje, że obecnie „strasznie go „jara” prowadzenie programu „Lekko nie będzie” (rozmowy ze znanymi ludźmi), choć gdy już miał pierwszy odcinek, „pojawił się ogromny lęk, co będzie, gdy ludzie spuszcza to w kiblu, bo autorem jest Gimper”. Ale potem się odwróciło. Do programu przyszli celebryci, następnie TVN Uwaga zaprosił go do programu.

Gimper uznał, że dojrzał do nawiązania kontaktu z Atorem, choć procesy cywilny i karny jeszcze się toczą. Patrząc do kamery wygłosił: „Chciałbym przeprosić wszystkie osoby, które poczuły się źle oglądając moje filmy. Jest mi wstyd”.

Zwrócił się do niewidzialnego Krzysztofa W.: Ator, nagraliśmy mnóstwo filmów i teraz z przyjaciół staliśmy się wrogami. Obaj mamy do siebie dużo żalu. Potoczyło się, jak potoczyło. Jest jedna rzecz, którą chcę powiedzieć: przepraszam. Jest mi głupio, że wyszło jak wyszło. Ktoś pomyśli, że przez to publiczne wystawienie emocji odpalam jakiś biznes. Ktoś powie: jebać to. A ja z nowym rokiem 2019 chcę mieć to już za sobą. Z moich kanałów znikną filmy, za które mi wstyd”.

\*\*\*



W październiku 2021 roku Krzysztof W. wygrał z D. proces cywilny o naruszenie dóbr osobistych. Sąd zasądził od Gimpera, aby usunął sześć filmów ze swojego kanału na YouTube, przeprosił powoda w formie wideo i na łamach prasy, oraz wpłacił 40 tys. zł zadośćuczynienia.

Nieprawomocny wyrok warszawskiego sądu przeszedł w mediach bez echa, gdyż w środowisku youtuberów doszło do znacznie poważniejszego sprzeniewierzenia się prawu. W Szczecinie niejaki Łukasz W. „Kamerzysta” zdobywał popularność, głównie wśród nastolatków, drastycznymi „żartami” przed kamerą. Dla zyskania poklasku dzieci np. dorzucał włosy do jedzenia gości w restauracji, drwił z nosiciela wirusa HIV, albo wygłupiał się, pozorując samobójstwo.

„Kamerzysta” w dążeniu do milionów wyświetleń postanowił wraz z kolegą upodlić niepełnosprawnego intelektualnie nastolatka. Namówił go, aby obmacywał i oceniał damskie pośladki. Następnie, aby wskoczył do kontenera na śmieci, jadł kocie odchody i kąpał się w kałuży. Proces jest bezterminowo zawieszony z uwagą na losową zmianę sędziego.

Natomiast zakończył się inny proces Łukasza W.. Próbował on nagrywać na swój kanał na YouTube filmik w sklepie spożywczym. Ekspedientki protestowały, poparł je 66 letni klient. Mężczyzna został uderzony przez „Kamerzystę” w twarz. Upadł na ziemię i na chwilę stracił przytomność. Przez kilka miesięcy cierpiał na ból głowy i zmarł.

Kamerzysta został nieprawomocnie skazany na pół roku więzienia oraz 10 tys. zł zadośćuczynienia dla wdowy.

Proces karny Gimpera długo nie mógł ruszyć. Najpierw oskarżony domagał się uzupełnienia materiałów dowodowych. Sąd zwrócił prokuratorowi akt oskarżenia, aby go poprawił. Oskarżyciel publiczny odwołał się do wyższej instancji. To trwało. Potem okazało się, że prokurator zawarł w akcie oskarżenia materiał dowodowy

z innego postępowania. obrońca Tomasza D. wykorzystał oczywistą pomyłkę i zawnioskował, aby strony zapoznały się ze wszystkimi dowodami, również z tymi, które nie dotyczyły sprawy. Prokurator mógł zapobiec stracie czasu, ale tego nie zrobił, gdyż nie stawiał się na rozprawach. - No to siedzieliśmy i oglądaliśmy mnóstwo filmików - wspomina Krzysztof W. - Była też interwencja producenta „Tańca z Gwiazdami”, bowiem oskarżony brał udział w tym turnieju. Z grubsza chodziło o to, że aby na razie nie wyznaczać wokandy, gdyż proces przeszkadza panu D. w próbach.

\*\*\*

Po sześciu latach jesienią 2022 roku zapadł nieprawomocny wyrok, uniewinniający Tomasza D. od zarzutu stalkingu. Sędzia w ustnym uzasadnieniu orzeczenia wyjaśniła, czym jest stalking: Musi być uporczywy, polegać na nękanii, dręczeniu, naruszać prywatność osoby prześladowanej bądź wzbudzać uzasadnione jej obawy. Według sądu do tego nie doszło, poczucie zagrożenia Krzysztofa W. było subiektywne. Zaledwie w kilku filmach Gimpera można było się dopatrzyć nawiązywań do pokrzywdzonego. Interpretacja Krzysztofa W. jednego z ujęć wideo, jakoby Tomasz D., bądź jego fani chcieli go pobić, jest zbyt daleko posunięta. W wielu materiałach wideo nie ma nazwiska W. lub jego pseudonimu, są tylko postaci sugerujące, że może to być Ator. Tomasz D. nagrywał w tamtym czasie 4 filmy dziennie, powstało ich kilkaset, a odwołania do pokrzywdzonego występują zaledwie w kilku

Sędzia zwróciła się do Krzysztofa W. (który cały czas nagrywał ją kamerą): - jest pan osobą publiczną, filmy związane ze sprawą mają charakter prześmiewczy. Nie można zatem mówić o naruszeniu prywatności.

Krzysztof W. zapytany jak ocenia wyrok, nie ukrywał przede mną rozczarowania. Uważał, że prokurator, który postawił zarzuty, nie przyłożył się do sprawy, chociaż to on był oskarżycielem Tomasza D. Nie było go na ani jednej rozprawie, nawet na ogłoszeniu wyroku.

- Zawęził akt oskarżenia wyłącznie do serwisu YouTube, podczas gdy Gimper atakował mnie również na innych platformach. Co prawda załączone dowody pochodziły również z innych serwisów, ale sąd nie wziął ich pod uwagę, gdyż w akcie oskarżenia zostało napisane „YouTube”, zamiast „Internet”.

\*\*\*

Czy po publicznym pokajaniu Gimper się zmienił? Jeśli chodzi o używanie obscenicznego języka, którym uwodzi nastolatków, nic na to nie wskazuje. W maju 2022 roku po przegranej na gali Fame MMA, na pytanie dziennikarza jak się czuje, odpowiada: „Zajebiscie, chuj (...) dobra napierdalanka, pranie się po ryju”.

Twierdzi, że obecnie nie ogląda w sieci występów Atora, bo „ciężko mi na niego spojrzeć. Byliśmy dobrymi kumplami, wyszło chujowo”.

Grzegorz W. również nie konkuruje już z Tomaszem D. Zmienił repertuar internetowych występów na kanale Wideoprezentacje. Teraz mają charakter publicystyczny, z przewagą polityki. - Sądząc po wynikach oglądalności – zauważa - moja obecna koncepcja jest dużo gorsza, ale uważam ją za bardziej etyczną. YouTube, jak każde inne medium, ewoluuje. Jest zupełnie inne niż w 2015 roku, gdy doszło do incydentu z nastolatkiem. Obecnie znajdzie tam pani zarówno skrajną patologię w obszarach, w których w 2015 roku nie występowała, jak i prężnie rozwijający się segment treści poważnych.

W mojej niszy liczy się głównie merytoryczna ocena faktów, wyciąganie właściwych wniosków oraz stawianie trafnych hipotez.

Zapytany, ile ma obecnie wyświetleń, odpowiada, że jak na content publicystyczny sporo. Zwykle między około 7.000.000 – 9.000.000 miesięcznie. W porównaniu do najpopularniejszego typu contentu bardzo mało. Ale nadrabia pracowitością.

Wracam w rozmowie do „Grubego z Youconu”. Czy chłopiec był świadkiem na procesie? Ma kontakt ze swoim obrońcą na festiwalu

Youconu?

- Nie - odpowiada Grzegorz W. W 2015 roku usiłował odnaleźć rodziców nastolatka, nie udało się. - Dobrze, że hejt, który wylał się na mnie, przykrył hejt nakierowany na dzieciaka - zauważa refleksyjnie.

## Odwet

**16-Kamil z premedytacją zamordował szkolnego kolegę. Więzienne kraty zamknęły za nim na 25 lat. Ojciec skazanego chłopca został oskarżony o usiłowanie pozbawienia życia dilerka narkotyków, którego klientem był Kamil.**

.

Kiedy prowadzą ich skutych na salę rozpraw, z grupy osób na korytarzu Sądu Okręgowego Warszawa Praga padają krzepiące słowa: Trzymajcie! Pozdrowienia! Jedna z kobiet podbiega, aby pocałować konwojowanego.

Już na początku rozprawy sędzia Stanisław Bielecki informuje, że sąd zwróci się do innego biegłego, gdyż ten, którego poproszono o ekspertyzę odmówił tłumacząc, że nie specjalizuje się w zagadnieniu, które ma opiniować. Chodzi o ustalenie okoliczności powstania krwawych plam w dniu zdarzenia na nodze oskarżonego Mariusza R..

Adwokaci wykorzystują sytuację, aby wystąpić o uchylenie aresztu dla ich klientów. Ich argumenty brzmią przekonująco: świadkowie w większości są już przesłuchani, nie istnieje obawa, że oskarżeni będą mataczyć. W areszcie siedzą półtora roku... Pozyskanie opinii nowego biegłego niechybnie przedłuży proces o kilka miesięcy.

Sędzia jest zapewne tego samego zdania, gdyż po naradzie z ławnikami podejmuje decyzję - oskarżeni będą odpowiadali z wolnej stopy. Jeszcze przytoczenie odpowiednich paragrafów i na koniec męska rozmowa z podsądnymi: muszą codziennie meldować się w komisariacie, nie wolno im zbliżać się do pokrzywdzonego Tomasza O., paszporty idą do depozytu. Złamią jeden z warunków, wracają za kraty. - Rozumiemy się? - pyta sędzia.

Oskarżeni Mariusz R. i Tomasz B. wychodzą na korytarz bez kajdanków. A tam eksplozja radości wśród oczekujących. Nie będzie

smutnej wigilii w celi. Oskarżeni spędzą ją w domowych pieleszach. Choć nie wszyscy najbliżsi usiądą przy wigilijnym stole. 16 letni Emil syn Tomasza B. może tylko liczyć na widzenie z rodzicami w świetlicy zakładu karnego.

Ojciec Emila jest oskarżony wraz z kolegą Mariuszem R. o usiłowanie zabójstwa Tomasza O. Pokrzywdzony został pobity i zraniony nożem. Uszedł z życiem, gdyż udało mu się uciec i schronić w pobliskim lokalu gastronomicznym.

Choć na sali sądowej nie mówi się o tym, obecni wiedzą, co przeżywa 50-letni Tomasz B. Proces ma w tle tragedię, jak rozegrała się w szkole podstawowej w warszawskiej dzielnicy Wawer w maju 2019 roku. Niespełna 16 letni syn Tomasza B. zamordował w klasie, na oczach nauczyciela, starszego o rok kolegę Kubę. Sąd potraktował zabójcę jak dorosłego i w lutym br. roku skazał go na 25 lat więzienia.

\*\*\*

Trwała jeszcze przerwa, za chwilę miał się odezwać dzwonek na czwartą lekcję. Po tygodniowej nieobecności na korytarzu pojawił się Emil B. Chłopak jest potężnie zbudowany i skory do bitki - wielu uczniów się go boi. Kiedy mówi do kolegi w szatni: daj szluga (papierosa), nikt nie odmawia.

Kilkanaście minut wcześniej do szkoły przyszła matka 16 letniego Kuby. Prosi dyrektorkę, aby skontaktowała ją z rodzicami Emila, który nie wiadomo, dlaczego przeżywa jej syna konfidentem. Dziś Kuba wyznał jej w czasie śniadania, że w nocy dostał od Emila sms takiej treści: „Jutro będziesz gwiazdą telewizji”, Zabrzmiało to jak zapowiedź pobicia.

Dyrektorka nie słyszała o konflikcie między tymi uczniami, ale obiecuje zająć się sprawą. Kiedy wychodzą na korytarz, widzą leżącą na podłodze zemdloną uczennicę, której udziela pierwszej pomocy

nauczycielka. - Emil pobiegł z nożem na piętro! - krzyczy pracownica do dyrektorki.

Kobiety biegną do jednej z klas, śladem kropli krwi na wykładzinie.

Tam jest już pogotowie. Wystraszeni uczniowie stoją pod ścianą, a przed tablicą leży konający Kuba. Emila, który zaatakował nożem chłopca, nie ma w klasie. Z gabinetu pielęgniarki zabrała go do sekretariatu nauczycielka, która mieszka z nim po sąsiedzku i nie boi się napastnika. - Zrobiłem słusznie - mówi jej uczeń. Jeszcze nie wie, że Kuba nie żyje.

Wezwana policja odtwarza przebieg tragedii. Uczniowie mówią, że to zaczęło się na przerwie. Emil podszedł do Kuby, gdy ten rozmawiał z koleżanką. Bez słowa wyjął nóż i z rozmachem uderzył nim chłopca w plecy.

Zaatakowany uciekał przed kolejnymi ciosami do pracowni fizyki. Biegł w kierunku tablicy, przy której stał nauczyciel. Emil zadawał ciosy na oślep: w szyję, okolice serca. Kuba upadł i nieprzytomny leżał w powiększającej się kałuży krwi. Tymczasem napastnik drasnął sobie rękę wojskowym nożem i po upuszczeniu go na podłogę, spokojnym krokiem poszedł do gabinetu pielęgniarki po opatrunek. - Kuba zaatakował mnie - powiedział na progu.

\*\*\*

Prokuratur zajrzał do telefonów uczniów z klasy Emila.

Większość z nich w najbliższą noc po tragedii nie spała, nieustannie krążyły smsy. Roksana B. napisała do Mateusza K. o czwartej nad ranem: - Śpisz?

- Nie mogę - odpowiedział.

Roksana: - No, kurwa, jest ciężko. Cały czas mam przed oczami każdy cios, który Emil zadawał.

Mateusz: - Kurwa, zaraz sobie coś zrobię. Dopilnuję, żeby Emil zginął, niech jebany umrze w męczarniach.

Roksana: - Należy mu się, ale nie możesz tego zrobić.

Były też inne reakcje. Na Facebooku pojawił się wpis Dawida K., który siedział z zabójcą w jednej ławce: „Emil, czekamy na ciebie. Trzymaj się bracie. Chuj w dupę sprzedawcykom, konfidentom”.

Jaki motyw mógł mieć 15 letni chłopiec, aby zaplanować morderstwo? - głowili się śledczy. Od niego samego niczego nie mogli się dowiedzieć, gdyż odmawiał wyjaśnień. Uczniowie też byli bardzo powściągliwi. Na FB pojawiło ostrzeżenie: „Nie gadać z psami, konfidenti skończą jak Kuba”.

W aktach śledczych przybywało informacji o rozprowadzaniu w szkole narkotyków. Wielu uczniów przyznało się, że wciąga też „sprężyste powietrze” - substancje wziewne, które powodują zawroty głowy. Tego dnia, gdy Kamil B. zabił Kubę, był pod wpływem mefedronu, którym handlował Dawid K.

Emil w przeddzień tragedii rozważał w korespondencji sms-owej z kolegą, jaka może go spotkać kara za to, co zamierza zrobić.

- Jak sądzisz - pisze - poprawczak, czy już puchę wpierdolę?

Karol K.: - Poprawa.

Emil: - Zobaczymy. Jutro Wiśniowa (ulica w Warszawie, przy której mieści się policyjna izba zatrzymań), później pewnie poprawa. Idź spać kurwa.

Karol się nie rozłącza, pisze: - Kurwa, Emil dasz mi to, co miałeś dać i naliczeni jesteśmy. (Policja rozszyfrowuje - chodzi o sprzedane narkotyki)

O ósmej rano Emil wysłał sms do Roksany B. Pyta, czy Kuba jest już w szkole. Ona potwierdza. Emil ma z niektórych przedmiotów



indywidualny tok nauczania. Jego lekcje zaczynają się po czwartej przerwie.

\*\*\*

Do końca procesu nieletniego ucznia pytanie: Dlaczego chciał zabić Kubę? pozostało bez odpowiedzi. Można było tylko stawiać hipotezy. Podczas śledztwa dzieci wskazywały różne tropy. Nie było żadnej gwarancji, że zeznają szczerze. Na przykład Karol K. twierdził, że Kuba ukradł bratu 800 zł oraz 100 dolarów i zwałił to na zaprzyjaźnionego z Emilem Konrada. Emil miał za to pobić Kubę, ale uderzył nożem za mocno i stało się nieszczęście.

Uporczywie szukał też motywu ojciec mordercy. Obwinił się w prokuraturze, że tygodniami nie było go w domu - jest kierowcą tirów, jeździ na międzynarodowe trasy. Nieobecność w domu starał się wynagrodzić synowi większym kieszonkowym. Nie przypuszczał, że pieniądze szły na narkotyki. Powiedzieli mu o tym koledzy Emila, którzy po tragedii przyszli do niego na rozmowę. Uprowadził chłopców, że będzie ich nagrywać. Nie byli przeciwni.

Prokurator otrzymał to nagranie. Ale niewiele można było zrozumieć, gdyż uczniowie przekrzykiwali się, mówili chaotycznie albo wszyscy naraz. Ich słowa brzmiały szokująco: „Emil nie zabił z własnego wyboru, on musiał to zrobić, gdyż Kuba, wisiał hajs Dawidowi K. za narkotyki. Emil gwarantował spłatę długu. Tymczasem Kuba nie oddawał pieniędzy i Emil miał tylko taki wybór: albo on odjebie, albo oni jego”.

Nie brzmiało to logicznie, ale chłopcy twierdzili, że takie są reguły gry. Młodzież z tej dzielnicy Warszawy ustanawia je w miejscu regularnych spotkań - w centrum handlowym Promenada.

Ojciec Emila pojechał tam, aby przyjrzeć się bliżej kolegom jego syna. Zobaczył kilkunastolatków - również dziewczyny - z pochowanymi w kieszeniach butelkami wódki i papierosami. Na „zarajanie” chodzili do toalety.

Nikt z tego towarzystwa nie ukrywał, że zarówno Emil jak i Kuba handlowali narkotykami. Syn Tomasza B. trzymał używki w slipach, a sprzedawał na zapleczu galerii handlowej. Karol go asekurował. Towar kupowali od dilerka Tomasza O. Można się było u niego zadłużyć, ale potem trzeba było spłacać z procentami. Kubę kiedyś diler uprowadził do lasu, gdyż uczeń był mu winien pieniądze i nie oddawał. Na polanie rzucił w chłopca saperką i kazał mu kopać sobie grób. Kubie udało się uciec. Do domu wrócił po dwóch dniach - brudny, obszarpany, bez złotego łańcuszka i telefonu. Sprzedał je w lombardzie.

Sprawę zgłoszono policji. Tomasz O. po przesłuchaniu został wypuszczony i od razu rozpowiedział na osiedlu, że Kuba jest konfidentem, donosi na kolegów. Od tej pory grupa Emila dokuczała chłopcu i groziła pobiciem.

Proces zabójcy Kubie przed Sądem Okręgowym Warszawa-Praga zaczął się w styczniu 2020 roku. Od tragedii w szkole minęło 8 miesięcy i w tym czasie sytuacja powołanych na świadków uczniów podstawówki bardzo się zmieniła. Większość, z powodu dotarcia śledczych do utajnionego drugiego życia szkoły, trafiła do placówek poprawczych i schronisk. Po takim doświadczeniu nie chcieli zeznawać. Twierdzili, że to, co powiedzieli w śledztwie, zostało wymuszone biciem. Również oskarżony odmawiał składania wyjaśnień.

Tylko przesłuchiwany Mateusz K. (to ten uczeń, który nazajutrz po tragedii w wielkim wzburzeniu rozmawiał z Roksaną) się załamał i powiedział o zмовie milczenia kolegów w razie wypytywania ich przez policję: - Dawid K. wstawił post na Facebook: „Oczy widzą, uszy słyszą, usta milczą.” To brzmiało jak instrukcja.

W lutym b. roku wyrokiem Sądu Okręgowego Warszawa-Praga Emil B. został skazany na 25 lat więzienia. Zespołowi sędziowskiemu przewodniczyła znana z wnikliwego prowadzenia przewodu sądowego sędzia Małgorzata Wasylczuk. Rodzinie zabitego chłopaka przyznano w sumie 150 tys. złotych zadośćuczynienia.

- Żałuję, że nie ma tu mojego ojca - powiedział w ostatnim słowie milczący dotąd oskarżony. Na korytarzu rozniosło się, że Tadeusz B. jest w areszcie.

\*\*\*

- To była ciepła noc z 27 na 28 lipca 2020 roku. - zeznawał na procesie Tadeusza B. policjant z komisariatu w podwarszawskim Wawrze. - Dostaliśmy sygnał, że na ulicy Korkowej doszło do pchnięcia nożem. Jest ofiara, nie ma sprawcy. Podczas penetrowania najbliższej okolicy dostrzegliśmy ukrywającego się w krzakach mężczyznę. Na jego lewej nodze widniała krew. Nazywał się Mariusz R. Drugi mężczyzna stał za drzewem. To był Tomasz B., kolega tego pierwszego. Nie miał widocznych obrażeń. Poinformowano nas przez radiostację, że sprawców może być trzech. Ale nikogo więcej nie udało się zatrzymać.

Patrol został wezwany przez pracownika nocnego lokalu gastronomicznego „Kebab”, gdyż tam wbiegł Tomasz O. z krzykiem, że napadli go nożownicy. Mężczyzna miał rany kłute na obojczyku i pośladku.

Następnego dnia, po opuszczeniu szpitala, Tomasz O. zeznał w komisariacie, co się zdarzyło poprzedniej nocy. Otóż późnym wieczorem, w pobliżu punktu poboru wody oligoceńskiej w Wawrze, zaczepił go nieznany mężczyzna. Zapytał, czy ma pseudonim Buli. O. potwierdził i wtedy dostał dwa ciosy nożem w okolice obojczyka. Do napastnika dołączył drugi i ukłuł czymś ostrym w pośladek. Na tablicy pogłądowej pokrzywdzony wskazał Tomasza B., jako tego drugiego bandytę.

W kwestii zagrożenia życia pokrzywdzonego, wypowiedział się biegły chirurg. Powściągliwie: - Rana na pośladku miała głębokość 2 centymetrów, w okolicy obojczyka jeden centymetr. Kiedy skaleczenia są płytkie, nie można diagnozować o kierunku ciosów. Na pewno zostały zadane narzędziem o ostrym zakończeniu.

\*\*\*

Kilka miesięcy później, na procesie oskarżonych Tomasza B. i Mariusza R. sędzia Stanisław Bielecki zapytał biegłego, czy umiejscowienie ran zagrażało życiu Tomasza O.

- Szczęśliwie skończyło się na przecięciu powłok - stwierdził lekarz. - Nie można jednak bagatelizować miejsca zranienia, gdyż nawet niewielkie pogłębienie rany mogłoby doprowadzić do wykrwawienia się ofiary.

Ważnym świadkiem na tym procesie była 25 letnia Eliza F.\*, która owej nocy przebywała w pobliżu miejsca zdarzenia. Przesłuchiwana w śledztwie wskazała Mariusza R. jako tego mężczyznę, który podszedł do Tomasza O. Bardzo dobrze znała pokrzywdzonego, wówczas byli parą. Kiedy Mariusz R. wystartował do bicia Tomasza O., jej partner był trzeźwy.

Przed sądem kobieta przyznała się, że skłamała. Kiedy tamtej nocy spotkała Tomasza O. na Korkowej, był mocno pijany, jak się wyraziła, tankował od południa. Również w jej obecności wypił kilka setek „czystej”. Rozliczyła się z nim za robotę przy jej samochodzie i poszła do mieszkającej w pobliżu koleżanki. On do niej wydzwaniał, bo wpadł na pomysł wspólnego interesu. (Zrzucą się po tysiącu złotych, on kupi samochodowy szmelc. Wyklepie, zaszpaczuje dziury i sprzedadzą jako prima sort z dobrym finansowym przebicciem). Uwierzyła mu, pojechali obejrzeć gruchota. Z interesu nic nie wyszło, narzeczony kolejny raz naciągnął ją na pożyczanie pieniędzy, których nigdy nie oddał. Przez całą drogę pił.

- Wróciliśmy na Korkową. Wysadziłam go koło studni oligoceńskiej i pojechałam do koleżanki, u której byłam wcześniej.

Z okna jej mieszkania widziała, jak O. chodził pod sklepem alkoholowym coraz bardziej pijany. W rękach miał butelki z piwem, colą i wódką. Potem zniknął jej z pola widzenia. Kiedy około godziny 22 podeszła do swojego samochodu, Tomasz O. już tam stał, ledwo

trzymając się na nogach. zaproponowała, że odwiezie go do domu. Pod jego blokiem jeszcze z pół godziny rozmawiali. On ciągle pił. Stała z nim, paliła papierosa, w końcu zdecydowała, że jedzie do siebie, o 6 rano musi wstać do roboty. I wtedy pojawił się Mariusz R. Nie był całkiem trzeźwy. Wziął Tomka na bok i rozmawiali o siedzącym w areszcie Emilu B., że taka tragedia. Mariusz ganił Tomasza, po co wymyślał jakieś głupoty, jakoby Kuba jest konfidentem. Emil w to uwierzył. Krytykowany uniósł się, on niczego nie wymyślał.

Eliza F. powiedziała mężczyznom: - Sorry, nic tu po mnie. I odjechała.

Po północy kobieta odebrała telefon od Tomasza O., prosił, żeby przyjechała po niego do szpitala, bo jest ranny, dostał kosą. Odmówiła. Nie pozwolił jej zasnąć, ciągle wysyłał smsy tej samej treści, że on im k... pokaże.

Zadzwoił po szóstej rano. Właśnie idzie na komendę. Niczego nie pamięta. Nie wie, kto do niego leciał z nożem. Czy napastników było trzech? Czy widziała kogoś poza Mariuszem R.?

- Zapytałam - zeznała F. - jakim cudem im uciekł. Rano był trzeźwiejszy, ale alkohol jeszcze się go trzymał. Twierdził, że nie wie, za co dostał, może go z kimś pomylili?

W okolicy rozniosło się - świadek informowała sędziego - że to zemsta ojca Kamila za to, że O. handlował narkotykami i sprzedawał je uczniom podstawówki, m. in. Kamilowi. Nie wiem, czy to jest prawda. Przy mnie Tomasz takiego towaru nie wyciągał. Ale kiedyś porwał Kubę do lasu, bo podobno chłopak się z nim nie rozliczył.

Eliza F. kilkakrotnie powtórzyła, że wszystko, co pokrzywdzony zeznał w śledztwie, wie od niej. Od kilku miesięcy nie ma z nim kontaktu. Przestała się spotykać, bo ją straszył, że jeśli przed sądem odwoła to, co powiedziała w prokuraturze pod jego dyktando, spotka ją coś złego. I że on wie o 5 tysiącach złotych łapówki od Mariusza R,

które dostała za zeznanie na korzyść tego oskarżonego. Na dowód, kobieta okazała wydruki (15 kartek) smsów od jej byłego partnera.

- Żadnej łapówki nie dostałam, ale bałam się własnego cienia. Zmieniłam miejsce pracy, w końcu wyłudowałam u psychiatry - pożałowała się.

Sąd długo zabiegał, aby pokrzywdzony stawił się na rozprawę. Choć po dźgnięciu nożem nie zostało śladu, Tomasz O. nie odbierał tzw. powiastki od listonosza. W końcu jednak do tego doszło i sędzia oceniając zeznania pokrzywdzonego składane na różnych etapach postępowania dostrzegł liczne nieścisłości.

Podczas pierwszego przesłuchania świadek wskazał, że stojący koło niego Tomasz B. poinformował go: - „Sprzedałem ci kosę”. To brzmiało jak wyrok. O. zorientował się, że jest ranny.

Na rozprawie pokrzywdzony wycofał się z tych wyjaśnień. Twierdził, że osoba, która go ukłuła w pośladek nic nie mówiła. i on nie wie, kto na niego napadł. W tym momencie obok niego stał Mariusz R. Ale był tam jeszcze trzeci mężczyzna, który pozostał anonimowy.

Sąd nie dał wiary wyjaśnieniom Mariusza R. co do roli, jaką miał pełnić w tym zdarzeniu. Oskarżony opisywał napaść na O. w taki sposób, jakby pobicie odbywało się obok niego a on sam w nim nie uczestniczył. Co więcej, nawet nie obserwował szamotaniny, gdyż widok zasłaniał mu współoskarżony. Natomiast czerwone plamy na jego odzieży powstały w wyniku ochlapania go przez Tomasza B., który w jego pobliżu obmywał ręce z krwi.

To nie była wiarygodna wersja. (Pojawiły się dopiero na rozprawie). Policjant interweniujący na miejscu zdarzenia zeznał, że Mariusz R. początkowo nie potrafił wytłumaczyć, skąd są ceglaste zabrudzenia na jego ubraniu; potem wyjaśniał, że to zastarzale plamy smaru. Żaden ze świadków nie przyznał w tej mierze pokrzywdzonemu racji. Natomiast biegły orzekł, że krwawa substancja ujawniona na ciele i spodniach Mariusza R. nie była rozcieńczona woda. Zatem wersja o ochlapaniu oskarżonego przez jego kolegę jest nie do przyjęcia

Tomasz B przyjął przed sądem inną linię obrony. Przede wszystkim starał się pomniejszyć swoją winę. Ale argumenty nie układały się logicznie. Z jednej strony B. wskazywał, że drugi cios z pewnością nie był zadany przez niego a z drugiej podkreślał, że napastnik Mariusz R. nie miał przy sobie noża. - Uznanie obu informacji za prawdziwe - stwierdził sędzia Stanisław Bielecki w uzasadnieniu wyroku - prowadziłyby do nielogicznego wniosku, jakoby cios w obojczyk był zadany pokrzywdzonemu w trakcie jego ucieczki do pobliskiej restauracji. A przecież nikt go nie gonił.

Przeprowadzone postępowanie dowodowe nie pozwoliło na uznanie, by oskarżeni działali z zamiarem pozbawienia Tomasza O. życia. Ciosy zostały wprawdzie zadane ostrym narzędziem, ale wymierzone z umiarkowaną siłą spowodowały niewielkie obrażenia. Choć pokrzywdzony twierdził, że napastnicy mogli go zabić, sąd wziął pod uwagę, że obaj oskarżeni nie uzewnętrzniali takiej woli. Nie grozili pokrzywdzonemu, nie gonili go, gdy zaczął uciekać. Dlatego sąd zmienił kwalifikację prawną czynu. Tomaszowi B. została wymierzona kara 2 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności, zaś Mariuszowi R. o rok krócej.

\*Inicjały świadka zmienione